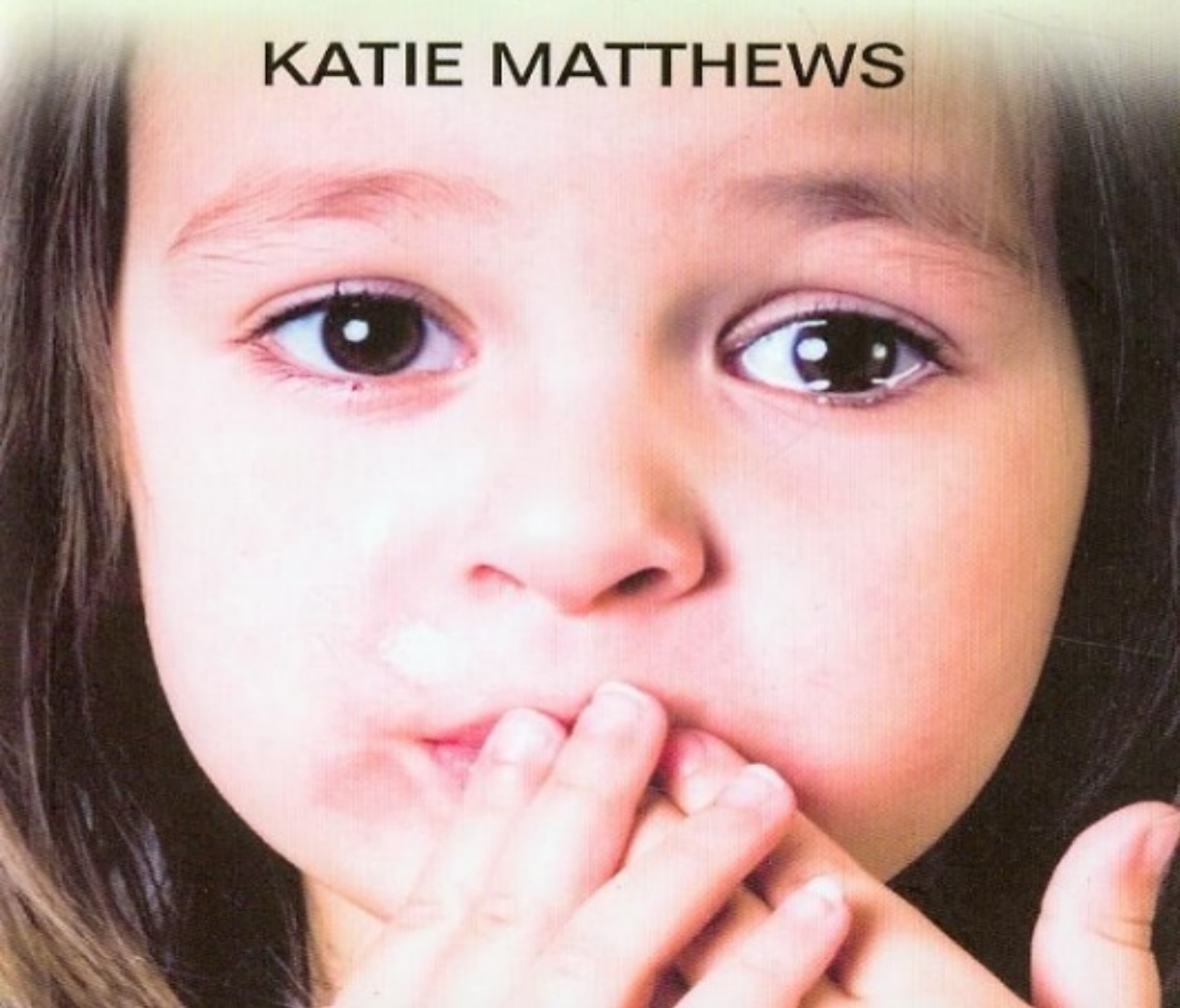


Wszystko pamiętam, tatusiu

AMBER

Rozdzierająca serce historia córki prześladowanej
wspomnieniami zbyt koszmarnymi, by pamiętać,
zbyt bolesnymi, by zapomnieć

KATIE MATTHEWS



Wszystko
pamiętam,
tatusiu

KATIE MATTHEWS

Przekład
JULIA WOLIN
MARTA CZUB



Redaktor serii
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna
Joanna Egert-Romanowska

Korekta
Renata Kuk
Magdalena Stachowicz

Zdjęcie na okładce
© Renee Keith/E+/Getty Images/Flash Press Media

Tytuł oryginału
I Remember, Daddy
The harrowing true story of a daughter haunted by memories
too terrible to forget

Originally published in the English language by HarperCollins
Publishers Ltd. under the title *I Remember, Daddy:*
The harrowing true story of a daughter haunted by memories
too terrible to forget

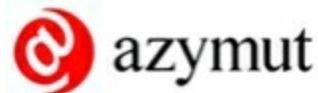
Copyright © Katie Matthews 2011
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2013 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4901-8

Warszawa 2013. Wydanie I
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl

Publikację elektroniczną przygotował:



Rozdział 1

Śmiech Jackie dobiegał do mnie z oddali jak stłumione echo, a kiedy usiłowałam skupić wzrok na jej twarzy, pokój zaczął wirować. Nagle poczułam ostry ból w brzuchu, jakby ktoś dźgnął mnie rozpalonym do czerwoności nożem, i głośno jęknęłam.

— Katie, wszystko w porządku?

Głos Jackie napływał falami, jakby ktoś manipulował przy głośnikach radia. Próbowałam odpowiedzieć, ale język mi spuchł i zatykał gardło, tak że ledwie mogłam oddychać. Całe moje ciało zrobiło się bardzo ciężkie i kiedy wyciągnęłam rękę, żeby uchwycić się lady w recepcji, wszystko wokół zalała ciemność, a ja runęłam na podłogę jak kukielka, której nagle odcięto wszystkie sznurki.

Nie wiem, jak długo leżałam na podłodze, nim otworzyłam oczy i zobaczyłam rozmazaną twarz zaniepokojonej Jackie. Pochylała się nade mną i poruszała ustami, ale słyszałam tylko głośne tętnienie krwi w uszach. Próbowałam usiąść, ale silna ręka delikatnie mnie powstrzymała i głos nienależący

do Jackie powiedział:

— Nie wstawaj, Katie. Paskudnie upadłaś. Poleż jeszcze chwilę.

W głowie wściekle mi dudniło, tak że poczułam mdłości i kompletnie zdezorientowana, z ulgą opadłam na twardą podłogę, którą czułam pod szorstkim dywanem. Zamknęłam oczy, a kiedy otworzyłam je ponownie, pokój wreszcie przestał wirować i zobaczyłam twarze Jackie i kolegi z pracy, który klęczał obok niej.

Stopniowo wracała mi świadomość i poczułam wilgotne ciepło z tyłu sukienki. Pamiętałam, że wcześniej stałam obok Jackie i rozmawiałyśmy. Powiedziała coś śmiesznego, co nas rozbawiło, a ja trzymałam w ręce kubek z kawą, która się pewnie rozlała, kiedy zemdlałam.

Ktoś okrył mnie płaszczem jak kocem, usiłowałam namacać jego krawędź i chciałam wypowiedzieć słowo „kawa”, ale z mojego gardła wydobył się jedynie schrypnięty, niezrozumiały szept. Przełknęłam ślinę i spróbowałam jeszcze raz. Wtedy Jackie pochyliła się nade mną, delikatnie przykryła mi rękę płaszczem i powiedziała:

— Nie, Katie, nie możesz teraz dostać kawy. Zaczekaj, aż dojdiesz do siebie.

Spróbowałam pokręcić głową, ale młotek znów w niej zadudnił, i musiałam przez chwilę pozostać w bezruchu, żeby odplynęła fala mdłości, która mnie zalała. Później

przesunęłam ramię tak, żeby sięgnąć do rąbka sukienki, i dotknęłam mokrej plamy na nodze. Upadając, musiałam uderzyć ręką o ladę, bo przedramię przeszył mi ostry ból. Znów zamarłam i czekałam, aż najgorsze minie. Potem ostrożnie wyjęłam rękę spod płaszcza i przysunęłam do oczu.

Na początku nie potrafiłam zidentyfikować ciemnej cieczy. Nie były to kawa ani mocz, choć przez chwilę się tego bałam. Wreszcie uświadomiłam sobie, że to krew. Przeraziłam się i serce zaczęło mi walić jak młotem. Nagle poczułam wszechogarniające zmęczenie. Położyłam dłoń wnętrzem do góry na płaszczu, który mnie okrywał, i wyszeptałam imię Jackie.

— Tak, kochanie? — odpowiedziała natychmiast, pochyliła się nade mną i uśmiechnęła, dodając mi otuchy. — Jestem tu.

W tym momencie ktoś musiał zauważyć krew na moich palcach, bo jakaś ręka powoli uniosła płaszcza, a potem usłyszałam gwałtowne wciągnięcie powietrza i męski głos:

— O mój Boże, tu jest pełno krwi! Ma zakrwawione całe nogi. Gdzie ta cholerna karetka?

Ktoś go uciszył, a Jackie położyła rękę na moim ramieniu.

— Wszystko dobrze, Katie — uspokajała. — Pewnie przy upadku rozcięłaś nogę. Myślę, że zaczepiłaś o kant biurka. Wezwaliśmy karetkę na wszelki wypadek, żeby sprawdzili, czy nic nie złamałaś. Ale nie martw się, wszystko będzie dobrze. — A jednak widziałam w jej oczach panikę.

Pogłaskała mnie po rękę i dodała: — Ktoś poszedł poszukać Toma. Będzie tu za chwilę. Nic się nie martw.

Chciałam jej powiedzieć, że nie znajdą Toma, mojego chłopaka, bo pojechał z dostawą, ale nagle poczułam się przytłoczona ogromnym ciężarem, który wyduszał ze mnie ostatnie okruchy mocy. Zamiast mówić, zamknęłam oczy, a spod rzęs wypłynęły mi gorące łzy.

Nie zdołali się skontaktować z Tomem przed przyjazdem karetki, więc do szpitala pojechałam sama. Gdy leżałam w izbie przyjęć, gapiąc się na farbę odłazającą z sufitu, próbowałam opanować panikę.

Wydawało mi się, że dziesięć osób mówi jednocześnie, a potem ktoś położył na moim ramieniu dłoń o długich palcach i powiedział powoli i wyraźnie:

— Przykro mi, Katherine, ale może pani stracić dziecko.

W końcu coś, na czym mogłam się skupić. Rozumiałam pojedyncze słowa, jakie wypowiedział do mnie lekarz, ale nie mogłam pojąć ich sensu. Otarłam dłonią oczy, osuszyłam część łez, które moczyły mi włosy i poduszkę pod głową, i dopiero wtedy spojrzałam na lekarza.

— Jakie dziecko? Nie ma żadnego dziecka. Ja nie... — Zaszlochałam gwałtownie i dokończyłam szeptem: — W wieku osiemnastu lat zostałam zgwałcona i... Nie mogę mieć dzieci.

— Przykro mi. — Lekarz znów dotknął mojego ramienia, a

ja zaczęłam się zastanawiać, czy jest mu przykro z powodu gwałtu, czy z powodu pomyłki z dzieckiem, którego nie mogę mieć. — Jednak z całą pewnością jest pani w ciąży. Musimy zabrać panią do sali operacyjnej i sprawdzić, co się dzieje.

Poczułam, że panika, która tkwiła w moim żołądku jak bryłka ołowiu, zaczyna się rozprzestrzeniać i kłujące przerażenie dotarło do piersi, a potem rozeszło się gorzkim smakiem w ustach. Przycisnęłam twarz do poduszki i przez chwilę myślałam, że mogłabym się poddać tej strasznej słabości, która usiłowała mną zawładnąć, i po prostu zasnąć. Zamiast tego odwróciłam się do lekarza, chwyciłam biały rękaw jego fartucha i poprosiłam:

— Niech pan spróbuje uratować moje dziecko.

Kiedy obudziłam się z narkozy, przy łóżku siedział Tom, trzymał mnie za rękę, a w jego oczach wyczytałam, że rzeczywiście miałam dziecko, którego nie udało się uratować. Doznałam niemal fizycznego bólu z powodu straty, która dotyczyła czegoś, o czym do niedawna nie miałam pojęcia. Gdy Tom się nachylił i dotknął palcami mojego policzka, rozplakałam się i łkałam tak, jakby pękało mi serce.

Rozdział 2

*T*om pracował w dziale transportu w firmie, gdzie byłam zatrudniona od kilku miesięcy. Zakochaliśmy się w sobie niemal od pierwszego wejrzenia i po kilku tygodniach wprowadziłam się do domu, w którym mieszkał z rodzicami. Tak wówczas funkcjonowałam: byłam porywcza, szybko podejmowałam decyzje, chciałam przeżyć życie jak najpełniej i angażowałam całą energię w to, co sprawiało mi przyjemność. Nie uznawałam kompromisów i wiem, jakie to szczęście, że trafiłam na Toma. Był nieśmiały, uroczy i miał dużą, kochającą się rodzinę, która zastąpiła mi własną, bo nigdy jej nie miałam.

Do tego dnia, kiedy zemdlalam w pracy, byliśmy razem niecałe trzy miesiące. Nie zabezpieczaliśmy się, bo wyznałam mu, że w wieku osiemnastu lat zostałam zgwałcona i wówczas lekarz powiedział mi, że z powodu urazów wewnętrznych prawdopodobnie nie będę mogła mieć dzieci. Wydawało mi się, że to przebolełam, Tom też zdawał się akceptować ten fakt. Jednak gdy poroniłam i straciliśmy

dziecko, widziałam, że było mu trudniej się z tym pogodzić, niż zapewniał.

Kiedy trafiłam do szpitala po omdleniu w pracy, lekarz wyjaśnił:

— Była pani w ósmym tygodniu ciąży. Niestety, była to ciąża pozamaciczna, płód rozwijał się w niewłaściwym miejscu. Obawiam się, że i tak nie było szans na szczęśliwy koniec.

Przeżyłam szok, dowiedziawszy się, że mimo wszystko mogę zajść w ciążę, chociaż istniało zagrożenie, że nie będę w stanie jej donosić. Zdumiał mnie też rozmiar mojej rozpaczki po utracie dziecka, o którego istnieniu wiedziałam zaledwie od kilku minut. Moja reakcja wynikała głównie z żalu nad sobą, a tego uczucia mój ojciec nie aprobował. Nikt nie lubi mazgajów, usłyszałam od niego więcej razy, niż potrafię zliczyć. Nauczyłam się brać w garść, kiedy coś mi nie wychodziło, panować nad sobą i zaczynać od nowa. Teraz jednak czułam, że doznałam straty, która rozrywa mi serce. Stresująca i deprymująca była też myśl, że będę musiała zrewidować poglądy na to, kim byłam i kim mogę zostać w przyszłości.

Teraz znacznie pilniejszy był problem antykoncepcji. Sześć tygodni po utracie dziecka, które skrycie rosło we mnie, pojechaliśmy z Tomem do kliniki planowania rodziny.

Nawet kiedy byłam w dobrej formie psychicznej, nie

znosiłam rozmawiać o seksie, więc myśl o tym, że ktoś obcy będzie mi zadawał intymne pytania, przyprawiała mnie o mdłości. Nie chciałam, żeby Tom mi towarzyszył, a kiedy poprosiłam go, żeby poczekał na zewnątrz, chyba mu trochę ulżyło.

Pielęgniarka zadała mi pytania, jakich się spodziewałam: o zdrowie i życie seksualne, oraz takie, które całkiem mnie zaskoczyło: czy jest możliwe, że jestem w ciąży.

— Nie — odpowiedziałam, lekko wzruszyłam ramionami i zaczęłam się zastanawiać, czy ona w ogóle słuchała, co mówiłam wcześniej. — Proszę pani, dopiero poroniłam!

Spojrzała na mnie, jej długopis zawisł nad kartką formularza leżącego na biurku, przekrzywiła lekko głowę i uniosła brew. Potem powiedziała powoli:

— Nie ma lepszego momentu do zajścia w ciążę niż zaraz po poronieniu.

— Nikt mi o tym nie powiedział! — obruszyłam się.

— Ile masz lat? — Zaczęła przekładać papiery na biurku.

— Dwadzieścia trzy — odparłam i nagle poczułam się niewiarygodnie i zawstydzająco naiwna.

— Więc zrobimy błyskawiczny test ciążowy, dobrze? — Odchrząknęła i popatrzyła na mnie z krzepiącym uśmiechem.

— Ale ja przyszedłam po pigułki — zaprotestowałam.

— Wiem. Oczywiście, najpierw jednak musimy się

upewnić, że wszystko jest w porządku. — Wstała, zebrała papiery i otworzyła drzwi, a ja potulnie poszłam za nią korytarzem.

Po półgodzinie opuściłam klinikę, poszłam na parking, otworzyłam drzwi vana i usiadłam na miejscu pasażera.

— Siedzisz? — spytałam Toma niezbyt mądrze.

— Oczywiście, że siedzę! — Odwrócił się do mnie z pytającym wyrazem twarzy. — Co się stało, Katie?

— Jestem w ciąży — odparłam. Wyglądałam przez przednią szybę, ale nic nie widziałam.

— Co? Dziecko wciąż tam jest? — Niepokój w jego głosie skłonił mnie w końcu do spojrzenia na niego. Kiedy sięgał po moją dłoń, zobaczyłam w jego oczach łzy. — Ale przecież je straciłaś. Nic nie rozumiem.

— To inne dziecko — oznajmiłam ze smutkiem. — Znow jestem w ciąży.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu i staraliśmy się przetrwać wiadomość, która wydawała się nie do pojęcia.

— To wspaniale — powiedział w końcu Tom i szybko otarł policzki wierzchem dłoni. — To cudowna wiadomość. Moi rodzice będą zachwyceni.

— To wcale nie jest wspaniałe! — prawie krzyknęłam. — Nie mogę tego zrobić. Nie mogę być w ciąży. Jestem popsuta w środku. A co, jeśli to dziecko też stracę? Nie zniosę tego. Nie jestem przygotowana na takie ryzyko.

Co do jednego Tom miał rację: jego rodzice byli przeschęśliwi, kiedy się dowiedzieli. Ale gdy poinformowałam ich, że mam zamiar poddać się aborcji, załamali się.

— Proszę — błagała mnie matka Toma. — Wiem, że to twoje życie, Katie, i rozumiem, że nie przebolełaś jeszcze straty, ale... — Zawahała się, a potem wzięła głęboki wdech i dokończyła: — A co, jeśli to jedyna twoja szansa na dziecko? Nie odrzucaj jej. Proszę. To byłby nasz pierwszy wnuk. Nie wiesz nawet, od jak dawna o tym marzyliśmy. Pomożemy ci, obiecuję.

Już i tak gnębiło mnie ogromne poczucie winy wobec dziecka, które nie dostało szansy, by przyjść na świat, a teraz jeszcze czułam się winna, że sprawiam zawód rodzicom Toma, tak zawsze dla mnie serdecznych i dobrych. Wiedziałam jednak, że nie przeżyję ciąży. Nawiedzały mnie obsesyjne myśli o tym, że czuję, jak dziecko się we mnie rozwija i rośnie, a potem moje ciało odrzuca je i zabija, zamiast pielęgnować i żywić. Działo się jeszcze coś, co mnie martwiło. Często wracały wspomnienia z dzieciństwa. Były tak ulotne, że nigdy nie zdążyłam odczytać ich prawdziwego sensu, ale wiedziałam, że jakimś cudem wiążą się ze strachem przed odpowiedzialnością za własne dziecko.

Poszłam na obowiązkową sesję terapeutyczną i zapisałam się na aborcję. Ale kiedy obudziłam się wyznaczonego dnia

rano, zadzwoniłam do kliniki i powiedziałam, że zmieniam zdanie, nie przyjdę. Nie mogłam.

Gdy powiadomiłam rodziców Toma, że odwołałam wizytę, jego ojciec oschle wymamrotał coś uprzejmego i poklepał mnie po ramieniu, ale matka gorąco przycisnęła mnie do piersi i ze łzami w oczach zapewniła, że pomogą nam w każdy możliwy sposób. Wówczas żadne z nas tego nie wiedziało, ale miał nadejść dzień, w którym będę za tę obietnicę dozgonnie wdzięczna. Ciąża przebiegała z komplikacjami i w czwartym miesiącu znów zemdlałam. Tym razem Tom był ze mną i zawiózł mnie do szpitala. Przedzierał się przez korki uliczne i trąbił tak głośno jak jeszcze nigdy. Mimo jego wysiłków, kiedy dotarliśmy do szpitala, krwawiłam i lekarz powiedział, że zaczął się przedwczesny poród. Urzeczywistniały się moje najstraszniejsze koszmary. Tak bardzo bałam się ciąży i macierzyństwa, że niemal zdecydowałam się na aborcję. Zmieniłam zdanie, bo ze strachu nie byłam w stanie znaleźć powodu, który usprawiedliwiłoby przerwanie życia, które właśnie zaczęło się rozwijać. Gdy podjęłam decyzję, że utrzymam ciążę, zdałam sobie sprawę, jak desperacko pragnę dziecka, które rośnie we mnie. Wiedziałam, że Tom też go pragnie i pogodzenie się z tym, że może nigdy nie będzie miał syna albo córki, wynikało z miłości do mnie.

Co gorsza, miałam świadomość, że kończył się najbardziej

ryzykowny etap ciąży, i zaczynałam dopuszczać do siebie myśl, że uda mi się donosić dziecko. Przez ostatnich kilka tygodni było mi stale niedobrze i często wymiotowałam. Chociaż było to trudne do zniesienia, wmawiałam sobie, że to dobre oznaki, bo moje hormony robią co w ich mocy, żeby wykonać swoje zadanie.

W szpitalu dostałam leki na powstrzymanie akcji porodowej. Wiedziałam, że dziecko urodzone w czwartym miesiącu nie ma szans na przeżycie, więc lekarze nie robili wielkiej nadziei. Jednak stał się cud i skurcze stopniowo zanikły, a następnego dnia zostałam wypisana do domu.

Po tym wydarzeniu wszystko się uspokoiło. Reszta ciąży przebiegła bez większych zakłóceń i w rezultacie poród zaczął się dwa tygodnie po terminie.

Był koszmary. Tom trzymał mnie za rękę, ocierał pot, który wypływał każdym porem mojej skóry, i odliczał:

— Wdech, dwa, trzy, wydech, dwa, trzy, cztery.

Staralam się wraz z oddechem usunąć ból i stłumić panikę. Wkrótce stało się jednak jasne, że ani wydechy, ani parcie nie wypchną ze mnie dziecka, i dostałam znieczulenie podpajęczynówkowe, żeby można było użyć kleszczy. O ironio, Tom wkrótce zapomniał o oddechach, które tak skwapliwie liczył, stracił przytomność i musiał zostać wyniesiony z sali. Niestety, z tego powodu nie widział, jak nasze dziecko przychodzi na świat, i nie słyszał jego

pierwszego, słabiutkiego płaczu.

Natychmiast po urodzeniu dziecko zabrano w kąt sali porodowej, a ja zostałam w łóżku, wyczerpana i wyczekująca bardziej dziarskiego płaczu syna. Wiedziałam, że nastąpi, kiedy małe płucka wypełnią się powietrzem.

Mijały sekundy, potem minuty, a ja słyszałam tylko ściszone głosy lekarza i jednej z pielęgniarek. W końcu podniosłam głowę, żeby zobaczyć, co robią, a ponieważ z jakiegoś powodu nikt mnie o niczym nie informował, spytałam:

— To chłopiec czy dziewczynka?

Najpierw nikt nie odpowiadał. Potem pielęgniarka podeszła do mnie, położyła mi na piersi ciasno zapakowane zawiniątko i oświadczyła:

— Chłopiec.

A ja po raz pierwszy spojrzałam w duże błękitne oczy mojego syna i na jego pomarszczoną, siną buzię.

Podszedł lekarz i stanął przy łóżku.

— Ma problemy z oddychaniem. Musimy go zabrać na intensywną terapię.

Pochylił się i wyjął dziecko z moich ramion. Zdążyłam tylko musnąć policzek syna i szepnąć „cześć”, zanim w pośpiechu go wyniesiono.

Z powodu znieczulenia podpajęczynówkowego, które

dostałam, musiałam leżeć płasko na plecach przez następne dwadzieścia cztery godziny, co oznaczało, że nie mogłam wstać z łóżka i się umyć. Kiedy przyszła matka, na widok moich splątanych i przetłuszczonych włosów wykrzyknęła:

— Jak ty wyglądasz!

A potem się rozplakała. Nie było to może powitanie, jakiego oczekiwałam, ale myślę, że martwiła się o mnie i o dziecko bardziej, niż sądziłam.

Następnych kilka minut poświęciła na doprowadzenie mnie do porządku. Prawdopodobnie w ten sposób pragnęła wyrazić gwałtowną ulgę i emocje, jakich doznawała.

Gdy tylko wolno mi było wstać z łóżka, umyłam się i czekałam, aż przyniosą mi syna, żebym mogła go nakarmić. Kiedy pielęgniarka mi go podawała, byłam zdenerwowana i podniecona. Odwinęłam brzeg kocyka, w który noworodek był zawinięty, i ujrzałam wielką jak księżyc w pełni twarz, okoloną burzą rudych włosów.

— To nie jest moje dziecko! — zawołałam.

— Oczywiście, że pani! — odparła sztucznie radosnym i pieszczotliwym tonem, jakby mówiła do przedszkolaka albo niedorozwiniętego dorosłego. Potem wydała nerwowy chichot, poklepała mnie po ramieniu i dodała: — Czyje ma być, skoro to skóra zdarta z ojca?

— Nie wiem — odpowiedziałam. — Bardzo możliwe, że wygląda dokładnie jak jego ojciec. — Mówiłam powoli,

starając się zapanować nad histerią i paniką, które we mnie narastały. — Ale nigdy nie widziałam jego ojca, bo to nie jest moje dziecko. Moje dziecko nie ma rudych włosów i jest o połowę mniejsze.

— No już, już. — Pielęgniarka zachowywała tak niewzruszony spokój, że zapragnęłam cisnąć w nią tym obcym bachorem. Patrzyła na mnie z niepokojem, klepała mnie po ramieniu i zapewniała: — To pani dziecko. Nie ma co do tego wątpliwości.

Nagle ból, zmęczenie i zmartwienia ostatnich godzin uderzyły we mnie ze zdwojoną siłą i wybuchłam płaczem. Nie miałam siły się z nią kłócić, ale wiedziałam, że jeśli tego nie zrobię, wrócę do domu z cudzym dzieckiem. A co gorsza, ktoś wróci do domu z moim.

W tym momencie na oddziale pojawiła się kolejna pielęgniarka i szła prosto do nas, niosąc w ramionach małe zawiniątko.

— Już jesteśmy, mamusiu! — oznajmiła głupim głosem przedszkolanki. — Oto twój maluszek, gotowy do pierwszego karmienia.

Mówiąc to, wyciągnęła ręce i niemal wyrwała mi z objęć rudowłosego potwora, a na jego miejsce położyła mojego syna. Potem obydwie kobiety odwróciły się w miejscu i odeszły, a ja po raz drugi zajrzałam do becika. Tym razem spojrzałam na moje dziecko i nie mogłam uwierzyć, jakie jest

piękne.

Kiedy Tom przyszedł później do szpitala, zachowywał się jak kot, który dostał do wylizania śmietankę. Byłam poruszona uczuciem do syna, które narodziło się w nim tak szybko, i jego wdzięcznością za to, że dałam mu dziecko, którego bardzo pragnął, co mógł przyznać dopiero teraz.

Przez następnych kilka dni wybieraliśmy imię. Kiedy byłam w ciąży, wybór imion męskich zawęziliśmy do dwóch: Daniel albo Richard, jednak im dłużej patrzyliśmy na naszego synka, tym mniej te imiona do niego pasowały. W końcu zdecydowaliśmy się na Sama. Nie byłam pewna, czy on rzeczywiście wygląda jak Sam, ale wszyscy twierdzili, że tak. Imię mi się podobało, dla żadnego z nas nie miało negatywnych konotacji, więc chętnie na nie przystałam.

To dziwne, ale miałam wrażenie, że kiedy tylko Sam dostał imię, zyskał też osobowość. Z jakiegoś powodu od tej myśli bolało mnie serce. Potem zrozumiałam, że to nie ból, tylko lęk: bałam się ogromnej odpowiedzialności za życie, cenniejsze dla mnie niż jakiegokolwiek inne, łącznie z moim własnym.

W porze odwiedzin podwójne drzwi na oddział otworzyły się i ujrzałam ojca kroczącego ku nam. Niemal nie było go widać zza gigantycznego bukietu kwiatów, a jego dziewczyna, Gillian, sunęła obok, niepewna i speszona.

Nerwowo zerknęłam na mamę i w myślach przeklełam

ojca za przyprowadzenie tu Gillian z pełną premedytacją, choć okazja była czysto rodzinna. Matka odeszła krok od łóżka i zaczęła grzebać w torebce, jakby zaznaczając, że nie ma zamiaru walczyć o miejsce przy korycie.

— No więc, jak go nazwaliście? — ryknął ojciec, pochylając się nade mną i nadstawiając policzek do pocałowania.

Cały oddział zamilkł. Nawet noworodki przestały mlaskać przy piersi, a te, które akurat nie jadły, przestały pomrukiwać. Oczy wszystkich zwróciły się na mojego ojca. Niektórzy patrzyli z nieskrywanym podziwem na jego hałaśliwą pewność siebie, inni zaś okazywali otwartą niechęć. Oczywiście jednak było, że na wszystkich zrobił wrażenie.

— Postanowiliśmy dać mu na imię Sam — poinformowałam ojca i podświadomie obronnym gestem położyłam rękę na stojącym obok łóżeczku.

— Sam! — Ojciec niemal splunął tym słowem, wypowiadając je z obrzydzeniem. — Co to za imię, na litość boską?! Jak dla jakiegoś pieprzonego psa! Myślałem, że będzie się nazywał Harold na cześć moją i mojego ojca! Nie ma z ciebie żadnego pożytku.

Potem, nie zerknąwszy nawet na pierworodnego wnuka, cisnął kuriozalnie ostentacyjny bukiet na łóżko, odwrócił się na pięcie, warknął „Gillian!” i wyszedł z sali noworodków,

pozwalając, żeby trzasnęły za nim drzwi.

Zobaczył Sama dopiero po dziewięciu miesiącach. Jednak do tego momentu wszystko się zmieniło. Nic już nie miało być jak dawniej i z trudem znosiłam widok jego rąk na moim ukochanym synu.

Rozdział 3

Chociaż w ciągu ostatnich kilku lat prawie nie kontaktowałam się z ojcem i nie odgrywał w moim życiu żadnej roli, musiało upłynąć parę tygodni, zanim zdecydowałam się mu wyznać, że jestem w ciąży. Wiedziałam, że według niego Tom nie jest mnie godzien, co było o tyle zabawne, że sam pochodził ze znacznie uboższej rodziny. Różnica polegała na tym, że Tom dobrze się czuł w swojej skórze, a mój ojciec przez całe lata wspinał się po drabinie społecznej i z dumą wzniósł się ponad dzieciństwo spędzone w mieszkaniu komunalnym. Został zamożnym biznesmenem, odnoszącym sukcesy i mającym władzę. Dla niego liczyły się tylko status, pieniądze i wygląd, kiedy więc w końcu powiedziałam mu o ciąży, byłam zaskoczona, gdy oznajmił, że bardzo się cieszy i nie może się doczekać pierwszego wnuka. Niestety, wszelkie uczucia, jakie mogły w nim drzemać, wyparowały w dniu przybycia do szpitala, kiedy to imię mojego dziecka okazało się ważniejsze niż samo dziecko.

Tom i ja wzięliśmy kredyt i gdy byłam w czwartym miesiącu ciąży, kupiliśmy dom. Chociaż lubiłam mieszkać z rodzicami Toma, własny dom był dla mnie bardzo ważny. Pierwsze mieszkanie kupiłam w wieku zaledwie dwudziestu jeden lat. Pracowałam wtedy w sklepie i pensja ledwo starczała na czynsz, ale było warto. Wstawiłam do niego meble, które ojciec zamierzał wyrzucić, pomalowałam ściany, zawiesiłam zasłony w oknach i utrzymywałam nienaganny porządek. Byłam z tego mieszkania bardzo dumna między innymi dlatego, że stanowiło dowód na to, że poradziłam sobie z problemami, jakie miałam jako nastolatka, i pokazałam nauczycielom — i mojemu ojcu — że się mylili, bo jednak coś osiągnęłam. To było pierwsze miejsce, w którym czułam się bezpiecznie, bo mogłam zamknąć drzwi i samej decydować, kogo zapraszam do mojego domu i życia. Miałam potworne dzieciństwo i dopóki nie kupiłam tego mieszkania, nigdy nie dostałam szansy na podjęcie samodzielnej decyzji.

Kiedy byłam dzieckiem, każdy aspekt mojego życia był całkowicie kontrolowany; nawet jako osoba dorosła wciąż w wielu sytuacjach czułam wpływ ojca. Jego rodzice mieli bardzo mało pieniędzy, ale on ciężko pracował, żeby odnieść sukces jako biznesmen, a jego determinacja, żeby zostać kimś, była tak wielka, że nie zważał na trupy, po których deptał w drodze do celu.

Miał dwie natury. Dla przyjaciół — ekscentryczny,

uwielbiający zabawę, ekscytujący i pociągający playboy i gospodarz niezliczonych ekstrawaganckich przyjęć. Dla rodziny — przerażający, skupiony na sobie, brutalny pijak, surowy służbista, który gardził kobietami, obcokrajowcami, katolikami, biedakami, bezdomnymi, ludźmi słabymi lub w jakiś sposób upośledzonymi, palaczami... Lista niemal nie miała końca.

Regularnie dręczył moją matkę zarówno psychicznie, jak i fizycznie, prześladował i bił brata i mnie; odcisnął na moim dzieciństwie piętno, którego nigdy do końca się nie pozbyłam. Zanim on i moja matka rozwiedli się, gdy miałam siedem lat, szkody były już nieodwracalne: stałam się nerwową, dezorientowaną, przerażoną dziewczynką, która nie miała za grosz pewności siebie. Wyrosła z niej zagubiona nastolatka, pogrążona w głębokiej depresji.

Moja matka była ładną, nieśmiałą kobietą, która dojrzewiała w cieplarnianych warunkach zamożnej rodziny i została wychowana na osobę naiwną i niepewną siebie. Mój ekstrawertyczny, pewny siebie i zawadiacki ojciec omotał ją całkowicie i zakochała się w nim do szaleństwa. Była zdruzgotana, kiedy w noc przed ślubem przyłapała go w łóżku z inną kobietą. On jednak potrafił wyjść cało z każdej sytuacji, choćby wydawało się, że nie ma szans na uniknięcie odpowiedzialności, ale ona naprawdę go kochała. Wybaczyła mu grzechy i ślub się odbył. Dopiero później zaczęło do niej

docierać, że mężczyzna, który wydawał się tak kochający i troskliwy, był w rzeczywistości egoistycznym, agresywnym draniem z niemal nieograniczonym i perwersyjnym apetytem seksualnym.

Ojciec zawsze dużo pił i przechodził przez różne stadia upojenia. W pierwszej fazie był czarującym, czułym gawędziarzem, z którego opowieści wszyscy się zaśmiewali i powtarzali, jaki z niego świetny facet. Ale ostatnie stadium, które zazwyczaj zaczynało się już w domu, gdy był sam na sam z moją matką, wyglądało całkiem inaczej: stawał się wściekły, agresywny i przerażający.

Rodzice pobrali się we wczesnych latach sześćdziesiątych XX wieku i chociaż matka byłaby skłonna zebrać się na odwagę i odejść, kiedy zaczęło do niej docierać, jaki jej mąż był naprawdę, jej rodzice — i wszyscy ludzie, którzy ją znali — wydawali się porażeni wizją rozwodu. Niestety, to ojciec wykazywał bezwzględną determinację do robienia wszystkiego, czego chciał, i zdobywania tego, co mu się podobało, nie zważając na opinie innych. Matka zawsze starała się postępować właściwie i nie odważyłaby się spowodować wstydu na siebie i rodzinę.

Po ślubie pracowała, żeby ojciec mógł studiować. Nie zarabiała dużo, ale już cztery lata po skończeniu przez ojca uniwersytetu stać ich było na wprowadzenie się z nowo narodzonym synem do czteropiętrowego domu w najbardziej

prestiżowej okolicy miasta. Mieszkali tam jeszcze, kiedy się urodziłam, kilka lat później.

W ogromnym domu na samym dole była staromodna kuchnia z dużą kuchenką gazową, wielką spiżarnią i przylegającą do niej pralnią. Wyżej, czyli na parterze, znajdowały się pokoje rodzinne, ale to jadalnie i salony na pierwszym piętrze były najbardziej imponujące. Umeblowano je pięknymi, wypolerowanymi antykami, a na ścianach wisiały olejne obrazy w bogato rzeźbionych i zdobionych ramach. Pomieszczenia miały wysokie sufity, a duże okna o doskonałych proporcjach wychodziły na zarośnięty drzewami plac po drugiej stronie ulicy.

Mój ojciec uwielbiał obrazy; dwa z nich zapamiętałam szczególnie dobrze. Jeden przedstawiał go jako siedmioletnie dziecko, drugi jego matkę. Portret ojca oprawiony był w ciężką, połączaną ramę, a na plakietce wygrawerowano imię, wiek i datę. Wisiał nad jednym ze staroświeckich kominków w salonie. W każdym innym domu, w jakimkolwiek ojciec mieszkał, malowidłu przypadało najbardziej zaszczytne miejsce. Nie wiem, czy naprawdę namalowano je, kiedy ojciec był dzieckiem. Pomijając już, że jego rodzice byli biedni, nie wydawali się ludźmi, którzy zamawialiby olejny portret syna bez względu na to, jak bardzo uwielbiała go matka. Być może ojciec sam zlecił namalowanie wizerunku, kiedy był już dorosły. Posiadanie olejnego portretu z

dzieciństwa doskonale wpasowywało się w jego aspiracje, a przynajmniej w wyobrażenie tego, kim powinien być się urodzić.

Ojciec był dla mnie i dla mojego brata Iana bardzo surowy, nie przypominam sobie, żeby się kiedykolwiek z nami bawił albo dokądś nas zabierał. Kiedy nie pracował, nie grał w tenisa lub nie imprezował, spał i nie miał ani czasu, ani ochoty nami się zajmować. Uważał, że dzieci powinny jak najmniej rzucać się w oczy, a w uszy w ogóle. Rzadko z nami rozmawiał, choć krzyczał na nas nieustannie, szczególnie na mojego brata, którego nazywał beksą-lalą.

Kiedy tylko matka słyszała, że ojciec wraca z pracy, starała się, żebyśmy zniknęli mu z oczu, ale zły nastrój wyładowywał wtedy na niej. Wydawało się, że jeśli w domu nie było gości, to zawsze miał zły humor. Krytykował moją matkę i warczał na nią, aż doprowadzał ją do łez, a kiedy już płakała, wściekał się jeszcze bardziej.

Całkiem inaczej zachowywał się, gdy w pobliżu byli inni ludzie. Śmiał się wówczas głośno i zaraźliwie, był czarujący, jeśli tylko zechciał, i uwielbiał wydawać przyjęcia. Moim bratem i mną zajmowała się niania, a matka robiła zakupy, gotowała, sprzątała, a potem poprawiała fryzurę i makijaż, wkładała ładną sukienkę i z uśmiechem częstowała potrawami przyjaciół i kolegów ojca oraz ich żony i dziewczyny.

Mimo że uwielbiał przyjęcia, nigdy nie świętował naszych urodzin ani nawet Bożego Narodzenia. Nie pamiętam z dzieciństwa ani jednej Gwiazdki. Raz, kiedy urządziłam przyjęcie urodzinowe, po wyjściu gości zebrał wszystkie moje prezenty do czarnego worka na śmiecie i wyniósł.

Jedyna sytuacja, w której ojciec okazywał zainteresowanie swoim dzieciom, to występy przed gośćmi. Byliśmy jak kukiełki, które ożywały tylko wówczas, kiedy postanawiał pociągać za sznurki i popisać się nami. Miałam trzy lata, gdy zaczął mnie uczyć bajek po francusku, które musiałam na jego życzenie recytować. Goście stali wokół mnie, sączyli whisky z kryształowych szklanek i uśmiechali się życzliwie, kiedy ja bez żadnego zrozumienia klepałam obce słowa, nauczona ich na pamięć jak papuga.

Nie przypominam sobie dziś tych bajek, ale wciąż pamiętam, jak bardzo się bałam nagłych wybuchów gniewu ojca, kiedy pomyliłam się w czasie nauki. Cała się trzęsłam, zaciskałam małe piąstki, aż były mokre od potu, a paznokcie wbijały mi się w skórę. Ojciec górował nade mną niczym ucieleśnienie grozy, a ja wypowiadałam dziwne, niezrozumiałe dla mnie słowa. Mój strach był usprawiedliwiony, bo jeśli choćby raz się pomyliłam, ojciec kazał mi zdjąć majtki, położyć się na łóżku i bił mnie paskiem. Wrzeszczał, że jestem bezużyteczna, a potem odsyłał mnie do łóżka bez kolacji.

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień dotyczy wydarzenia sprzed moich trzecich urodzin. Ja i brat nie mieliśmy wstępu do pokoiów na pierwszym piętrze domu. Wolno nam było przebywać tylko w pokoju zabaw piętro wyżej. Kiedy jednak ojciec był w pracy, matka pozwalała nam robić w zasadzie wszystko, co chcieliśmy, i któregoś dnia postanowiliśmy pobawić się w salonie w pociąg. Ian z przodu wydawał bardzo realistyczne odgłosy parowej lokomotywy, a ja trzymałam go w pasie, biegłam za nim i co kilka minut wołałam: czu-czu!, choć moja imitacja gwizdka nie była aż tak udana.

Nagle Ian się potknął i runął głową prosto na jedno z wielkich okien. Ogłuszająco huknęło, kiedy szyba pękła, a potem wielką taflą runęła na podłogę, cudem omijając Iana, któremu niechybnie obcięłaby głowę. Ja krzyczałam, a Ian stał w milczeniu, zbyt zszokowany, żeby zareagować. Po kilku sekundach dotknął czoła, a potem patrzył na zakrwawione palce, jakby nie rozumiał, co się stało.

Wciąż się darłam, kiedy usłyszałam krzyk i w tym momencie drzwi się otworzyły i ojciec wpadł do salonu, a zaraz za nim matka.

Później dowiedzieliśmy się, że właśnie wracał do domu skrajem zadrzewionego placu, kiedy zobaczył mojego brata wpadającego na okno, a potem pękającą szybę. Jednak zamiast zmartwić się długą, głęboką raną, z której płynęły

strumienie krwi, albo ucieszyć, że cudem uniknęliśmy śmierci, wpadł w furję, bo bawiliśmy się w salonie.

Kiedy ojciec wbiegł do pokoju, Ian wciąż stał bez ruchu przy pustej ramie okiennej, kompletnie oszołomiony. Nagle szok minął i zaczął się trząść na całym ciele. Wtedy ojciec niemal przeleciał przez salon, dopadł syna i chwycił za ramiona.

— Co wy tu, do diabła, robicie?! — wrzeszczał prosto w zakrwawioną twarz mojego brata. — Nie wolno wam się bawić w salonie! — Po każdym słowie uderzał Iana w ramię, a w końcu wrzasnął: — Ile razy muszę wam powtarzać coś tak prostego?!

Mój brat zadrżał i odsunął się.

— Proszę cię, Harry — powiedziała matka i położyła ojcu dłoń na ramieniu, ale bardzo szybko ją zabrała. — Musimy zawieźć Iana do szpitala, to poważna rana.

— Do szpitala? — Ojciec miał czerwoną twarz i wiedziałam, że za chwilę całkiem straci nad sobą kontrolę. — Do pieprzonego szpitala?! — wrzasnął ponownie. — Idźcie do swoich pokoi, oboje! — Obrócił się, zrobił krok w moją stronę, do sofy w kwiaty, przy której się kuliłam, i dodał: — Natychmiast!

Kiedy uciekałam z salonu, słyszałam, jak matka prosi go jeszcze raz. Potem głośno krzyknęła i wiedziałam, że ją uderzył.

Usiadłam na łóżku i płakałam przerażona tym, co się stało, i tym, co będzie. Kilka minut później ojciec wszedł do mojego pokoju i zaczął powoli rozpinąć pasek. Nie musiał nic mówić, sama ściągnęłam majtki do kolan i położyłam się na łóżku na brzuchu, a on uderzył mnie pasem dziesięć razy. Potem niezdarnie się podniosłam i usiłowałam wciągnąć majtki na zakrwawione pośladki.

— Idź do pokoju brata — warknął ojciec, a na jego twarzy widziałam nienawiść i furję.

Pokuśtykałam przez korytarz i bezradnie stanęłam obok Iana, który siedział na łóżku i płakał, a jego łzy mieszały się z krwią, ciekącą wciąż z rozciętego czoła.

Kiedy podniosłam wzrok, ojciec stał w drzwiach i patrzył na nas z obrzydzeniem.

— Zostaniecie tu bez jedzenia i wody do poniedziałku rano — oświadczył lodowato, a potem odwrócił się, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Był piątek wieczorem, ja miałam dwa lata, Ian pięć i nie mieliśmy pojęcia, jak dużo czasu zostało do poniedziałku.

Po jakimś czasie do pokoju weszła matka z tacą z kanapkami i dwiema szklankami wody. Kiedy tylko otworzyła drzwi, jak za sprawą magii za jej plecami pojawił się ojciec.

— Sądziłem, że wyraziłem się jasno: oni nie jedzą ani nie piją — wycedził powoli i złowrogo.

Matkę przeraziło ciche i nagłe pojawienie się ojca, a kiedy

obróciła się, żeby na niego spojrzeć, jedna ze szklanek przewróciła się i woda zalała kanapki. Postawiła szklanę i szybko zamrugła, jednocześnie błagając:

— Proszę cię, Harry. To tylko dzieci. Muszą jeść. Pozwól im się przynajmniej napić. Nie mogą spędzić bez jedzenia i wody dwóch dni.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, ojciec wyciągnął rękę i na odlew chlasnął ją w twarz, a ona upuściła tacę na jego stopy.

— Podnieś to — syknął.

Kiedy padła na kolana, żeby posprzątać rozmokłe kanapki i dwie puste szklanki po wodzie, kopnął ją. Potem, chwiejąc się, wyszła z pokoju, ojciec podążył za nią i zamknął drzwi, a my słuchaliśmy jego kroków cichnących w korytarzu.

Przez następne dwa dni i trzy noce brat i ja graliśmy w gry; kiedy głód i pragnienie były zbyt silne, żeby je zignorować, płakaliśmy i dużo spaliśmy. Matka regularnie do nas zaglądała, z niepokojem patrzyła na rozcięcie na czole Iana, a potem prowadziła nas do toalety. Później szybko nas przytulała, zerknęła przestraszonymi oczami przez ramię i mówiła, żebyśmy nie płakali, bo już niedługo będziemy mogli coś zjeść.

Przez ten weekend poznaliśmy cenę za nieposłuszeństwo wobec ojca. Tę lekcję przypomiinałam sobie za każdym razem, gdy widziałam bliznę na czole brata, ale były w nas

znacznie większe blizny, których nikt nie widział.

W naszej kuchni było pełno myszy. Ojciec nienawidził zwierząt wszelkich gatunków, a szczególnie tego, co małe i szybkie, więc kiedy wracał w nocy pijany albo w weekendy, wysyłał na dół po lody mnie albo Iana. Nienawidziłam chodzić na dół po ciemku, nawet jeśli nie spotykałam myszy, bo i tak się ich bałam.

Ostrożnie szłam po schodach, a potem desperacko wymacywałam włącznik, który zapalał światło w korytarzu prowadzącym do kuchni. Serce tłukło mi się o żebra i musiałam zaciskać nogi, żeby się nie posusiać ze strachu, gdy zmuszałam się do pozostania na miejscu i znalezienia włącznika. Czasem musiałam podjąć kilka prób; wracałam biegiem na górę i w świetle holu ponownie zbierałam się na odwagę.

Gdy w końcu docierałam do drzwi kuchni, słyszałam małe łapki skrobiące po płytach podłogowych, więc sama tupałam i waliłam pięściami w ściany, a potem odczekiwałam chwilę, żeby myszy zdążyły uciec do swoich dziur. Nie śmiałam jednak zbyt długo zwlekać, bo wiedziałam, że ojciec z rosnącą niecierpliwością i irytacją czeka na lody, a jego bałam się bardziej niż myszy.

W końcu po raz ostatni dudniłam w drzwi i wkraczałam do kuchni, a na widok łysych ogonków znikających pod komodą albo nierównymi listwami przypodłogowymi przesywał mnie

dreszcz. Później otwierałam drzwi zamrażarki, nakładałam lody do miseczki, a przy tym cały czas śpiewałam albo mówiłam do siebie, żeby oczekujące w ukryciu myszy nie pomyślały, że już sobie poszłam, i nie wychynęły przedwcześnie z kryjówek.

Nie cierpiałam tych wypraw i od tamtej pory boję się myszy. Jednak chciałam mieć chomika i ku mojemu zdumieniu, kiedy miałam pięć lat, ojciec zgodził się, żeby matka kupiła mi zwierzątko.

Pokochałam Daisy, kiedy tylko spojrzałam na nią po raz pierwszy. Mieszkała w pralni, w pomieszczeniu obok kuchni, ale czasem, kiedy ojciec był w pracy, mój brat i ja wyjmowaliśmy ją z klatki i zabieraliśmy na górę do salonu. Trzymaliśmy ją w rękach, głaskaliśmy i pozwalaliśmy jej biegać po stoliku do kawy, ustawionym przy kanapie. Potem znów ją łapałam i próbowałam pocałować w mały, ruchliwy, różowy nosek.

Któregoś dnia, kiedy Daisy była w salonie, uciekła nam i razem z Ianem jeszcze jej szukaliśmy, gdy ojciec niespodziewanie wrócił z pracy. Kiedy tylko usłyszeliśmy na schodach jego kroki, szybko usiedliśmy na kanapie tak, jak tego wymagał: z plecami prostymi jak kije od szczotki i rękami na kolanach. Tylko że tym razem ściszałam dłonie tak mocno, że czułam w nadgarstkach nieznośne pulsowanie krwi.

Modliłam się po cichu, ale nie miałam wielkiej nadziei, że wysłucha mnie okrutny Bóg, o którego gniewie tak często i ze wszystkimi szczegółami opowiadała mi babcia.

— Proszę — powtarzałam w duchu — nie pozwól tatusiowi zobaczyć Daisy. Proszę, niech pozostanie w ukryciu dopóty, dopóki on nie wyjdzie z pokoju. Będę już zawsze grzeczna. Obiecuję.

Wiedziałam, że przynosząc chomika do salonu, złamaliśmy zasady, ale było mi jej żal, samotnej w zimnej pralni. Byłam pewna, że usłyszymy klucz ojca w zamku drzwi wejściowych i zdążymy zbiec po tylnych schodach i odnieść Daisy do klatki, zanim ojciec wejdzie do domu.

Nagle kątem oka zobaczyłam coś białego. To chomik przebiegł po oparciu krzesła obok mnie. Szybko zerknęłam na ojca, mając nadzieję, że nic nie zauważył. Ale choć wyraz jego twarzy prawie się nie zmienił, wiedziałam, że widział.

Wstrzymałam oddech i zamknęłam oczy, a łzy ciekły mi po policzkach, kiedy czekałam na nieuchronny wybuch gniewu. Ku mojemu zdumieniu ojciec się nie odezwał, a gdy po kilku sekundach odważyłam się znów spojrzeć, stał tyłem do okna, z ustami zaciśniętymi w wąską linię i wyrazem obrzydzenia na twarzy. Na mnie i mojego brata patrzył chłodno.

Później, w grobowym rytmie staccato, zwrócił się wprost do mnie:

— Zabierz to z powrotem tam, skąd wzięłaś.

Złapałam ciepłe, puchate ciało w ręce i wybiegłam z pokoju, zanim zdążył zmienić zdanie. Nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. Czy naprawdę udało nam się uniknąć straszliwego bicia, które czekało nas po każdym akcie nieposłuszeństwa czy błędzie? Nadszedł wieczór, a ojciec siedział zamknięty w gabinecie i wydawało się, że tak, udało się!

Następnego dnia rano, gdy wślizgnęłam się do kuchni na śniadanie, ojciec nie podniósł wzroku znad gazety. Cicho usiadłam na krześle, uważniej niż zwykle pilnując, żeby nie szurać nim po kamiennych płytach. Potem sięgnęłam do srebrnego stojaka na grzanki i aż krzyknęłam. Tuż obok mojego talerza stała pusta butelka po mleku, a w niej mój chomik, ściśnięty, uduszony.

Ojciec opuścił gazetę i pochylił się ku mnie nad stołem. Ze straszną miną, wyrażającą mściwą satysfakcję, powoli, wręcz cedząc słowa, powiedział:

— Tak się dzieje, gdy nie robisz tego, co powinnaś.

Pękło mi serce. Cała się trzęsłam i było mi niedobrze z powodu szoku i świadomości, że ta straszliwa śmierć, jakiej doświadczył mój chomiczek, była moją winą. Gdybym nie złamała zasad, Daisy wciąż biegałaby wesoło po klatce. W tamtej chwili wiedziałam, że ojciec ma rację: jestem bezwartościowa i zła, bo nie zrobiłam tego, co mi kazał, i tym samym ją zabiłam.

Rozdział 4

*P*ierwszy raz ojciec zbił mnie pasem, kiedy miałam dwa lata. Szybko nauczyłam się, że jego słowo jest nakazem. Jeśli nie zrobiłam tego, czego żądał, coś w nim jakby przeskakiwało i bez względu na to, w jakim nastroju był wcześniej, w ciągu sekundy wpadał w lodowatą, przerażającą furję. Nic nie usprawiedliwia bicia dziecka, ale poza jakimkolwiek wyobrażeniem jest katowanie dwulatki pasem. Ojciec stawał się agresywny wobec mnie tylko wówczas, gdy rzeczywiście byłam niegrzeczna, więc myślałam, że jego gniew to moja wina.

Żeby uderzyć matkę albo ją skatować, nie potrzebował powodu. Czasem robił to tylko po to, żeby jej przypomnieć — a może także mnie i Ianowi — kto tu rządzi. My jednak i tak nie mieliśmy wątpliwości, że rządzi on, całkowicie i niepodzielnie. Wydawało się, że kontroluje każdy nasz oddech. Szybko nauczyłam się analizować, czy to, co zamierzam zrobić, może go rozgniewać, a to oznaczało, że żyłam w stanie ciągłego, nieznośnego napięcia.

Dla ojca mój brat i ja byliśmy elementami codzienności; powinniśmy się nauczyć szanować go i słuchać, ale sami mogliśmy być ignorowani. Myślę, że jedynym powodem, dla którego w ogóle miał dzieci, było to, że pasowały do wizji życia, jakiego pragnął: odnoszący sukcesy biznesmen, mieszkający w drogim domu, we wpływowym i prestiżowym sąsiedztwie, z żoną z dobrej rodziny i dziećmi, które recytowały wierszyki i bajki po francusku, dopóki poza zasięg wzroku nie odprowadziła ich niania.

Co zaskakujące, ze wszystkich niezliczonych rzeczy, które mnie bolały i przerażały w dzieciństwie, najgorsza była przemoc ojca wobec matki. Wiele razy myślałam, że ją zabije.

Pewnej nocy, kiedy miałam pięć lat, obudził mnie czyjś szloch. Leżałam na plecach i nasłuchiwałam, a po kilku chwilach zdałam sobie sprawę, że to matka płacze. Wypuściłam powietrze, które wstrzymywałam, a razem z nim wydałam cichy, zbolący jęk i zaczęłam odliczać. Jeden, dwa, trzy... Zanim dojdę do dziesięciu, ucichnie. A jeśli nie... Przestałam liczyć i znów nasłuchiwałam.

Może rodzice tylko się bawią. Poprzedniej nocy słyszałam krzyki matki, ale kiedy zapytałam ją o to następnego dnia rano, powiedziała, że tylko „dokazywali”. Więc może i tym razem, jeśli wsłucham się dostatecznie dobrze, usłyszę jej śmiech i okaże się, że wszystko w porządku.

Ale w głębi rozszalałego serca wiedziałam, że to nie

zabawa.

Słyszałam, że ojciec krzyczy coś, oschle i gniewnie, a potem znów rozległ się krzyk matki. Tym razem nie miałam wątpliwości, że w jej głosie rozbrzmiewa panika. Zarzuciłam kołdrę na głowę, żeby się odciąć, i próbowałam przełknąć kulę strachu, która utkwiała mi w gardle. Wiedziałam jednak, że nie mogę zostawić matki, może potrzebowała pomocy.

Na chwilę mocno zacisnęłam powieki, a potem jednym gwałtownym ruchem usiadłam i postawiłam stopy na podłodze. Na palcach wyszłam z pokoju i zaczęłam skradać się po grubym dywanie. Liczyłam po cichu kroki, żeby skupić się na czymś innym niż strach.

Kucnęłam na szczycie schodów i wysunęłam głowę między szczeblami, jak mogłam najdalej, żeby zobaczyć rodziców stojących na podeście między parterem a pierwszym piętrem. Ojciec miał na sobie garnitur, ale guzik pod szyją był rozpięty, krawat przekrzywiony i poluźniony, a coś w jego spojrzeniu podpowiadało mi, że pierwsze stadia upojenia alkoholowego ma dawno za sobą.

Matka stała kilka stopni nad nim, miała na sobie tylko nocną koszulę, a ojciec trzymał ją za włosy. Ciągnął ją za nie i raz po raz uderzał w bok głowy, a ona jedną ręką próbowała złapać się poręczy, a drugą osłonić przed ciosami.

Na moment oszołomiły mnie pozbawiony wesołości śmiech ojca, okrutne, zaciśnięte usta i jego brutalny atak.

Później zauważyłam stojącą u podnóża schodów młodą kobietę w krótkiej czarnej spódnicy i wyszywanym cekinami, wydekoltowanym topie w kolorze czerwonego wina. Patrzyła na moich rodziców z dołu, uśmiechając się krzywo.

Poczułam ulgę. To musiała być zabawa, bo przecież niemożliwe, żeby jakikolwiek dorosły po prostu stał i patrzył, jak mężczyzna bije kobietę.

Nagle ojciec wyplątał palce z włosów matki, położył jej ręce na ramionach i mocno popchnął. Runęła na plecy, a jej krzyk stopił się z moim, kiedy ku niej biegłam.

Gdy dotarłam na sam dół, leżała bez ruchu na wyłożonej marmurowymi płytkami podłodze holu. Byłam pewna, że nie żyje. Upadłam na kolana i krzyczałam: „Mamusi, mamusi!” Potrząsałam jej ramionami, żeby przywrócić ją do życia.

Po upadku matki młoda kobieta cofnęła się o kilka kroków i niepewnie ruszyła na wysokich obcasach w stronę salonu, a wtedy matka jęknęła i przesunęła głowę. Kobieta zatrzymała się i zachwiała lekko, obracając się, żeby na nas spojrzeć. W tej chwili ojciec jednym susem pokonał drogę na dół, złapał mnie za ramię i ostro podniósł na nogi.

— Wstawaj! Rusz się! — wrzeszczał na matkę. — Nic ci się nie stało. Może następnym razem, jak usłyszysz, że przyprowadziłem gościa, zostaniesz w łóżku i nie będziesz wtykać pieprzonego nosa w nie swoje sprawy! Ja decyduję, z kim spędzam czas i kogo przyprowadzam do domu, a jeśli ci

się nie podoba, to spieprzaj!

Pochylił się, złapał matkę pod pachy i podciągnął do pozycji stojącej. Potem na wpół ją przeniósł, na wpół zaciągnął przez hol i oparł o ścianę przy drzwiach wejściowych. Zachwiała się i niemal upadła, a ja ruszyłam w jej stronę, żeby objąć ją w pasie.

— Wynocha, no już! — wrzasnął ojciec i otworzył drzwi na oścież. — Obydwie!

Śnieg, który zaczął padać, zanim poszłam do łóżka, sypał dalej, powoli i równomiernie. Pokrył już białą warstwą ulicę i chodnik przed domem, lśnił w świetle padającym z otwartych drzwi. Matka popatrzyła na ojca i widziałam, że ze wszystkich sił stara się nie płakać, by nie rozwścieczyć go jeszcze bardziej.

— Proszę cię, Harry — powiedziała. — Nie możesz nas wyrzucić na śnieg w samych koszulach.

— Mogę zrobić wszystko, co mi się spodoba! — odkrzyknął ojciec. — Trzeba było myśleć o śniegu, zanim zaczęłaś się wtrącać.

Mówiąc to, złapał matkę za nadgarstek, drugą dłoń położył mi na plecach i wypchnął nas w ciemną, zimną noc. Kiedy bosymi stopami dotknęłam lodowatego śniegu, usłyszałam, jak drzwi się zatraskują i klucz przekręca w zamku.

Trzęsłam się cała, a kiedy mocniej objęłam matkę w pasie,

poczułam, że krzywi się z bólu. Jednak mimo cierpienia, które musiała odczuwać po upadku ze schodów, podniosła rękę, objęła mnie za ramiona i mocno przycisnęła do siebie. Też drżała.

Tę noc spędziłyśmy u sąsiadów, a zanim zasnęłam, zastanawiałam się, czy podeszwy stóp kiedykolwiek przestaną mnie palić.

Nie wiedziałam, kim była młoda kobieta, której towarzystwo tamtej nocy mój ojciec przedkładał nad obecność matki. Wątpiłam, czy on sam wiedział albo czy w ogóle go to obchodziło. Znalazł ją w jakimś barze w mieście, a kiedy rano pozwolił matce i mnie wrócić do domu, już jej nie było.

Matka wychowała się w dostatku, z dala od surowej rzeczywistości i złej doli nieszczęśliwych ludzi. Jej ojciec odziedziczył interes założony przez dziadka i wuja, a ona dorastała w warunkach, o jakich tak marzył mój ojciec. Religijni rodzice byli surowi i przekonani, że dzieci muszą wcześniej nauczyć się samodzielności, dlatego matka już pracowała, kiedy poznała ojca. Myślę, że po moim urodzeniu nie miała wiele pieniędzy, jeśli w ogóle jakiegokolwiek, ale wciąż pozostawał jej dom na wybrzeżu, do którego czasem jeździliśmy w czasie wakacji.

Po latach opowiedziała mi, co pewnego wieczoru zrobił mój ojciec, kiedy spędzaliśmy tam ferie. Rodzice zostawili

mnie i brata z opiekunką, a sami poszli na kolację z tańcami. Ten wieczór był w jakiś sposób powiązany z interesami ojca, więc ciskał się i wrzeszczał, jeszcze zanim wyszli z domu. Mimo krzyków i ciągłego pospieszania matka zawsze wyglądała pięknie, gdy wychodziła wieczorem. Uwielbiałam lekki, kwiatowy zapach jej perfum, które unosiły się w moim pokoju po tym, jak wychodziła po ucałowaniu mnie na dobranoc.

Wtedy też była zima i padał śnieg. Ojciec powoli prowadził auto przez wyludnione, zasypane śniegiem pola, a potem nagle o coś się wściekł i zaczął krzyczeć. Wcisnął hamulec i kazał matce wysiąść. Miała na sobie szpilki z haftowanej satyny, długą suknię balową i krótkie futerko, które raczej zdobiło, niż zapewniało ciepło czy ochronę przed warunkami atmosferycznymi.

— Proszę cię, Harry — błagała. — Do domu jest pięć kilometrów. Zamarznę na śmierć, nie umiem chodzić w tych butach.

— Więc je zdejmij! — krzyknął ojciec, nachylił się, żeby otworzyć drzwi po stronie pasażera, i wypchnął ją na zasypane śniegiem pobocze.

Ponad dwie godziny matka brnęła przez czarne pola na bosaka. Gdy dotarła do domu, skórę miała czerwoną i z zimna straciła czucie. Samochód stał zaparkowany na podjeździe, niańka już poszła, a ja i brat spaliśmy w swoich

łóżkach. Ale chociaż matka szukała ojca, nie było po nim ani śladu.

Szczękała zębami i miała wrażenie, że w jej ciało wbijają się miliony igiełek. Rozebrała się z przemoczonego ubrania i natarła ręcznikiem. Wiedziała, że powinna spróbować rozgrzać odmrożone kończyny i podnieść temperaturę ciała w ciepłej kąpieli, ale była tak zrozpaczona i wyczerpana, że nie miała nawet siły włożyć nocnej koszuli. Wślizgnęła się pod kołdrę i od razu zasnęła.

Zaledwie kilka minut później obudziła się nagle, bo ciężkie mahoniowe drzwi jej szafy huknęły o ścianę. Otworzyła oczy, ale w pokoju było ciemno choć oko wykol. Widziała tylko ciemną sylwetkę mężczyzny, który z rykiem mrozącym krew w piersiach wychodził z jej szafy. Była tak zszokowana i przerażona, że nie mogła oddychać, i przez chwilę myślała, że ma atak serca. Wyciągnęła ręce i krzyknęła, gdy mężczyzna rzucił się na nią, a potem z całych sił walczyła, gdy przycisnął ją do łóżka, zerwał z jej roztrzęsionego ciała ręcznik i ją zgwałcił. Wtedy zdała sobie sprawę, że to jej mąż.

Kiedy zobaczyłam matkę następnego ranka, od razu wiedziałam, że stało się coś bardzo złego. Żyłam w stałym, niesłabnącym strachu przed tym, co może się wydarzyć, więc byłam czujna i spostrzegawcza, zatem od razu po wejściu do kuchni wiedziałam, że matka jest bardzo smutna. A ponieważ

zły nastrój matki mógł być spowodowany wyłącznie zachowaniem ojca, domyśliłam się, że jest na coś wściekły i wszystkim grozi niebezpieczeństwo, bo możemy znaleźć się w zasięgu jego gniewu.

Zwykle, gdy się budziłam i przychodziłam do kuchni na śniadanie, matka była już ubrana, starannie umalowana, a jej włosy lśniły w świetle lampy jak wypolerowany kasztan. Tego ranka poruszała się powoli, wciąż w nocnej koszuli i kapciach. Miała bladą twarz, nieuczesane włosy, a kiedy się odezwałam, odpowiedziała bezbarwnym, pozbawionym życia głosem i nawet na mnie nie spojrzała.

Jestem w stanie pojąć, dlaczego zakochała się w ojcu: umiał być charyzmatyczny, a także czuły, i bez trudu mogę zrozumieć, że oszalała na jego punkcie. Zupełnie niepojęte wydaje mi się jednak, że po tym wszystkim wciąż go kochała. Bo tak było. Nie wiem, czy on kiedykolwiek ją kochał, czy dla niego było to małżeństwo z rozsądku, bo jej rodzina i otoczenie zapewniały mu powiew godności, której pragnął, a ona sama oznaczała dostęp do cennych zasobów finansowych. Tak naprawdę wątpię, czy był zdolny do odczuwania szczerzej miłości do drugiej osoby, miał jednak niesłychaną umiejętność wyczucia momentu, żeby znów być dla niej miły, a w rezultacie matka zawsze starała się go zadowolić, zyskać jego uwagę i przychyłność. Ja zresztą też, i jako dziecko, i jako dorosła osoba. Choć ojciec bezustannie

przerażał mnie i dręczył, wciąż pragnęłam, żeby mnie lubił.

Rozdział 5

Zanim urodził się Sam, zastanawiałam się, czy moje złe wspomnienia z dzieciństwa wiążą się z lekką depresją, w jaką wtedy wpadłam, oraz z baby bluesem, który rozpoczął się niemal natychmiast po tym, jak wróciłam z synkiem do domu. Wciąż zmuszałam się, by go karmić i dbać o niego, więc udawało mi się ukryć — przed sobą i wszystkimi innymi — w jak głębokim stresie zaczęłam się pogrążyć. Wróciłam do pracy, kiedy Sam miał jedenaście tygodni, i zaczęłam się czuć tak, jakbym tonęła. Nie zdawałam sobie sprawy, że to choroba, wiedziałam tylko, że nieustannie jestem zdenerwowana, przerażona oraz nie potrafię podjąć najprostszej decyzji.

Dom, który kupiliśmy z Tomem, gdy byłam w ciąży, wymagał nakładów. Od początku wiedzieliśmy, że będziemy mieli problem ze spłatą kredytu. Nawet licząc dwie pensje, ledwie wiązaliśmy koniec z końcem, musiałam więc wrócić do pracy zaraz po narodzinach dziecka. Ale posiadanie własnego kąta było tego warte. Byliśmy tam szczęśliwi, a

jeszcze w czasie ciąży, mimo wszystkich lęków i obaw, czasem stawałam w drzwiach do pokoju, który malowaliśmy i szykowaliśmy dla dziecka, i wyobrażałam sobie, że leży już, ciepłe i bezpieczne, w małym drewnianym łóżeczku, które Tom i ja kupiliśmy razem i z dumą przynieśliśmy do domu.

Odkąd pamiętam, zawsze czułam się tak, jakbym tylko odgrywała rolę kogoś żyjącego normalnie: pracowałam, kochałam, kupiłam dom, urodziłam dziecko. Ale nagle ta rola rozrosła się ponad wszelkie moje doświadczenie i poza granice pojmowania. Udawałam spokojną i zaradną, a tak naprawdę wiedziałam, że jestem bezużyteczna i bezwartościowa, jak zawsze powtarzał ojciec, i nie umiem zadbać o dziecko. Samowi mogło przytrafić się tyle strasznych rzeczy. Każda młoda mama odczuwa wiele obaw, ale ja swoich nie potrafiłam nazwać i miałam wrażenie, że jestem jedyną granicą pomiędzy Samem a niezliczonymi, potwornymi i niezdefiniowanymi zagrożeniami.

Całe dni przeżywałam w stanie paniki. Myśl o tym, że Sam leży w łóżeczku całkowicie bezbronny, wystarczała, żeby serce tłukło mi się w piersi, a ręce lepiły od potu. Depresja, na którą cierpiałam od dawna, pogłębiła się jeszcze, bo wiedziałam, że teraz, jako matka, powinnam być szczęśliwa. I kochałam Sama do szaleństwa. Ale mój lęk o niego sprawiał, że w jakimś sensie bałam się także jego.

Na początku nikt nie zauważył, że coś jest nie tak.

Stopniowo oddalałam się od Sama, od wszystkich i wszystkiego w moim życiu. Tak jakbym stała na zewnątrz i zaglądała do środka. Karmiłam go, zmieniałam mu pieluszki, ale kiedy Tom wracał z pracy, prawie wciskałam mu Sama w rękę. A gdy wiedziałam, że on przejął odpowiedzialność, wreszcie mogłam sobie pozwolić na minimalne odprężenie i skupienie się na tym, co naprawdę chciałam robić: na sprzątanii.

Dostałam obsesji na punkcie czystości do tego stopnia, że nie mogłam myśleć o niczym innym. Nawet wieczorne oglądanie telewizji z Tomem stało się torturą i po kilku minutach zrywałam się i niemal biegłam do kuchni, żeby zmywać podłogę albo czyścić blat, który tego dnia już kilkanaście razy szorowałam silnym detergentem.

W końcu ludzie zaczęli zwracać uwagę na to, jak łatwo się irytuję i jak często płaczę. Sądzę jednak, że nawet najbliżsi zrozumieli, że coś jest nie tak, dopiero wówczas gdy strach i niepewność, które od dawna we mnie wzbierały, wreszcie wybuchły.

Miałam straszliwe koszmary. Zaczęły się mniej więcej wtedy, gdy Sam przyszedł na świat, i prawie we wszystkich występował mój ojciec. Noc po nocy budziłam się z niezwykle realistycznego snu, przerażona, złana potem, z boleśnie bijącym sercem, myśląc, że znów jestem dzieckiem. W niektórych z tych majaków ukrywałam się w szafie,

wstrzymywałam oddech i nasłuchiwałam powolnych, ciężkich kroków kogoś, kto szedł w moją stronę przez pokój. Miałam czymś owiniętą głowę, więc słyszałam tylko skrzypienie otwierających się drzwi szafy.

Czasem budziłam się w tym momencie, dziko wymachiwałam rękami i krzyczałam: „Nie, nie!” Innym razem drzwi otwierały się ze skrzypnięciem zawiasów, okrycie zdzierano mi z głowy, a ja widziałam patrzącego na mnie ojca. Przez chwilę czułam ulgę. Ale wkrótce dostrzegłam, że twarz ma złą, wykrzywioną. Łapał mnie, wyciągał z kryjówki, a ja czułam strach tak potężny, że wydawało mi się, że serce tego nie wytrzyma.

Czasem śniłam, że siedzę w wannie i wyciągam rękę, żeby dotknąć zimnej, lśniącej ściany z niebieskich kafelków. Potem czuję nagły chłód i mdłości, a kiedy odwracam głowę od ściany, naprzeciwko mnie w wannie widzę ojca. Ubrany tylko w marynarkę prążkowanego garnituru, marszczy się groźnie i mówi do mnie:

— To twoja wina, Katie. Wszystko to twoja wina.

Innym razem leżę w łóżku, w którym sypiałam jako dziecko, a kiedy się budzę, pochyla się nade mną ojciec, całkiem nagi, nie licząc cylindra na głowie. Próbuje krzyknąć, ale zakrywa mi usta krótkimi, grubymi i mocnymi palcami i syczy:

— Jeśli choć piśniesz, zabiję cię. Nie pierwszy raz ktoś

dzięki mnie będzie wachał kwiatki od spodu. — Potem wybucha oblesnym, pozbawionym wesołości śmiechem, a ja budzę się, szlochając.

Kiedy koszmary stały się częstsze, zaczęłam bać się snu i wkrótce, po męczących dniach, po których następowały bezsenne noce, byłam wyczerpana.

W końcu pewnego ranka, kilka tygodni po powrocie do pracy, wstałam od biurka, wzięłam kurtkę i torebkę i wyszłam z biura. Gdy mijałam recepcję i kierowałam się w stronę drzwi na ulicę, Jackie, recepcjonistka, zawołała za mną:

— Wszystko w porządku, Katie?

W jej głosie słyszałam niepokój, ale nie odpowiedziałam ani się nie obejrzałam. Nie chciałam, żeby widziała łzy płynące mi po policzkach, i nie chciałam się z nich tłumaczyć, bo sama nie wiedziałam, dlaczego płaczę.

Przez następnych kilka godzin snułam się bez celu po ulicach i ocierałam łzy rękawem. W końcu trafiłam na ulicę, którą rozpoznałam. Tu mieszkała Sally.

Sally była pierwszą dziewczyną mojego ojca po odejściu matki, gdy miałam siedem lat, i szybko została jego drugą żoną. Wprowadziła się do domu zaledwie kilka dni po tym, jak uciekłyśmy w nocy. Spała w łóżku mojej matki i nosiła jej ubrania, które zostały w szafie.

Miały podobny gust w kwestii strojów, ale poza tym były

od siebie całkowicie różne. Matka dbała o dom, mówiła cicho, była łagodna, dobrze wychowana, atrakcyjna, nosiła sweterki bliźniaki i perły. Bezczelna, nieporządna, chaotyczna Sally mówiła głośno, zachrypniętym głosem i była bardzo pragmatyczna. Jednak ojciec wydawał się zadowolony z zamiany żony, która gotowała, obsługiwała przyjęcia i dbała o dom i dzieci, na żonę, której talenty objawiały się w sypialni.

Co być może jeszcze ważniejsze, Sally знаła wiele dziewczyn i młodych kobiet, gotowych do udziału w przyjęciach mojego ojca i robienia za pieniądze wszystkiego, czego mężczyźni od nich chcieli. Wkrótce przyjęcia urządzone przez ojca stały się legendarne, a alkohol, kokaina i zaspokajanie wszystkich zachcianek zaczęły przyćmiewać jego rozsądek.

Moja matka zawsze była uległa, a ojciec prześladował ją i dręczył tak długo, aż w końcu całkiem utraciła chęć samoobrony. Kolejną więc różnicą między nią i Sally było to, że Sally miała własne zdanie. Myślę zresztą, że z tego właśnie powodu jej małżeństwo z ojcem nie przetrwało. Ich rozstanie przebiegło jednak w znacznie bardziej przyjaznej atmosferze niż rozwód rodziców. Jak lubiłam żartować, stało się tak po części dlatego, że Sally zbyt wiele wiedziała o seksualnych preferencjach ojca i jego wpływowych znajomych, nie mógł więc ryzykować zrobienia z niej wroga.

Mimo wszystko i ku mojemu zaskoczeniu, kiedy dorosłam, całkiem dobrze dogadywałam się z Sally i czasem wypijałam z nią drinka w pubie. To jednak nie wyjaśniało, dlaczego nagle znalazłam się przed małym domkiem, który ojciec kupił jej po rozwodzie.

Wciąż rozpaczliwie szlochając, nacisnęłam dzwonek, a potem odwróciłam się i zaczęłam odchodzić.

— To ty, Katie? — Sally wydawała się zaskoczona. — Dobry Boże, dziewczyno, wyglądasz koszmarnie! Wejź tu i schowaj się, dopóki nie doprowadzimy cię do porządku, byś znów mogła się pokazać.

Wyszła za próg, położyła ręce na moich ramionach i obróciła mnie tak, żeby poprowadzić do wnętrza domu, a potem wzdłuż holu do kuchni.

— Zdaje mi się, że potrzeba ci czegoś więcej niż filiżanka herbaty — orzekła, otworzyła kredens i wyjęła butelkę Balvenie Single Malt. Później z ociekacza przy zlewie zdjęła szklanekę, wytarła ją szarą poplamioną ścierką do naczyń, a potem sięgnęła po drugą. — Nikt nie lubi pić sam — dodała, wzruszyła ramionami i z uśmiechem nalała nam po hojnej porcji whisky, a potem zaprowadziła mnie przez hol do urządzonego ze smakiem salonu, który wyglądał, jakby padł ofiarą włamania. — Wybacz bałagan — powiedziała i żeby zrobić nam miejsce, zrzuciła z kanapy na podłogę stosy kolorowych magazynów. Nie wyglądała, jakby stan pokoju jej

przeszkadzał.

Odkąd weszłam do jej domu, nie powiedziałam ani słowa. Ale kiedy pociągnęłam whisky i poczułam ciepło rozlewające się po klatce piersiowej, coś się we mnie rozluźniło i słowa wypłynęły mi z ust bezładnym potokiem.

— Mam koszmary — powiedziałam, a łzy znów zakręciły mi się w oczach. — Zawsze występuje w nich tata. Są straszne. Nie rozumiem, co się dzieje, ale budzę się przerażona i... — potarłam czoło grzbietem dłoni i szukając właściwego słowa, przeczesalam wilgotne, matowe włosy na drugą stronę głowy — ...brudna.

Sally nigdy nie była sentymentalna, a jej bezpośrednie, ironiczne i cyniczne spojrzenie na świat często wywoływało we mnie wesołość. Byłam więc zaskoczona, gdy popatrzyła na mnie ze współczuciem i niemal zrozumieniem.

— Nie musisz nic wyjaśniać. — Wzięła duży łyk whisky, a potem zaciągnęła się papierosem. — Wiem, że kiedy byłaś mała, coś się stało. Wiem, że ojciec zrobił ci coś, co później go dręczyło.

— Jak to? Co ci powiedział? — spytałam. Zaczęłam się trząść, odczuwałam strach i zarazem pełną niepokoju ekscytację na myśl, że dowiem się czegoś, co nada sens temu bezsensownemu kłębowisku myśli, które opanowały mój umysł od tygodni. — Nie wiem, co się ze mną dzieje — przyznałam. — Czuję, że tuż pod powierzchnią mojej

świadomości ukryte jest coś potwornego. Chcę się dowiedzieć, co to, ale jednocześnie boję się tego, bo podejrzewam, że to jest naprawdę straszne, że wpłynie na mój sposób widzenia siebie. Zmieni wszystko. Udowodni, że nie jestem dobrym człowiekiem.

— Tak naprawdę nic nie wiem — zaczęła Sally, zgasła papierosa w kwadratowej szklanej popielniczce stojącej na stoliku do kawy i natychmiast zapaliła kolejnego. — Raz twój ojciec obudził się w nocy zlany zimnym potem, płakał jak dziecko i coś bełkotał. Kiedy zapytałam, co go tak przeraziło, powiedział, że to, co zrobił Katie. Nie wiedziałam, o co mu chodzi. Nigdy więcej o tym nie wspominał, a ja nie pytałam. Znasz swojego ojca.

Zerknęła na mnie szybko i domyśliłam się, że kłamie. A jeśli nawet nie wiedziała, co było przyczyną koszmaru ojca, bez trudu mogła odgadnąć.

Nagle, na kilka krótkich chwil, sny nabrały sensu. Wyraźnie zobaczyłam, co ojciec mi zrobił. Było to znacznie gorsze niż wszystko, co potrafiłam sobie wyobrazić.

— Wiem, o co chodziło — oznajmiłam.

Patrzyłam, jak szklanka w zwolnionym tempie wypada mi z ręki i zalewa trunkiem papiery i gazety leżące na podłodze koło stolika do kawy. Potem wybuchłam płaczem; obraz, który widziałam w głowie, rozmył się i zniknął, a ja siedziałam zdruzgotana, osamotniona i nic z tego

wszystkiego nie rozumiałam.

Nie pamiętam, co się stało później. Sally musiała chyba zadzwonić po Toma, a on po mnie przyjechał. Podobno wszyscy w pracy zamartwiali się, kiedy wyszłam z biura bez słowa wyjaśnienia, a ktoś z nich powiadomił Toma, który szukał mnie przez kilka godzin, zanim odebrał telefon od Sally.

Zawiózł mnie do domu, a jego rodzice przyjechali po Sama, żeby zabrać go do siebie na noc i zapewnić mi spokojny sen. Ale ja nie mogłam pozbyć się lęku ani głosów z głowy. Wiele godzin przesiedziałam na podłodze w rogu salonu, skulona jak dziecko, przyciskając kolana do piersi, mamrocząc coś i kołysząc się do przodu i do tyłu.

Następnego dnia rano Tom zadzwonił do lekarza i umówił mnie na pilną wizytę. Powiedziałam lekarzowi o głosach, o potwornym lęku i o tym, że chciałam się zabić, bo nie mogłam znieść strzępów obrazów, jakie widziałam, tak realistycznych i porażających, że niemal paraliżowało mnie obrzydzenie i nienawiść do siebie.

— Musimy zabrać panią do szpitala — powiedział lekarz.
— Tylko na badania. Tom może panią zawieźć.

Miał na myśli badania psychiatryczne, ale było mi wszystko jedno. Czułam się tak, jakby we wnętrzu mojej głowy biegał jakiś człowieczek, miotający się w panice, zataczający chaotyczne kręgi, a za każdym razem, kiedy

zaczynało mu się wydawać, że wie, gdzie jest, trafił do kolejnego ciemnego, przerażającego korytarza prowadzącego donikąd. Miałam wrażenie, że znajduję się poza swoim ciałem, obserwuję, ale nie jestem w stanie zrobić nic, żeby sobie pomóc. Mój świat się kurczył, aż wreszcie nie było w nim nic poza małą, przerażoną dziewczynką, która siedziała na krześle, mamrotała coś do lekarza i usiłowała zapomnieć. Pozwoliłam Tomowi objąć się i poprowadzić do samochodu, w którym zajęłam siedzenie pasażera i kołysałam się łagodnie, nie mając już siły ani woli do trzymania się rzeczywistości.

Tom zaparkował na szpitalnym parkingu. Nie przypominam sobie, żebym wysiadała, ale musiałam to zrobić, bo pamiętam, jak idę z Tomem do podwójnych drzwi w wiktoriańskim budynku z czerwonej cegły. W środku Tom powiedział coś do recepcjonistki, która poprowadziła nas pełnym ech korytarzem wyłożonym linoleum, a potem zapukała do jednych z wielu identycznych szarych drzwi.

Psychiatra, który łagodnie zadawał mi pytania, miał szare oczy i ciemne siwiejące włosy. Zastanawiałam się, czy szarość jest jednym z warunków koniecznych do pracy tutaj, żeby cały personel bez trudu wtapiał się w niemal pozbawione kolorów otoczenie. Był jednak miły i nie okazywał irytacji, której się obawiałam. Powiedział, że zostanę przyjęta do szpitala, żeby lekarze mogli ocenić mój

stan psychiczny.

— Nie — powiedziałam głośno i z przekonaniem, którego tak naprawdę nie czułam. Nie byłam już pewna niczego i miałam straszliwe, coraz silniejsze poczucie, że chyba rzeczywiście zwariowałam. Pomyślałam, że nie mogę powiedzieć ani zrobić nic, co mogłoby im podsunąć, że coś jest ze mną nie tak. W przeciwnym razie zamkną mnie w tym labiryncie bezdusznych korytarzy, cuchnących pastą do podłogi i chorobą. Jakim cudem mam się tu poczuć lepiej? — Nie — powtórzyłam i dla podkreślenia determinacji, na którą usiłowałam się zdobyć, pokręciłam głową. — Nie chcę tu zostać. Chcę iść do domu.

— Przykro mi, Katherine, ale obawiam się, że będę musiał nalegać. — Lekarz uśmiechnął się ze współczuciem. — To tylko kilka dni, żebyśmy mogli dociec, na czym polega problem. — Wstałam i pokręciłam głową, a on dodał: — Proszę cię, Katherine. Musisz tu zostać. Chciałbym, żebyś się zgodziła, ale jeśli będę musiał zatrzymać cię wbrew twojej woli, zrobię to.

Dopóki nie poczułam ręki Toma na ramieniu, nie pamiętałam, że on też jest w gabinecie.

— Katie, proszę. Zostań te kilka dni. Zajmą się tobą i dojdiesz do siebie. Proszę cię.

W jednej chwili poczułam się tak, jakby ktoś wyciągnął mi wtyczkę z dopływem prądu i wyciekła ze mnie cała energia.

Tak długo walczyłam, żeby zachowywać się normalnie, że nie miałam już siły dłużej się kłócić, byłam zbyt przerażona i pokonana.

— Niech będzie — poddałam się w końcu i ciężko opadłam na krzesło. — Ale co z Samem? Kto się nim zajmie, kiedy ja będę tutaj?

— Nie martw się o Sama. — W głosie Toma usłyszałam ulgę. — Moi rodzice i twoja mama pomogą mi się nim zająć. Dobrze wiesz, że od dawna marzą, żeby dostać go w swoje ręce.

— Niech nikt go nie dotyka! — Zerwałam się na równe nogi i krzyknęłam to Tomowi w twarz. Cofnął się o krok, a w oczach zobaczyłam szok i strach. Nienazwany lęk zniknął równie szybko, jak się pojawił, i próbowałam się uśmiechnąć, mówiąc: — Dobrze. Ale dbaj o niego.

Potem pozwoliłam się wyprowadzić z gabinetu, przekroczyłam jedne szare drzwi i długim szarym korytarzem zostałam doprowadzona do następnych.

Rozdział 6

*N*ie przebywałam w szpitalu kilka dni, jak sądził Tom. Wyszłam po sześciu miesiącach, bo byłam poważniej chora, niż podejrzewał on czy ktokolwiek inny.

Dostałam leki, które w końcu wyciszyły głosy, ale nie unieszkodliwiły chóru w mojej głowie. Każdej nocy dostawałam tabletkę nasenną, ale wciąż miałam problemy ze snem, bo chociaż bałam się cały czas, najbardziej przerażały mnie obrazy, jakie pojawiały się po zamknięciu oczu.

Po narodzinach Sama zaczęłam widywać fragmenty ledwie zapamiętanych scen: kąpiel w wannie z ojcem, on obok mnie w łóżku albo, co jeszcze dziwniejsze, jeden z jego kolegów. Obrazom towarzyszyło uczucie mdłości.

Wizje te stopniowo wzbogacały się o coraz więcej szczegółów, a w szpitalu psychiatrycznym wspomnienia stały się tak potworne, że mój umysł w ogóle nie był w stanie ich przyjąć.

Nienawidziłam szpitala. Bałam się większości pacjentów, szczególnie tych, którzy ni z tego, ni z owego zaczęli

krzyczeć albo chcieli zrobić krzywdę sobie lub komuś innemu. Pielęgniarki musiały powalać ich na ziemię i dawać zastrzyki, które przemieniały ich, w każdym razie na jakiś czas, z perorujących, wymachujących rękami wariatów w potulne, bezwładne zombie o martwych oczach.

Niektórzy pacjenci cierpieli na schizofrenię i oni byli najbardziej stresujący. W jednej chwili rozmawiali z tobą całkiem normalnie, a już w następnej wpadali we wściekłość i oskarżali cię o powiedzenie czegoś, czego się nie powiedziało. Oddalałam się od nich niepewnie, serce mi waliło, a potem zaczynałam się zastanawiać, czy aby na pewno tego nie powiedziałam. To było jeszcze straszniejsze niż furia, którą widywałam, bo oznaczało, że nie umiałam ocenić, co jest rzeczywistością, a co wykwitem mojej wyobraźni. Może rzeczywiście byłam bardziej szalona niż oni?

Któregoś dnia siedziałam w świetlicy z kobietą, która opowiadała mi, jak bardzo nienawidzi szpitala, lekarzy i pielęgniarek. Zaczęła mówić o rodzinie, o tym, jak tęskni za domem, a potem nagle zerwała się z krzesła, wyciągnęła z rękawa swetra nóż i próbowała poderżnąć sobie gardło. Nie wiem, skąd miała nóż, ale na szczęście był zbyt tępy, by mogła przeciąć tętnicę szyjną i się zabić. Próba jednak niemal się powiodła i pamiętam zwierzęce wrzaski, które, jak się okazało, wydawałam ja sama, a potem wstałam z krzesła,

które się przewróciło, i zaczęłam uciekać, byle dalej od krwi, która trysnęła z rany na gardle.

Bałam się innych pacjentów między innymi dlatego, że nie byli tacy jak ja. A z czasem zaczęłam się bać jeszcze bardziej, bo myślałam, że może jednak są tacy jak ja i będę tu z nimi zamknięta na zawsze. Czułam się, jakbym tonęła i spoglądała w górę spod samej powierzchni wody, przez którą próbowałam się przedrzeć, żeby zaczerpnąć powietrza, ale nigdy mi się to nie udawało.

Z powodu leków, które brałam, wszystko wydawało mi się zamglone i nierealne. Czułam się odseparowana od rzeczywistości, jak gdybym zasklepiła się w sobie i żyła we wnętrzu głowy, tylko wyglądając na zewnątrz. Z powodu wspomnień cofnęłam się do czasów dzieciństwa i jak dziecko próbowałam znaleźć ukojenie, więc często przesiadywałam na podłodze w kącie pokoju, skulona, kołysząc się w przód i w tył. Czasami słyszałam czyjś płacz. Wtedy przestawałam się kołysać, żeby posłuchać, i okazywało się, że to mój. Głośny, pełen rozpaczyny szloch wydobywał się z mojego wnętrza, z miejsca, w którym był zamknięty od dawna. Ale bez względu na to, jak długo płakałam, nie czułam się lepiej.

Nigdy nie zapomniałam, jak brutalny był dla mnie ojciec i jak ostro karał mnie za każdy przejaw nieposłuszeństwa, ale przez wiele lat, kiedy myślałam o dzieciństwie, widziałam ślad czegoś jeszcze, czegoś mrocznego i niebezpiecznego,

czego mój umysł nie chciał pamiętać. Podczas pobytu w szpitalu te strzępy myśli stały się wspomnieniami najpotworniejszych rzeczy, jakie ojciec mi zrobił w dzieciństwie, wspomnieniami, które mój umysł zablokował, gdy dorosłam, i pozostawił mnie z niewytłumaczalnym poczuciem winy i nieszczęścia, które przez lata wpływały na każdy aspekt mojego życia.

Jako nastolatka byłam bardzo nieszczęśliwa, nienawidziłam swojego życia, nienawidziłam siebie, ale nie rozumiałam powodów. Żyłam ze stałym, niewytłumaczalnym poczuciem obrzydzenia do siebie, a czasem także z obezwładniającym gniewem, który wywoływał ataki szału i sprawiał, że chciałam krzywdzić innych. Nie wiedziałam, co jest ze mną nie w porządku, ale nie miałam nikogo, do kogo mogłabym zwrócić się o pomoc. Staralam się zatem ukrywać tę nienawiść do siebie i mętlik emocji pod płaszczykiem fałszywej brawury i złego zachowania.

Z jakiegoś powodu narodziny dziecka rozpoczęły proces odblokowywania wcześniej tłumionych wspomnień. Na początku były to urywki niesprecyzowanych obrazów, ale stopniowo zmieniały się w całościowe wizje, których nie chciałam oglądać, jednak nie mogłam ich już dłużej ignorować. W końcu mój mózg oszalał, a ja byłam tak dezorientowana i niepewna, co jest prawdą, a co tworem mojej wyobraźni, że nie potrafiłam przetwarzać żadnych

myśli ani funkcjonować na żadnym poziomie. Dlatego wylądowałam w szpitalu.

Na szczęście trafiłam na cudownego psychiatrę. Doktor Hendriks był pierwszą osobą, z którą rozmawiałam o tym, co sobie przypomniałam, a o czym nie chciałam mówić choćby dlatego, że nie umiałam znaleźć słów mogących opisać obrazy, które widziałam. Jednak doktor Hendriks zawsze mnie słuchał, a nigdy nie oceniał. Co ważniejsze, zaznaczył, że nie tylko mi wierzy, ale i nie obwinia o to, co spotkało mnie w dzieciństwie. Przypomniałam sobie nie tylko to, co ojciec mi robił i do czego zachęcał swoich przyjaciół, ale także jego słowa, że to wszystko moja wina. Następstwa tego przekonania dźwigałam przez całe życie.

Byłam w szpitalu dopiero od kilku dni, gdy któregoś ranka wyszłam ze świetlicy i usłyszałam na końcu korytarza odgłosy zamieszania. Często dochodziło tu do awantur albo szamotaniny: pacjenci walczyli ze sobą albo napadali na pielęgniarki, a ja zdążyłam się już nauczyć czujności i rozpoznawałam wszelkie oznaki kłopotów. Zatrzymałam się; nie patrzyłam w kierunku, z którego dochodziły hałasy, ale nasłuchiwałam.

W każdych drzwiach wzdłuż korytarza było małe okienko, ale tylko jedne drzwi na końcu miały widok na normalny, wolny świat zewnętrzny. Wyrzałam i zobaczyłam coś, co wyglądało jak fragment wielkiego bukietu. Po mojej stronie

drzwi, tej zamkniętej, szalonej, stały dwie pielęgniarki. Mniejsza z nich na palcach wyglądała przez okno, a druga patrzyła w moją stronę.

Gdy tylko zauważyła, że niepewnie czaję się w drzwiach do świetlicy, pospieszyła w moim kierunku.

— Wracaj do środka, Katie — powiedziała, patrząc mi prosto w oczy, i kilka razy pokiwała głową, żeby zachęcić mnie do wykonania polecenia. — Wróć do świetlicy, proszę cię. Tylko na chwilę.

Mówiła na tyle nerwowo, że ścisnął mi się żołądek i szybko się cofnęłam. Pielęgniarka zamknęła za mną drzwi, a ja przez chwilę stałam bez ruchu, cała się trzęsłam i z trudem łapałam oddech. Później chciałam wyjrzeć przez okienko w drzwiach, ale widziałam tylko starannie uczesane brązowe loki kobiety. Zamiast wyglądać, zaczęłam nasłuchiwać z uchem przyciśniętym do zakratowanego okienka.

Słyszałam stłumiony damski głos, przerywany głośnymi i gniewnymi słowami wypowiedzianymi przez mężczyznę. Przez kilka sekund panowała cisza, a potem odezwał się drugi mężczyzna, powoli i autorytatywnie. Pierwszy mężczyzna zaczął krzyczeć, trzasnęły drzwi i zapadła cisza.

Serce waliło mi jak młotem, a kiedy cofnęłam się o krok od drzwi, na szybie pozostał odcisk wilgotnej dłoni, którą przykładalam do szkła. W tym momencie pielęgniarka

odwróciła się do mnie, uśmiechnęła i otworzyła drzwi.

— Świetnie się spisałaś, kochanie — powiedziała. — Możesz już wyjść.

— Kto to był? — spytałam szeptem. — Kto tak krzyczał? Pytałam, choć znałam odpowiedź.

— Twój ojciec — odparła pielęgniarka i uśmiechnęła się przepraszająco.

Zazwyczaj personel szpitalny unikał fizycznych kontaktów z pacjentami, chyba że trzeba było unieszkodliwić kogoś, kto groził zrobieniem krzywdy sobie albo innym. Z jakiegoś jednak powodu ta pielęgniarka lekko dotknęła mojego ramienia i powiedziała:

— Dobry Boże, to dopiero pewność siebie, wiedzieć, czego się chce, i tego żądać!

Przycisnęłam ręce do żołądka, żeby stłumić falę mdłości, która pełzła mi do gardła, a potem ledwo słyszalnie spytałam:

— A czego chciał?

— Chciał się z tobą zobaczyć. Wręcz domagał się widzenia z tobą. Twierdził, że dobrze zna kierownictwo szpitala. — Roześmiała się z pogardą.

To samo ojciec powiedział mi kilka lat później, ale okazało się nieprawdą. Nie znał zarządu szpitala, jak wmawiał tego dnia pielęgniarkom, ale nie wątpiłam, że miał kontakty z

ludźmi, którzy byli z władzami zaprzyjaźnieni. Przekręcanie prawdy i głoszenie kłamstw z pełnym przekonaniem było jego specjalnością. Musiał rzeczywiście wpaść we wściekłość, kiedy jego agresywna, arogancka pewność siebie zawiodła i nie doprowadziła do spotkania ze mną.

Później okazało się, że drugi męski głos należał do doktora Hendriksa.

— Jak pan śmie zabraniać mi spotkania z córką! — krzyczał ojciec. — Domagam się widzenia z nią, natychmiast!

— Obawiam się, że to niemożliwe. Proszę o opuszczenie szpitala — odpowiedział doktor Hendriks.

Zawsze mówił spokojnym, stonowanym głosem, który mnie dodawał pewności, ale mojego ojca musiał doprowadzić na skraj zimnej furii. Szczególnie, że doktor Hendriks był kimś, kogo ojciec normalnie nazwałby „pieprzonym zagranicznikiem”.

Z trudem potrafiłam wyobrazić sobie, jak bardzo był wściekły, gdy odmówiono mu kontaktu ze mną, nie mówiąc już o tym, że został potraktowany jak zwykły, przeciętny człowiek. Musiało do niego dotrzeć, że zaczęłam przypominać sobie wydarzenia z dzieciństwa, i pewnie niepokoił się, co mogę zdradzić. Myślę jednak, że nie martwił się przesadnie, bo w końcu kto uwierzyłby szalonej kobiecie zamkniętej w szpitalu psychiatrycznym, a nie odnoszącemu sukcesy biznesmenowi, przyjacielowi sławnych, bogatych i

dobrze znanemu członkowi elity towarzyskiej. Moje załamanie musiało wydawać mu się zbawieniem.

Kiedy ojciec, opętany furją, wypadł ze szpitala, pielęgniarka dała mi ogromny, idiotyczny bukiet, który dla mnie zostawił. Wrzuciłam go do kosza, kwiatami do dołu, łamiąc przy tym lodygi i rozsypując płatki po podłodze.

Zawsze bałam się ojca. Już sama myśl o nim powodowała, że włoski na karku stawały mi dęba, a żołądkiem targały bolesne skurcze. Ale wtedy strach zagłuszyła nienawiść i odczułam dogłębną, dziecinną satysfakcję, że tym razem mu nie wyszło. Byłam wdzięczna pielęgniarkom i doktorowi Hendriksowi, że postawili mu się w sposób, w jaki nikt wcześniej tego nie zrobił, i przez moment poczułam się bezpieczniejsza.

Kilka dni później przyszła do mnie Sally. Byłam zaskoczona jej wizytą przede wszystkim dlatego, że odwiedzanie chorych w szpitalach nie leżało w jej naturze. Siedziałyśmy przy szarym, plastikowym stole w zadymionej świetlicy. Poczęstowała mnie papierosem. Pielęgniarka czytająca gazetę w rogu sali co jakiś czas spoglądała na Sally z kiepsko skrywanym niesmakiem. Jaskrawy, krzykliwy podkoszulek z dużym dekoltem i staranny makijaż ostro kontrastowały z otaczającą nas szarością. Zauważyłam, że inni pacjenci zgromadzeni w świetlicy również spoglądają z zainteresowaniem na Sally, a ona jest zszokowana moim

niechlujnym i zaniedbanym wyglądem. Cieszyłam się z jej przyjscia przede wszystkim dlatego, że mogłam jej zadać pytanie, które szeptem zadawałam wszystkim: czy może mnie stąd wyciągnąć. Muszę wracać do domu, nic mi nie jest. Proszę, czy może mnie stąd zabrać?

Sally odpowiedziała tak samo jak wszyscy: jestem tu dla własnego dobra i jak tylko poczuje się lepiej, wróce do domu. Potem paliła papierosa, rysowała palcem kółka w rozlanej na stole wodzie, a ja coś plotłam bez ładu i składu.

Nagle mi przerwała. Popatrzyła na mnie szybko, a potem odwróciła wzrok i zapytała:

— Co ty pamiętasz, Katie? Jakie rzeczy?

Próbowałam wyjaśnić, ale plątałam się w gmatwaniu słów, więc się zniecierpliwiła. Widywałam ten wyraz w oczach wszystkich, którzy odwiedzali kogoś w szpitalu: mieszanina współczucia i niepokoju oraz niemal namacalne pragnienie znalezienia się gdziekolwiek indziej.

Znów mi przerwała. Zmusiła się do zachęcającego uśmiechu, kiedy pytała:

— Czy możesz podać mi przykład czegoś, co sobie przypomniałaś?

W tym momencie wstała pielęgniarka, złożyła gazetę i powiedziała:

— Może już dość emocji jak na jeden dzień, Katie? — A potem zwróciła się do Sally energicznie i zdawkowo: —

Obawiam się, że muszę panią poprosić o zakończenie wizyty.

Sally zgasiła papierosa. Potem pochyliła się nad stołem, poklepała mnie po ręce i z westchnieniem powiedziała:

— Do widzenia, Katie. Trzymaj się.

Przez chwilę jeszcze stała w drzwiach odwróciła się, popatrzyła na mnie ze smutnym uśmiechem, a potem wyszła.

Dopiero później dotarło do mnie, że przyszła tylko dlatego, że przysłał ją ojciec. Ponieważ sam nie mógł się do mnie dostać, kazał jej wypytać mnie o to, co sobie przypomniałam i co mówiłam lekarzowi. Patrząc na to wydarzenie z dzisiejszej perspektywy, cieszę się, bo uświadomiło mi, że się bał. Ale wówczas byłam zbyt chora, żeby czerpać satysfakcję z czegokolwiek i zbyt przerażona wspomnieniami, żeby zdawać sobie sprawę, jak one mogą jemu zaszkodzić.

Wiele czasu w szpitalu spędzałam, przeżywając od nowa swoje dzieciństwo. Często siedziałam w kącie mojego pokoju na podłodze, częściowo chroniona ścianami, które miałam po obu stronach, i wysokim, dziecinnym głosem mówiłam o tym, czego się bałam. Przypominałam sobie potworne rzeczy, które robił mi ojciec, odkąd skończyłam trzy lata, i obrzydliwe, porażające rzeczy, które chciał, żebym ja robiła jemu. Moja psychika sobie z tym nie radziła. Czułam się skażona dzieciństwem, brudna i zhańbiona. Mimo leków chciałam się zabić, bo nie mogłam znieść myśli o życiu z

poczuciem winy i ze świadomością tego, co zrobiłam.

Powracały wspomnienia, które przez lata tłumiłam. Gdy byłam nastolatką i życie wydawało mi się potworne, nie rozumiałam, co jest ze mną nie tak i czemu nie umiem się przystosować. Czasem, w młodości, zalewała mnie fala gwałtownego gniewu. Wiedziałam, że ta wściekłość nie przystaje do rzeczywistych wydarzeń, ale nie mogłam nic z tym zrobić i doznawałam gwałtownej potrzeby ataku, zrobienia komuś krzywdy. Te ataki nienawiści przerażały mnie i sprawiły, że zaczęłam bać się siebie w takim samym stopniu, w jakim nie ufałam nikomu, kogo dobrze nie znałam. Być może najtrudniejsza do zniesienia była świadomość, że nie jestem osobą, którą chcę być, nie tą, którą byłam naprawdę, gdzieś w głębi.

W szpitalu, gdy wspomnienia wypływały na powierzchnię, z pomocą doktora Hendriksa zaczęłam rozumieć, co było powodem nieszczęścia w tych latach, kiedy nieustannie wojowałam z niewidocznym wrogiem. Z jakichś przyczyn ta świadomość była jeszcze gorsza niż brak wiedzy.

Kiedy w odwiedziny przyszła matka, widziałam, że sili się na optymizm i przekonanie, że wyzdrowieję i będę znów potrafiła żyć normalnie. Nie wiedziała o większości rzeczy, które sobie przypomniałam — powiedziałam jej o tym dopiero jakiś czas później — nie rozumiała zatem, dlaczego jestem w aż tak złym stanie. Nieraz słyszałam, jak mówiła do

pielęgniarki:

— Katie nie powinna tu być z tymi wszystkimi ludźmi chorymi na schizofrenię czy nawet gorzej. Ona nie jest taka jak oni. Nie jest chora psychicznie.

Myliła się. Regularnie cofałam się do czasów dzieciństwa, przeżywałam wciąż te same koszmary i słyszałam głosy, które mówiły mi, że jestem bezwartościowa, zbrukana i równie dobrze mogłabym nie żyć. Naprawdę byłam „psychiczna”. Nigdy nie miałam dobrego apetytu, nawet jako dziecko, ale w szpitalu prawie w ogóle przestałam jeść i traciłam na wadze. Głodzenie się było kolejnym sposobem wyrządzania sobie krzywdy. Zanim trafiłam do szpitala, często cięłam skórę na ramionach, żeby upuścić trochę bólu, który się we mnie gromadził.

Ilekcroć pozwalano mi wyjść z oddziału zamkniętego na spacer z pielęgniarką, wbijałam wzrok w ziemię i gdy tylko ona spojrzała w inną stronę, rzucałam się, żeby podnieść jakąkolwiek ostrą rzecz, jaką wypatrzyłam. Czasem był to kawałek stłuczonego szkła, a czasem gwóźdź leżący przy krawężniku. Wsuwałam to do kieszeni albo chowałam w rękawie, a kiedy byłam sama w pokoju, wyjmowałam i cięłam się. Później patrzyłam, jak krew spływa po miękkiej skórze we wnętrzu ramienia ku nadgarstkowi, i wyobrażałam sobie, że to czerwona linia bólu, który wycieka z mojego ciała. Działo, na chwilę.

Ciągle wymyślałam sposoby ucieczki ze szpitala. Całymi godzinami stałam przy otwartych drzwiach do zewnętrznego świata, mruczałam coś do siebie i starałam się wyglądać nonszalancko, kiedy czekałam, aż ktoś będzie wchodził na oddział albo z niego wychodził, żebym mogła czmychnąć na wolność. O dziwo, udało mi się uciec raz czy dwa, ale nie pamiętam już jak.

Raz ktoś mnie znalazł, gdy wałęsałam się po ulicy niedaleko szpitala, a kiedy indziej dotarłam aż do domu przyjaciółki. Nie wiem, jak się tam znalazłam, ale pamiętam, że nieustannie prosiłam ją, żeby obiecała, że nie powie nikomu, bo każą mi wrócić do szpitala, a wtedy umrę. W końcu przyrzekła, ale kiedy poszłam do łazienki, zadzwoniła po Toma i on po mnie przyjechał. Byłam na nią wściekła i przekonana, że tak jak wszyscy inni bierze udział w spisku, mającym na celu trzymanie mnie w zamknięciu, choć nic mi przecież nie jest.

— Już nigdy się do ciebie nie odezwę! — krzyczałam do niej. — Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką! Że mogę ci ufać! Nie wierzę, że mi to zrobiłaś!

Ona płakała i próbowała wyjaśnić powody, dla których tak się zachowała.

— Nie czujesz się dobrze, Katie — mówiła. — A jeśli nie wrócisz do szpitala, może już nigdy się lepiej nie poczujesz. Muszę to zrobić, bo uważam, że tak trzeba. Albo pozwolisz

Tomowi się odwieźć, albo zadzwonię na policję i pojedziesz z nimi.

Przez jakiś czas jej nienawidziłam, ale miała rację. Byłam bardzo chora i rzeczywiście, jeśli nie radziłam sobie w szpitalu, gdzie lekarze i pielęgniarki byli gotowi mi pomóc, nigdy nie dałabym rady w „normalnym świecie” na zewnątrz.

Wkrótce zaczęłam dostawać lit, silny środek stosowany przy leczeniu psychozy, a kiedy zaczął działać, zostałam przeniesiona na szpitalny oddział matki i dziecka, gdzie mógł przebywać ze mną Sam. Od wielu tygodni nie umiałam skoncentrować się świadomie na niczym innym poza lękiem i wspomnieniami, dobrze więc było móc przytulić Sama i pomyśleć, że może któregoś dnia będę mogła wieść normalne życie i być dla niego dobrą matką.

Na początku Sam zostawał ze mną tylko co jakiś czas na noc, później na weekendy, a przez ostatnie kilka tygodni przed wyjściem do domu był ze mną cały czas. Rozumiałam, że wszyscy muszą być całkowicie pewni, że podołam samodzielnej opiece nad nim, a ja robiłam wszystko, co powinnam, ale tak naprawdę nie wierzyłam, że kiedykolwiek będę zdolna do troszczenia się o kogoś czy o coś, łącznie z samą sobą.

Wciąż zdarzały się dni, kiedy pogrążałam się w świecie, w którym nie liczyło się nic poza strachem. Jednego z takich dni Tom przyjechał w odwiedzinach i zastał mnie snującą się po

szpitalnym parkingu, półnagą, mamroczącą coś do siebie i trzymającą w ramionach Sama. Nie pamiętam, jak wydostałam się z oddziału zamkniętego, ale wciąż widzę nieskrywany niepokój Toma i łzy w jego oczach. Pamiętam też, jak źle się czułam, pełna winy, że go zasmuciłam.

Stopniowo jednak zaczynałam do siebie dochodzić i po sześciomiesięcznym pobycie w szpitalu zostałam wypisana do domu. „Dochodzić” było jednak pojęciem względnym, bo wciąż potrzebowałam pomocy — Toma, jego rodziców i opieki społecznej. Wciąż też nie było ze mną na tyle dobrze, żebym mogła wrócić do pracy.

W pierwszy dzień świąt, trzy miesiące po wyjściu ze szpitala, Tom zasugerował, że powinniśmy przyjąć zaproszenie od mojego ojca i jego dziewczyny Gillian i wpaść na drinka. Mieliśmy dom od ponad roku, ale nie byliśmy w stanie spłacić kredytu, a Tom zmagał się ze wszystkimi stresami i troskami sam. Wydawało mi się cudowne, że mimo mojej choroby i wszystkiego, z czym musiał się zmierzyć w ciągu ostatnich miesięcy, chciał spotkać się z ojcem i poprosić go o moją rękę.

Ja jednak desperacko nie chciałam go widzieć. Tom wiedział, że kiedy byłam mała, ojciec stosował wobec mnie przemoc, ale nikomu z wyjątkiem psychiatry nie mówiłam o tym, co sobie przypomniałam, więc trudno mi było znaleźć powód, żeby wykręcić się od tej wizyty. Pojechaliśmy po

południu.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, ojciec był już wstawiony na jowialnie. Wówczas pierwszy raz zobaczył wnuka. Trzymał Sama na odległość ramienia i rzucił jakąś żartobliwie krytyczną uwagę na jego temat, a ja spojrzałam mu w twarz i w jednej chwili mnie zemdliło.

— Muszę stąd wyjść — szepnęłam do Toma. — Zaraz wymiotuję. Przepraszam, ale muszę wyjść, natychmiast.

— Co się na litość boską stało? — spytał Tom. — Wyglądasz strasznie.

Widziałam w jego oczach niepokój i strach, że znów się załamie.

— Proszę cię, po prostu chodźmy — powiedziałam, wepchnęłam rzeczy Sama do torby i wyciągnęłam ręce, żeby zabrać syna z ramion ojca.

— Co, już idziecie? — spytał ojciec szyderczo. — Dopiero przyszlście. No dobrze, ale może chociaż weźmiesz szampana dla matki? W kuchni są też steki, może jej potrzeba.

Machnął ręką hojnym, wielkopańskim gestem, a ja poczułam pełne obrzydzenia rozgoryczenie i silne przekonanie, że nie wolno mi przyjmować jego żalonych darów dla matki.

Pokręciłam głową, a on wzruszył ramionami. Potem nagle ryknął do mnie takim głosem, jakim mówi się do kogoś

głuchego albo niespełna rozumu:

— Czujesz się lepiej? Nie jesteś już psychiczna?

Gillian głośno wciągnęła powietrze, a Tom zeszywniał. Ojciec tylko się roześmiał.

— Podobno dali ci lit? — Spojrzał mi prosto w oczy po raz pierwszy, odkąd przyjechaliśmy, a potem zwrócił się do Gillian: — Jak już nic innego nie działa na psychotyka, wytaczają ciężkie działa. Wtedy wiadomo, że ma się do czynienia z prawdziwym szajbusem. — Gillian była purpurowa ze wstydu i zakłopotania, ale ojciec odwrócił głowę, znów na mnie spojrzał i rzucił: — Kto miałby uwierzyć komuś takiemu?

Tom zrobił krok w jego stronę, ale złapałam go za rękę i powiedziałam:

— Proszę, po prostu chodźmy. — I wyszłam z pokoju.

Ojciec zastraszał mnie już wcześniej, więc doskonale wiedziałam, co chce mi przekazać: cokolwiek się stanie w przyszłości i cokolwiek mogłabym o nim powiedzieć, miałam łatkę wariatki i w starciu z jego słowem nikt mnie nie potraktuje poważnie.

Rozdział 7

*N*ie rozumiałam fragmentarycznych obrazów, które pojawiały się, zanim trafiłam do szpitala i później. Wydawało mi się, że to chaotyczne sceny, ale choć niezrozumiałe, zostawiały mnie głęboko poruszoną i zestresowaną. Myślę, że gdybym nie nauczyła się stopniowo ufać doktorowi Hendriksowi i nie mówiła mu o tym, co pamiętam, być może nigdy nie wydostałabym się z ciemnego, przerażającego tunelu, w którym tkwiłam.

Problem polegał na tym, że kiedy śluzy zostały otwarte, nie było sposobu na zapanowanie nad potokiem wspomnień, który nimi płynął.

Jakkolwiek dziwne wydaje mi się to dzisiaj, mimo wszystkiego, co sobie przypomniałam, jakaś część mnie wciąż pragnęła miłości ojca. Nie byłam w stanie zrozumieć, dlaczego mnie krzywdził, molestował i nie kochał, więc myślałam, że to moja wina. Przez wiele lat przyjmowałam za pewnik, że jestem odpowiedzialna za wszelkie zło, które przydarzało się mnie albo ludziom, na których mi zależało,

bo to zawsze powtarzał ojciec. Trudno mi było rozstać się z tą oczywistością i zastąpić ją przekonaniem, że nie ponoszę winy za to, co mnie spotkało w dzieciństwie. Dopiero dwa czy trzy lata temu zdałam sobie w końcu sprawę, że miłość ojca nie jest czymś, czego potrzebuję albo pragnę.

Jedno z pierwszych wspomnień, które wykrystalizowały się podczas pobytu w szpitalu, pochodziło z czasów, gdy miałam trzy lata. Wydawało się całkiem przypadkowe i na początku zdawało się nie mieć sensu, ale okazało się, że to dopiero jeden z fragmentów układanki, którą z pomocą doktora Hendriksa zaczęłam układać.

We wspomnieniu byłam bardzo mała, gościli u nas rodzice ojca. Któregoś ranka siedzieli w kuchni i pili poranną herbatę, kiedy pojawiłam się w drzwiach w nocnej koszuli i powiedziałam, że mam straszną wysypkę.

— To niedobrze — zmartwił się dziadek, wziął mnie na kolana i pocałował w czubek głowy.

Uwielbiałam dziadka. Zawsze był miły, cierpliwy i opowiadał najwspanialsze historie, co ojciec musiał po nim odziedziczyć, niestety w pakiecie z alkoholizmem.

— A gdzie się znajduje ta straszliwa wysypka? — spytał dziadek. Pozwolił mi zjechać po swojej nodze na podłogę, a potem pociągnął mnie za ramiona w górę, żebym znów usiadła mu na kolanie.

Roześmiałam się, zachwycona, a potem wskazałam na

„pupę z przodu” i oznajmiłam:

— Tam na dole.

Zaczęłam podciągać koszulę, ale babcia wyciągnęła rękę, żeby mnie powstrzymać, i powiedziała ostro:

— Nie musisz nam pokazywać, kochanie. Podejrzewam, że to podrażnienie od mydła albo proszku do prania. Powiem mamusi, żeby dobrze płukała twoje ubrania i na pewno szybko przejdzie. Tylko się nie drap.

Nigdy więcej nie słyszałam słowa na ten temat, nawet gdy wkrótce w tym samym miejscu odkryłam czyraki. Na początku były to małe, czerwone, swędzące punkciki, ale szybko urosły i zaczęły boleć, aż w końcu było tak źle, że miałam problemy z chodzeniem i do domu musiał przyjechać lekarz, żeby je przekłuć. Ale nawet wówczas nikt nie zastanowił się, dlaczego trzylatka ma czyraki na genitaliach. Dzisiaj zaczęto by dociekać, ale w latach sześćdziesiątych nikt nie brał pod uwagę molestowania seksualnego w obrębie rodziny, a szczególnie rodziny takiej jak nasza, w której ojciec był dobrze zarabiającym, mającym znajomości i szanowanym biznesmenem.

Zastanawiałam się, co moja matka myślała o tych czyrakach. Była tak naiwna i tak jak ja później przyzwyczajona do brania na siebie odpowiedzialności za wszelkie zło, że prawdopodobnie trwała w przekonaniu, że to jej wina, bo nie dość starannie wyplukała proszek do prania z

moich ubrań.

W większości wspomnień z dzieciństwa nie ma matki. Nawet gdy była w domu, zwykle przesiadywała w kuchni, dwa piętra niżej niż pokoje, w których ja i brat spędzaliśmy czas jako dzieci, dogładani przez aktualną nianię. Przez nasz pokój przepływał strumień wciąż zmieniających się opiekunek, raczej au pair niż wykwalifikowanych bon. Żadna z nich nie zagrzała miejsca dłużej, bo ojciec sypiał ze wszystkimi, a kiedy moja matka się o tym dowiadywała, wyrzucała je jedna po drugiej. Przeciętny obserwator mógł nawet nie zauważyć, że jedna młoda, ładna, jasnowłosa Skandynawka zmieniała się na drugą podobną, bo takich dziewczyn domagał się ojciec. Jednak jedną z opiekunek pamiętam dokładnie. Była inna niż reszta: ciemnowłosa Angielka, która zdaniem wszystkich mnie uwielbiała. Nazywała się Margaret Kennedy.

Pewnego dnia po narodzinach Sama znalazłam zdjęcie, na którym mam trzy lata, jestem ubrana w ładną różową sukienkę i stoję boso w ogrodzie, którego nie potrafiłam rozpoznać. Zapytałam matkę, gdzie zostało zrobione zdjęcie i czyj to ogród.

— To dom Margaret Kennedy — odpowiedziała. Wyjęła mi zdjęcie z ręki i uśmiechnęła się. — Ona bardzo cię kochała. Ona i ojciec zabierali cię czasem do niej, żeby mogła pochwalić się tobą przed rodziną i przyjaciółmi.

Nagle poczułam się, jakbym miała wymiotować. Zamknęłam oczy i szybko przełykałam ślinę, która napływała mi do ust, aż uczucie mdłości minęło, a wtedy wyciągnęłam rękę i wyjęłam fotografię z dłoni matki. Patrzyłam na nią przez chwilę, później spojrzałam na matkę. Nawet ktoś, kto miał tak wyprany mózg i znajdował się całkowicie pod wpływem ojca, musiał zdawać sobie sprawę, jak absurdalne są słowa, które właśnie wypowiedziała, i zastanowić się, dlaczego ojciec jeździł z Margaret do jej domu. Ale najwyraźniej myliłam się, bo matka wciąż uśmiechała się tęsknie do miłego wspomnienia z mojego dzieciństwa, które wywołało zdjęcie.

Nagle ujrzałam przed oczami scenę: leżę na łóżku, a Margaret trzyma moje ręce nad głową i przyciska do materaca tak mocno, że aż bolało. Obraz wyparował równie szybko, jak się pojawił, a ja zostałam z uczuciem, jakbym dostała kopa w brzuch. Bałam się, że przypomnę sobie, co było dalej.

Zdjęcie oglądane tego dnia z matką dało początek wielu godzinom, które spędziłam w szpitalu w kącie, płacząc i kołysząc się w przód i w tył. Zaczęłam przypominać sobie, co się naprawdę wtedy stało między moim ojcem a Margaret.

Ojciec sypiał ze wszystkimi naszymi nianiami, ale z Margaret łączył go poważniejszy romans. A ona nie zabierała mnie do siebie, żeby się mną chwalić, jak twierdziła.

Zabierała mnie tam, żeby mój ojciec mógł mnie seksualnie wykorzystywać, podczas gdy ona trzymała mnie na łóżku.

Tak jak wszystkie nasze nianie, Margaret miała pokój na ostatnim piętrze domu, mieszkała w nim w tygodniu. Tam też często mnie zabierali razem z ojcem. W najmniejszym stopniu nie rozumiałam, co on mi wówczas robił, wiedziałam tylko, że tego nienawidzę. Ale nie płakałam, choćby dlatego, że to, co mi robił przy Margaret, nie było tak straszne, jak lanie pasem. Ale też bolało i sprawiało, że czułam się okropnie, jakbym dostawała karę, a ojciec zdawał się czasem zapominać, że w ogóle tam jestem.

Kiedy zaczęłam sobie przypominać, a strzępy wizji ułożyły się w pełny obraz wspomnień, było już za późno na stwierdzenie, że nie chcę wiedzieć. Czasem wracało coś i doznawałam chwilowego triumfu, że jednak tak było, bo gdzieś w głębi wiedziałam, że musi być przyczyna, dla której czułam się nieszczęśliwa i nieczysta. Jednak na ogół wolałam nie pamiętać, bo konieczność przeżycia dzieciństwa raz jeszcze wydawała się gorsza niż nieświadomość. Ale musiałam pamiętać. Musiałam zmierzyć się z demonami, które ryły mi mózg i sprawiały, że byłam tak chora, bo tylko w ten sposób mogłam zrobić pierwszy krok na długiej, wyczerpującej i niewiarygodnie trudnej drodze do wyzdrowienia.

Miałam tylko trzy lata, kiedy ojciec odbył ze mną pierwszy

pełny stosunek. Przyszedł do mojego pokoju pewnej nocy i położył się w łóżku obok mnie. Od tamtej pory zaczęłam układać obok poduszki wszystkie lalki, bo łudziłam się, że gdy następnym razem zakradnie się cicho do mojego pokoju, nie będzie wiedział, która mała główka należy do mnie. Plan jednak zawiódł, zaczęłam więc sypiać w rogu szafy, z prześcieradłem naciągniętym na głowę. To był jeden z pierwszych obrazów, jakie zaczęły mnie prześladować po narodzinach Sama. Ale i tym razem ojciec nie dał się nabrać i niemal co noc drzwi szafy powoli się otwierały, a on mnie z niej wyciągał, niósł z powrotem do łóżka, a potem kładł się obok.

Czasem, kiedy mnie gwałcił, przykrywał mi twarz poduszką; tylko raz nazwał mnie „matką”. Przez większość czasu wydawał się w transie. Kiedy to robił, nie był dla mnie miły, ale nie był też okrutny, i myślę, że jak długo oddychał głośno, sapał i wydawał dziwne pomruki, był kompletnie nieświadomy tego, kim jestem.

Mój ojciec nie robił nic poza pracą, piciem i spaniem. Co sobotę wychodził na lunch z przyjaciółmi. Potem po południu przychodził do domu pijany i niezobowiązująco rzucał do matki:

— Idę na górę się zdrzemnąć. Zabiorę ze sobą Katie.

Była też kwestia, której nienawidziłam najbardziej:

— Katie może równie dobrze pójść ze mną, gdy będę brał

kąpiel.

W tamtych czasach o niczym nie mówiło się głośno, o domowej przemocy i molestowaniu seksualnym także nie, a moja matka była chyba jeszcze mniej świadoma tego, co się dzieje na świecie, niż większość ludzi z jej warstwy społecznej. Nie miała nawet cienia podejrzenia, co naprawdę robił mi ojciec. Nie jestem także pewna, jak by postąpiła, gdyby przyszło jej to do głowy. Lubię myśleć, że zrobiłaby coś, żeby położyć temu kres, ale ojciec zabił w niej wszelkiego ducha walki, jakiego miała. Dawno już przestała się z nim kłócić o cokolwiek, bo nauczyła się, że i tak oberwie, a on zrobi to, co zamierzał.

Kiedy więc ojciec zabierał mnie z sobą na górę, cieszyła się, że okazuje mi zainteresowanie, a sama szła do kuchni, żeby przygotować jedzenie na wieczorne przyjęcie.

W sypialni ojciec kazał mi się rozebrać i wejść do łóżka, a potem pokazywał mi, jak go łaskotać albo masować w przyjemny dla niego sposób. Po jakimś czasie brał moją rękę, kładł na swoim penisie i mówił:

— Zobacz, co narobiłaś! To twoja wina, teraz musisz się tego pozbyć.

Potem kładł się na mnie, miażdżąc mnie swoim ciężarem i sprawiając mi ból, gdy rzucał się i sapał. A ja czułam się źle, bo wiedziałam, że to moja wina, chociaż nie rozumiałam, co on robi ani dlaczego.

Po wszystkim zapadał w głęboki, wywołany alkoholem sen, a ja leżałam obok niego, patrzyłam, jak z otwartych ust wypływa mu ślina, a nozdrza falują w rytm grzmiącego chrapania. Kiedy się budził, dawał mi jednofuntowy banknot, a później nowiutką, lśniącą funtową monetę. Wówczas była to dla mnie mała fortuna.

Znacznie gorsze niż chodzenie do łóżka ojca było branie z nim kąpieli. Bałam się go i bardzo szybko zrozumiałam, że najlepiej jest robić to, co każe, natychmiast i bez marudzenia. Kiedy więc wpychał mi głowę pod wodę i przytrzymywał, starałam się nie wpadać w panikę ani nie myśleć o bólu w piersiach, kiedy powietrze wyrywało mi się z płuc. Wiedziałam, że im szybciej go posłucham, tym prędzej będę mogła znów zaczerpnąć tchu.

Nie miałam świadomości, że było coś złego w tym, co robił mi ojciec albo co kazał robić sobie. Odbierałam to jako mniej więcej takie samo zło jak zmuszanie mnie do uczenia się bajek po francusku. Po prostu przyjmowałam to jako normę i starałam się o tym nie myśleć. A gdybym nawet myślała, podejrzewam, że doszłabym do wniosku, że wszyscy ojcowie robią takie rzeczy córkom, że są one winne temu, co im się robi, tak jak ja byłam winna, i że wszystkie dziewczynki nienawidzą tego tak samo jak ja. Nie chodziłam do domów koleżanek na herbatę, bardzo rzadko się z kimś bawiłam, więc nie wiedziałam, że inni ojcowie nie biją swoich żon, nie

krzywdzą dzieci i że nie każda mała dziewczynka ma w sobie pustą przestrzeń, która stopniowo wypełnia się krzywdą, strachem i nienawiścią do siebie.

Ojciec chodził do baru albo pubu codziennie w porze lunchu, także w weekendy. Często w piątkowe popołudnia przyjeżdżał do domu co najmniej z jednym przyjacielem i wypijali razem kilka drinków, a wieczorem znów wychodzili. W jedno z takich popołudni, gdy miałam cztery lata, weszłam do kuchni i zastałam ojca opierającego się o czarną, metalową kuchenkę. Pił whisky i rozmawiał z przyjacielem, Harveyem Wynne'em.

Harvey Wynne miał nieprzeciętnie krzaczaste brwi i bardzo długą brodę, co nadawało mu nieadekwatnie poważny wygląd. Był dla mnie zawsze miły, a kiedy tego dnia weszłam do kuchni, powitał mnie radośnie.

— Witam, panienko Katie — powiedział żartobliwym głosem postaci z kreskówki. — Masz dziś na sobie śliczną sukienkę.

Uśmiechnął się do mnie szeroko, a potem wziął z kuchennego stołu kryształową szklanę z whisky i podniósł do ust.

— To nowa sukienka — pochwaliłam się z dumą. — Mamusia kupiła mi ją dzisiaj, kiedy poszła do miasta.

— Bardzo ładnie w niej wyglądasz — dorzucił Harvey Wynne i ciężko usiadł na jednym z dębowych krzeseł, które

stały wokół kuchennego stołu. Odwrócił się i spojrzał na ojca, który uśmiechnął się, skinął głową, a wtedy Harvey poklepał się po kolanie i zaproponował: — Usiądź wujkowi Harveyowi na kolanach.

Bałam się rozgniewać ojca, więc rzuciłam mu szybkie spojrzenie, żeby zobaczyć, czy się zgadza, a on ponownie przytaknął. Wdrapałam się na kolana Harveya Wynne'a w mojej nowej, ślicznej sukience, a on pozwolił mi zanurzyć palec w whisky i zaśmiał się, kiedy z obrzydzeniem zmarszczyłam nos. Później wsadził mi rękę pod spódniczkę, w majtki, i dotykał mnie, a ojciec patrzył na to z zimnym uśmiechem, ostrzegając mnie przed wyrywaniem się i płaczem, na który mi się zbierało.

Po chwili ojciec kazał mi „biec się bawić”, a ja ześlizgnęłam się z kolan Harveya Wynne'a, który dał mi lśniąca monetę. Wychodząc z kuchni, zacisnęłam ją w dłoni tak mocno, że paznokcie boleśnie wbiły mi się w skórę i zostawiły na niej małe ślady w kształcie czerwonych półksiężyców. Choć byłam zachwycona, że dostałam pieniędzy, który oznaczał aprobatę ojca, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że stało się coś bardzo złego.

Wkrótce ojciec wyjechał z przyjaciółmi na wakacje do Hiszpanii. Wynajęli na kilka tygodni willę, ale po paru dniach zachorował i rozkazał matce przylecieć do niego i nim się zająć. Mój brat od piątego roku życia przebywał w szkole z

internatem, ale były wakacje, więc matka musiała zabrać nas oboje.

Pamiętam, jaka byłam podniecona lotem, ale nie pamiętam wiele z dni spędzonych w hiszpańskiej willi, tylko tyle, że musiałam bardzo szybko biec po gorącym piasku do wody i że jedliśmy pyszne, grube omlety, smaczniejsze niż cokolwiek, co jadłam w domu. I jeszcze jak raz pływałam w basenie willi z jednym z przyjaciół ojca.

Z jakiegoś powodu tego ranka byliśmy na basenie tylko we dwoje, a on miał mnie pilnować, kiedy bawiłam się w wodzie. Włożyłam pomarańczowe, nadmuchiwane rękawki i pluskałam się wesoło na płyce. W pewnej chwili on przypląnął do mnie, zsunął dół mojego kostiumu i włożył we mnie penis. To mnie zabolalo i przeraziło, a kiedy krzyknęłam, szybko go wyciągnął, spojrzał na mnie zimno, chlapanął na mnie wodą i odpłynął.

Przyjęcia mojego ojca były otoczone legendą i czasem, kiedy już powinnam spać, wstawałam, cicho wychodziłam z pokoju, skradałam się w nocnej koszuli na podest schodów i patrzyłam w dół spomiędzy barierki. Uwielbiałam słuchać śmiechu i głośnych, radosnych rozmów jowialnych przyjaciół mojego ojca, które często przerywały piski pewnych siebie, zalotnych młodych kobiet w krótkich spódniczkach. Mój ojciec i jego przyjaciele zdawali się znać wiele młodych kobiet. Dopiero później dowiedziałam się, że znajdowali je w

kasynach i barach, bo były gotowe na seks z każdym w zamian za tyle drogiego szampana, ile mogły wypić.

Po większości z tych przyjęć co najmniej jeden z przyjaciół ojca był zbyt pijany, żeby wracać do domu, więc zostawał na noc w gościnnym pokoju na górze. W takie noce, odkąd skończyłam cztery lata, ojciec przychodził do mojego pokoju, kiedy już spałam, odkrywał mnie i wyjmował z łóżka. Czasem otwierałam oczy, gdy niósł mnie po schodach na górę, a czasem budziłam się dopiero, leżąc w łóżku z mężczyzną, którego nie znałam, który dmuchał mi w twarz oparami alkoholu i mnie dotykał.

Kiedy widywałam któregoś z przyjaciół ojca w ciągu dnia, rozmawiali ze mną miło, a ja uprzejmie odpowiadałam. Za to w nocy, kiedy leżałam obok nich nago, rzadko coś do mnie mówili. Wszyscy cuchnęli alkoholem, a jeden, najlepszy przyjaciel ojca, później oskarżony o molestowanie swojej pasierbicy, miał tak śmierdzące stopy, że mdliło mnie od samego leżenia obok niego.

Ale chociaż nienawidziłam tego, co się działo, i bałam się zasypiać, żaden z tych mężczyzn, którzy mnie molestowali, nie był dla mnie niemiły w jakiś oczywisty sposób, który mogłabym nazwać. Przyjęłam więc do wiadomości, że to robią wszyscy i że to jedna z tych rzeczy, które trzeba znosić, będąc małą dziewczynką, bo nikogo nie interesuje, czego chcesz ani co myślisz. Dopiero wiele lat później

dowiedziałam się, jak należy traktować dziecko i co jest absolutnie niedopuszczalne, zboczone i okrutne. Wtedy cieszyłam się po prostu, kiedy ktoś był dla mnie miły.

Nic dziwnego, że załamalam się, kiedy na świat przyszedł mój syn. W moim pojęciu każde dziecko było skazane na ciągłe nieszczęścia, prześladowania, przerażenie, a także, choć czułam to tylko podświadomie, molestowanie seksualne. Perspektywa zostania rodzicem przerażała mnie, zanim jeszcze Sam się urodził, a świadomość odpowiedzialności, jaką za niego ponoszę, i konieczność chronienia go przed wszystkimi niebezpieczeństwami, jakie potrafiłam nazwać, były druzgocące. Podczas pobytu w szpitalu zaczęłam sobie stopniowo zdawać sprawę, dlaczego tak jest.

Rozdział 8

*J*ako dziecko nie wiedziałam, co jest „normalne”, a co nie. W praktyce oznaczało to tyle, że ufałam wszystkim i zarazem nikomu, bo nie miałam podstaw do oceniania ludzkich intencji. Raz, kiedy miałam pięć lat i bawiłam się na ulicy przed domem, jakiś mężczyzna zatrzymał samochód i zapytał, czy może mi zrobić zdjęcie. Dziś normalnemu człowiekowi nie przyszłoby do głowy zadanie takiego pytania dziewczynce, która bawi się bez opieki. Ale wówczas ludzie byli chyba bardziej ufni albo po prostu bardziej naiwni. Usiadłam na schodkach przed domem, tak jak kazał mi ten pan, a on zrobił zdjęcie i obiecał przysłać mi odbitkę.

Kiedy z dumą opowiedziałam mamie, co się stało, była przerażona. Krew odpłynęła jej z twarzy; pochyliła się, położyła mi ręce na ramionach, popatrzyła mi prosto w oczy i powiedziała:

— Katie, nie wolno ci nigdy rozmawiać z obcymi! Nie wierzę, że pozwoliłaś podejrzanemu osobnikowi zrobić sobie zdjęcie!

— Ale on nie był podejrzany — zaprotestowałam, zastanawiając się jednocześnie, czy dobrze rozumiem to słowo. Potem, zadowolona z siebie, że tak sprytnie zakończę tę dyskusję, dodałam: — Stopy mu nie cuchnęły!

Moja matka popatrzyła na mnie zdumiona i pokręciła głową. Nie odczytała oczywistego dla mnie łańcucha skojarzeń, w najlepszym razie musiała się zastanawiać, czy nie zwariowałam.

Kilka dni później ktoś zapukał do drzwi, a kiedy moja mama otworzyła, mężczyzna wyciągnął w jej stronę coś, co wyglądało na kawałek papieru.

— Parę dni temu zrobiłem zdjęcie pani córce — powiedział. — Mam nadzieję, że się pani nie gniewa. Bawiła się na ulicy i choć wyglądała jak mały obdartus, widziałem, że wcześniej była niebiańsko czysta i porządnie ubrana. Wydawała mi się najpiękniejszym dzieckiem, jakie w życiu widziałem.

Matka była oczarowana, do dziś ma tę fotografię. Ulżyło jej także, że człowiek, o którym jej mówiłam, nie był wcieleniem szatana, jak uważała. O ironio, nie wiedziała, że nie muszę się bać podejrzanych mężczyzn na ulicy; zagrożeniem byli mój ojciec i jego koledzy, z którymi regularnie rozmawiała, śmiała się i których zabawiała we własnym domu.

Molestowanie odbywało się niemal każdej nocy przez

następne cztery lata, aż w końcu rozpacz zaczęła wydawać mi się stanem normalnym, miałam też coraz większe wątpliwości, co jest dobre, a co złe. Później, pewnej nocy, kiedy miałam siedem lat, a ojciec wyszedł na miasto z kolegami, do mojego pokoju przyszła matka, obudziła mnie i kazała mi się ubierać.

Naciągnęłam kołdrę na głowę i odwróciłam się od niej, ale ona uklękła przy łóżku i szarpała mnie za ramię, dopóki z westchnieniem znów się nie odwróciłam. Kiedy na nią spojrzałam, zobaczyłam, że oczy ma czerwone od łez. Musiało się stać coś bardzo złego.

— Wstawaj, Katie — szepnęła, szarpiąc mnie za rękę. — Musimy iść. Ubierz się szybko, pomogę ci. — Wzięła z krzesła przy łóżku sweter i kiedy zaczęła go zwijać, żeby mi go włożyć przez głowę, podniosła rękę, rękawy bluzki zsunęły się i odsłoniły skórę niemal całkiem pokrytą czarno-żółtymi siniakami. — Musimy wyjść, zanim wróci twój ojciec — powiedziała nagłaco i ze strachem.

Potem odwróciła się i zaczęła pakować ubrania z mojej komody do wypchanej walizki. Co kilka sekund odwracała się i patrzyła na drzwi, jakby spodziewała się, że ojciec w każdej chwili może się w nich pojawić.

Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak przerażonej. Serce tłukło mi się w piersi i bałam się, że w ogóle przestanie bić. Matka nigdy nie panikowała bez powodu. Sama nieustannie

żyłam w lęku, że któregoś dnia ojciec uderzy ją albo kopnie na tyle mocno, że niechcący ją zabije. Wiedziałam, że gdyby wrócił do domu i zastał ją w trakcie pakowania, wściekłby się tak, że mój najgorszy koszmar mógłby się urzeczywistnić.

Trwał rok szkolny, więc mój brat przebywał w internacie. Tylko ja i matka, trzymając się za ręce, skradałyśmy się tej nocy po schodach i uciekłyśmy z domu, nie oglądając się za siebie. Matka nie zabrała ze sobą nic z wyjątkiem kilku ubrań, które w panice wepchnęła do walizki i zniosła po kamiennych schodkach na chodnik. Wydaje mi się, że nie wierzyła, że odchodzimy na dobre.

Resztę nocy spędziłyśmy w domu jednej z jej przyjaciółek, a następnego dnia w niemal niezmaconej ciszy udałyśmy się do domu dziadków, gdzie ja zostałam, a ona pojechała do Londynu szukać pracy.

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że udało nam się uciec od ojca, że w ogóle ktokolwiek mógł od niego uciec, i przez następne tygodnie spodziewałam się, że stanie nagle przede mną i oznajmi, że zabiera mnie do domu. Prawda była jednak prawdopodobnie taka, że ucieszył się, że ma nas z głowy. Zawsze powtarzał, że jesteśmy kompletnie bezużyteczne i żałosne, zbyt głupie, żeby wykonać najprostsze polecenie, ale mimo naszych rażących niekompetencji pewnie szalał z wściekłości, gdy odkrył, że matka zdobyła się na niezależną decyzję i odeszła od niego. Z całą pewnością jednak nie było

mu przykro, bo już po kilku dniach sprowadził do domu swoją dziewczynę, Sally.

Dla ojca, który ponad wszystko kochał seks, przyjęcia i picie, Sally była partnerką idealną. Nie dorównywała mojej matce jako gospodyni. Matka zawsze bardzo dbała o dom i skwapliwie pilnowała, żeby wszystko było nienagannie czyste, bo tego oczekiwał ojciec. Kiedy po jakimś czasie odwiedziłam dom, byłam zszokowana stanem, do jakiego został doprowadzony. Wszędzie panował bałagan. Niemal w każdym miejscu salonu stały brudne szklanki i talerze z zaschniętymi resztkami jedzenia. Jeszcze więcej naczyń walało się w kuchennym zlewie. Widocznie Sally miała zalety, które rekompensowały brak ręki do prowadzenia domu.

W czasie związku z Sally ojciec przeszedł na dziką stronę. Chociaż nigdy szczególnie się nie przejmował, co o nim myślą inni — mimo że, paradoksalnie, to właśnie ich zdanie napędzało go do bycia kimś — zawsze udawało mu się podtrzymać wizerunek szanowanego obywatela. Jednak kiedy był z Sally, zaczął brać kokainę, pić jeszcze ostrzej niż wcześniej, a seks stał się sensem jego życia.

Tymczasem mieszkalam z dziadkami, a matka wynajmowała mieszkanie w Londynie. Nie zadomowiła się tam. Miała daleko do rodzinnego domu, do przyjaciół, a małżeństwo z ojcem pozbawiło ją wszelkiej

przedsiębiorczości i pewności siebie, nie była więc w stanie zacząć życia od nowa i odnieść sukcesu.

Ja też nie czułam się szczęśliwa. Byłam dziwaczną dziewczynką i ludzie mnie nie lubili. Nie rozumiałam dlaczego i niestety nikt mi nie wytłumaczył, co robię źle. Pewnego dnia ojciec jednej dziewczynki przyszedł do nas do domu i z wściekłością poinformował dziadka, że nie wolno mi nigdy więcej bawić się z jego córką ani nawet z nią rozmawiać.

Chciałam mieć przyjaciół, ale byłam tak zagubiona i skołowana, i zachowywałam się tak dziwnie, że ludzie w moim towarzystwie byli spięci i czuli się nieswojo. A im bardziej byłam nieszczęśliwa i samotna, tym więcej robiłam rzeczy, które pogłębiały różnicę pomiędzy mną a innymi dziećmi w szkole.

Odkąd skończyłam siedem lat, czasem podkradałam pieniądze z torebki babci i kupowałam papierosy z automatu. Nie wiem, czemu to robiłam, i nie muszę chyba mówić, że żadne dziecko w szkole nie paliło. Może chciałam zaznaczyć, że jestem wolna i ojciec nie kontroluje już każdego mojego ruchu, bo wiedziałam, że ze wszystkiego, co nienawidził, chyba najbardziej nie znosił palaczy papierosów. A może jednak był to syndrom „nie mam nic do stracenia”: skoro już zdobyłam reputację dziwadła, chciałam być jak najdziwniejsza.

Moja matka była w Londynie prawie rok, a potem pewnego dnia przyjechała, żeby zabrać mnie z domu dziadków. Myślę, że odetchnęli, że wyjeżdżam, a ja cieszyłam się, iż wracam do miasta, w którym się urodziłam, mimo że przerażała mnie perspektywa spotkania z ojcem.

Pierwsze kilka tygodni spędziłyśmy z matką u jej przyjaciółki Tilly, która miała mieszkanie na pierwszym piętrze domu bardzo podobnego do tego, w którym mieszkałyśmy z ojcem. Zresztą stały niedaleko siebie. Którejś nocy, w trakcie naszego pobytu tam, obudziły mnie krzyki z ulicy. Wciąż w półśnie, przewróciłam się na plecy, żeby posłuchać. W jednej chwili szeroko otworzyłam oczy i całkowicie oprzytomniałam. Czułam, jakby przez żyły przepływała mi lodowata woda, bo rozpoznałam głos: to był mój ojciec.

Z walącym sercem ześlizgnęłam się z łóżka, ukradkiem podeszłam do okna i długo zbierałam się na odwagę, żeby wyrzeć na ulicę. W końcu wzięłam głęboki wdech i uniosłam brzeg ciężkiej kotary. Zobaczyłam ojca, który stał na chodniku przed domem, wymachiwał w powietrzu rękami, jakby dyrygował orkiestrą, i wykrzykiwał słowa, których nie rozumiałam. Szybko opuściłam zasłonę, jakby zaczęła się palić, i wczołgałam się pod kołdrę, gdzie leżałam, płacząc cicho, dopóki nie zasnęłam.

Następnego ranka Tilly pierwsza odsłoniła zasłony w

oknie swojej sypialni i ujrzała fotografie, które ojciec ponadziewał na każdy z metalowych szpikulców czarnego ogrodzenia biegnącego wzdłuż domu. Matka płakała, kiedy zobaczyła swoje podarte, podziurawione zdjęcia ślubne. Chociaż było to dla mnie totalnie niezrozumiałe, ona najwyraźniej wciąż go kochała i była do głębi zraniona tym, co zrobił. Bardzo poruszyło ją również, gdy dowiedziała się, że Sally oddała komuś jej ślubną suknię i nosiła ubrania, które matka musiała zostawić w domu w noc ucieczki.

Ojciec postanowił sprawić, by matka odcierpiąta to, że go porzuciła.

Ona nie miała już własnych pieniędzy, a chociaż w czasie procesu rozwodowego sąd przyznał jej alimenty, ojciec ich nie płacił. Żywił niemal patologiczną nienawiść do każdego, kto mu się przeciwstawił, a na dodatek nigdy nie był zainteresowany robieniem tego, co należy. Postępował, jak chciał. A ponad wszystko chciał pieniędzy, zwyczajnie zignorował więc nakaz sądowy, zakładając — jak się okazało, słusznie — że matka nie będzie miała siły, żeby z nim o to walczyć, a nawet jeśli, to miał wystarczająco wielu wpływowych przyjaciół we właściwych miejscach, żeby jej to uniemożliwić.

Ojciec przez jakiś czas ukrywał swoje pieniądze i kupił kilka nieruchomości na nazwisko zaufanych przyjaciół. Pozwolił matce i mnie wprowadzić się do mieszkania w jego

budynku, choć oczywiście matka musiała płacić czynsz. Mieszkanie było koszmarne: dwa pokoje, maleńka kuchnia i jeszcze mniejsza łazienka w ruinie w najpodlejszej części miasta. W życiu nie widziałam takiego miejsca i prawdę mówiąc, nie wiedziałam nawet, że takie istnieją.

Ojciec dzielił resztę budynku na nędzne kawalerki i przez pierwszych kilka tygodni byliśmy jedynymi mieszkankami tego ponurego i złowrogiemu domu. W ciągu dnia hałasowali robotnicy, w nocy wszystkie klitki były puste. Kiedy jednak zaczęli się wprowadzać nowi lokatorzy, zrobiło się jeszcze gorzej. Byli to pijacy, ćpuni i prostytutki, za których czynsz opłacała opieka społeczna.

Nasze mieszkanie było na ostatnim piętrze, a od podestu na szczycie schodów oddzielała je szklana ścianka, co oznaczało, że każdy, kto przechodził, widział drzwi prowadzące do naszej sypialni, łazienki, kuchni i dużego pokoju.

Ojciec musiał czerpać satysfakcję ze świadomości, że matka mieszka w tak nędznym miejscu. Co do mnie — było mu całkowicie obojętne, co się ze mną dzieje. Być może uważał, że życie w otoczeniu wyrzutków społecznych i kryminalistów jest należyłą karą za porzucenie go. Możliwe też, że podobała mu się ironia losu, że oto moja matka, pochodząca z szanowanej i zamożnej rodziny, mieszka w skrajnej nędzy, a on, urodzony w biedzie, ma wielki dom,

jada w najlepszych restauracjach i pija szampana z najbardziej prominentnymi i wpływowymi mieszkańcami miasta.

Każdy skrawek mieszkania przesiąknięty był kwaśnym, zatechłym zapachem, którego nie można się było pozbyć, nieważne, ile się skrobało i czyściło. Nie było pralki, kuchenki ani mebli, nie licząc wąskiego tapczanu, na którym spałam, i sofy w dużym pokoju, która w nocy pełniła funkcję łóżka matki. Łazienka była w zasadzie tylko z nazwy: za mała na wannę, więc musiał wystarczyć brudny, ciekący prysznic nawet bez zasłony. Poza tym popękana umywalka i brudny sedes z białą plastikową deską, która niebezpiecznie przechylała się na jedną stronę, kiedy się na niej siadało. W łazience nie było podłogi, zresztą nie było jej w całym mieszkaniu, tylko dwa duże perskie dywany, które moja matka jakimś cudem wydestała z obecnego domu ojca i które wyglądały przedziwnie na brudnych, popękanych płytach podłogowych w dużym pokoju, pełniącym też funkcję sypialni.

Babcia ze strony matki kupiła nam kuchenkę, ale nadal nie miałyśmy pralki, więc prałyśmy ubrania w umywalce i rozwieszałyśmy na haku pod prysznicem.

Matka znalazła pracę w ekskluzywnym butik, gdzie zarabiała dość, żeby starczyło na czynsz i rachunki, a ja akceptowałam taki stan, nie zastanawiając się nawet, czy są

inne możliwości. Teraz myślę, że matka musiała być w depresji i wciąż czuła się kompletnie zależna od ojca. Któż bowiem inny, nie dostając od byłego męża zasądzonych alimentów, płaciłby mu czynsz za wynajem plugawego, obrzydliwego mieszkania, w jakim mieszkaliśmy? Chociaż rodzice zawsze prowadzili aktywne życie towarzyskie i matce zdarzało się wracać z kolacji albo z przyjęcia na rauszu, nigdy nie piła tyle co ojciec. Po przeprowadzce do tego mieszkania zaczęła pić więcej i często odsyłała mnie na noc do obcych ludzi. Zdarzało mi się całymi tygodniami mieszkać u przyjaciół, brać udział w ich życiu, w którym ojcowie byli mili, odpowiedzialni, nie wpadali w furję, nie bili dzieci ani żon, a w nocy nie wkradali się do łóżek swoich córeczek ani nie udostępniali ich ciał kolegom.

To były najlepsze tygodnie mojego życia, chociaż pod pewnymi względami przyszły za późno, bo ziarno nienawiści zostało zasiane, a mój umysł zaczął już blokować najgorsze i najbardziej bolesne wspomnienia z dzieciństwa, które powróciły dopiero po narodzinach syna i wpędziły mnie w chorobę, z której ledwie wyszłam cało.

Matka często wyklinała ojca, szczególnie kiedy za dużo wypija, ale wpuszczala go, ilekroć przychodził, a mnie wysyłała na miasto pod byle pretekstem i zabraniała wracać przed upływem dwóch godzin. Wiedziałam, co robią, w każdym razie, że robią „to”. Kiedy w końcu wracałam do

mieszkania po żalonym dwugodzinnym wałęsaniu się po ulicach, na które żaden rozsądny dorosły nie skazałby dziecka, matka była rozchichotana jak pensjonarka, przynajmniej dopóki znów nie wpadła w apatię i nie zaczęła płakać.

Któregoś wieczoru, kiedy wszystkie roboty budowlane zostały ukończone, ale matka i ja wciąż byliśmy jedynymi mieszkankami budynku, ktoś zapukał do drzwi. Gdy otworzyłam, na progu stał ojciec oparty o framugę. Był pijany, ale jeszcze nie brutalny. Odsunął mnie, wszedł do przedpokoju i zapytał:

— Gdzie matka?

— Tutaj — powiedziałam i wskazałam drzwi do dużego pokoju. Sama poszłam do siebie i zamknęłam drzwi.

Ściany były zrobione z cienkiego karton-gipsu, więc słyszałam szmer głosów rodziców, nie rozróżniałam jednak słów. Nagle ojciec wrzasnął:

— Podpisz to, kobieto! Po prostu to zrób!

— Ale to mój dom. Jedyne, co mi zostało — odezwała się matka jęczącym tonem, który zawsze irytował ojca.

Zaczęły mi się pocić dłonie.

— Podpisuj!

Usłyszałam odgłos uderzenia i krzyk matki:

— Ratunku, Katie! Wezwij policję!

Wówczas jeszcze nie wymyślono komórek, a w mieszkaniu nie było telefonu. Na zewnątrz panowała ciemność, a najbliższa budka stała kilka ulic dalej. Bałam się chodzić po okolicy nawet w dzień, nigdy sama nie przebywałam poza mieszkaniem w nocy, ale wiedziałam, że nie mam wyboru, muszę iść.

Staralam się bezgłośnie otworzyć drzwi, ale gdy tylko postawiłam stopę w przedpokoju, ojciec wypadł z pokoju matki i ryknął do mnie:

— Jeśli wyjdiesz, będzie martwa, zanim zdążysz wrócić.

Stałam sparaliżowana ze strachu i niezdecydowania, a wtedy ojciec wyciągnął rękę, złapał mnie za włosy i zawlókł do dużego pokoju.

— Siedź tu i patrz — krzyknął, popchnął mnie w kąt i przyciskał do ziemi, aż kucnęłam na surowej podłodze.

Wtedy odwrócił się do matki, która kulila się na kanapie, zakrywając rękami głowę i broniąc się przed ciosami i kopniakami, które spadały na nią gradem.

Kiedy jeszcze byli małżeństwem, a ojciec ją bił, zawsze unikał ciosów w twarz i w części ciała, na których siniaki byłyby widoczne. Tym razem nie zwracał na to uwagi i wkrótce krew płynęła jej z nosa i dużej rany pod okiem.

Siedziałam na podłodze w miejscu, gdzie rzucił mnie ojciec, przyciskałam kolana do piersi i szlochałam. Zawsze bałam się, że któregoś dnia on posunie się za daleko, i byłam

pewna, że tym razem matka nie przeżyje. Głos w głowie powtarzał słowa, które ojciec wykrzykiwał do mnie wiele razy:

— Jesteś bezużyteczna! Nawet gówno jest więcej warte!

Nienawidziłam się za tchórzostwo, które nie pozwoliło mi rzucić się do drzwi, wybiec na ulicę i wołać o pomoc. Pomijając fakt, że byłam zbyt przerażona, żeby zmusić się do jakiegokolwiek ruchu, wiedziałam, że jeśli się podniosę, ojciec po prostu mnie zabije.

Nagle sięgnął do małego stoliczka przy kanapie i wziął ciężką szklaną popielniczkę, a potem uderzył nią w głowę matki. Zaczęłam wydzierać się histerycznie, kiedy krew zalała kanapę i ścianę za oparciem, a matka bezwładnie upadła na poduszki. Wciąż wrzeszczałam, gdy ojciec szarpnął mnie za ramiona, postawił brutalnie na nogi i ryknął mi w twarz:

— Przestań drzeć tę przeklętą mordę i chodź ze mną!

Zaciągnął mnie przez korytarz do łazienki, odkręcił wodę nad popękaną umywalką, a na wszystkim, czego dotknął, zostawiał krew.

— Umyj je — rozkazał, wsadzając ubrudzone krwią ręce pod kran. Posłuchałam go, bo mój mózg przestał działać, nie mogąc poradzić sobie z obrazem ojca zabijającego matkę. Nie byłam w stanie myśleć.

Ojciec wytarł ręce w cienki niebieski ręcznik wiszący na

urwanym haczyku pod prysznicem i popchnął mnie przed sobą z powrotem do dużego pokoju.

Nie chciałam oglądać ciała matki, ale wiedziałam, że nie mogę udawać, że nic się nie stało, więc zamknęłam oczy, wzięłam głęboki wdech, a potem uchyliłam powieki i szybko zerknęłam w stronę kanapy. Głowa matki pod nienaturalnym kątem spoczywała na poduszce, a górna połowa ciała tonęła we krwi. Zaczęłam łkać.

— Na litość boską, zamknij się! — syknął ojciec, przepchnął się obok mnie, podszedł do kanapy, a potem pochylił się i za ramiona podciągnął matkę do pozycji siedzącej. Kiedy nią poruszył, z jej ust wydobył się ledwie słyszalny jęk, zatrzepotała powiekami i sięgnęła ręką do głowy.

Chciałam ją objąć i przytulić, ale byłam tak przerażona, że nie śmiałam się poruszyć. Stałam bez ruchu i obserwowałam, jak znów zamyka oczy i opada na podłokietnik kanapy. Ojciec znów ją posadził, tym razem brutalniej, i podparł zaplamionymi krwią poduszkami. Później wygładził kartkę papieru, położył ją na stoliku, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki pióro i wcisnął je matce do ręki. Ciasno objął jej dłoń swoją, a potem powiedział:

— Podpisz, natychmiast!

Wciąż na granicy przytomności, matka przekazała ojcu swój jedyny majątek: dom na wybrzeżu, który planował

sprzedać, żeby pokryć długi z hazardu. Po wszystkim zakręcił pióro, starannie schował je do kieszeni, dmuchnął na jeszcze mokry podpis, złożył papier i wyszedł, ani razu nie oglądając się za siebie.

Kiedy tylko drzwi wejściowe zamknęły się za nim, matka z powrotem opadła na kanapę i wydawało mi się, że przestała oddychać.

— Mamusiu, nie umieraj! — błagałam szeptem, stojąc przy niej, ale nie mając śmiałości dotknąć jej kruchego, zalanego krwią ciała. — Mamusiu, błagam, nie umieraj.

Poruszyła ustami, ale nie wydała żadnego dźwięku. Nachyliłam się, żeby przytknąć ucho do jej ust.

— Wezwij Eileen — wymamrotała.

Eileen była przyjaciółką matki, zasadniczą kobietą, która nigdy nie dopuszczała, by emocje przyćmiły jej zdrowy rozsądek. Niemal zemdliło mnie z ulgi na myśl, że Eileen będzie wiedziała, co robić. Zebrałam całą odwagę, żeby wybiec na ciemną ulicę i znaleźć budkę telefoniczną.

Zanim Eileen przyjechała, zdążyła zadzwonić po karetkę i matkę zabrano do szpitala, w którym lekarze z rezygnacją wzruszali ramionami, gdy matka się upierała, że potknęła się i uderzyła w głowę.

Nawet po tym, jak ojciec omal jej nie zabił, wciąż pojawiał się u nas od czasu do czasu, a matka go wpuszczała. Bywało, że przeszukiwał mieszkanie, chcąc znaleźć ślady obecności

innego mężczyzny. Nigdy nie rozumiałam, czemu matka się na to godzi. Łączyły ich skomplikowane relacje. Choć zdawali się wzajemnie nienawidzić, do czego akurat moja matka miała pełne prawo, byli zazdrośni na myśl, że to drugie mogłoby wejść z kimś w związek. Mimo to ojciec związał się wówczas z Sally. On natomiast nie miał powodów do zazdrości, bo w życiu matki nie było nikogo. Od czasu do czasu decydowali się na coś, co nazywali „powrotem do siebie”, ale nie trwało to zwykle dłużej niż jedną noc, a dla ojca sprowadzało się do seksu i sprawowania kontroli.

Czasem odwiedzałam ojca i zostawałam u niego na noc. Nie chciałam w ogóle się z nim widywać, ale powiedział matce, że jeśli będzie trzeba, zdobędzie nakaz sądowy, wymuszający moje regularne wizyty. Matka odparła, że lepiej, żebym chodziła z własnej woli, bo dzięki temu nie będę musiała robić tego co tydzień.

Czasem, kiedy przychodziłam do ojca, zastawałam Sally, ale zwykle wybuchała karczemna awantura, po której ona trzaskała drzwiami i nie wracała przez kilka dni, a wtedy ja musiałam spać z nim w łóżku. Dużo wtedy pił, brał kokainę i wydawał szalone przyjęcia, na których czasem tańczyłam dla jego kolegów.

Najważniejszym punktem tych przyjęć był seks. Kobiety, które w nich uczestniczyły, były w większości młodymi dziewczynami, starszymi nastolatkami, a wiele z nich

pracowało jako prostytutki. Mężczyźni z reguły byli bogatymi, szanowanymi biznesmenami, przyjaciółmi i kolegami ojca. Niektórzy, znani lokalnie lub na poziomie krajowym, pełnili funkcje publiczne i wielu z nich miałoby mnóstwo do stracenia, gdyby ludzie dowiedzieli się, jak spędzają wolny czas. Jednak wiedziały o tym tylko dziewczyny, które dostawały godziwe pieniądze za trzymanie buzi na kłódkę, i inni mężczyźni, którzy robili dokładnie to samo, mieli więc pewność, że nikomu nie będzie się opłacało wyciągać ich brudów na światło dzienne.

Wielu z nich — łącznie z ojcem — było tak zepsutych sprawowaną władzą, że arogancja pozwalała im wierzyć, iż stoją ponad prawem. A jeśli kiedykolwiek sprawiedliwość dosięgłaby mojego ojca, wiedział, że wystarczy tylko zasugerować komu trzeba, że dysponuje bardzo ciekawymi i niedwuznacznymi zdjęciami ludzi, którzy mogliby nie chcieć, żeby ich prywatne sekrety przeciekły do publicznej wiadomości.

W pewnym sensie moje życie wcale nie stało się lepsze po tym, jak matka odeszła od ojca. Chociaż przez większość czasu nie musiałam obawiać się jego okrucieństwa i zniknął potworny niepokój, spowodowany jego tyranią, wciąż musiałam z nim sypiać, kiedy nie było Sally. Często wyjmował mnie w nocy z mojego łóżka i kładł między swoimi przyjaciółmi. Czasem dotykali mnie, a czasem uprawiali seks

z kimś innym, a ja leżałam bezradnie z zamkniętymi oczami i usiłowałam wyobrazić sobie, że jestem gdziekolwiek indziej, ale nie tutaj. Czasem docierał do mnie błysk światła. Kiedy trochę dorosłam, zaczęłam rozumieć, co oznaczał, i odczuwałam głęboki wstyd, bo moje upokarzające położenie zostało uwiecznione na zdjęciu.

Gdy matka odeszła od ojca, miałam siedem lat i byłam nieprzystosowana do życia w społeczeństwie. W ciągu następnych kilku lat stałam się bardzo dziwnym dzieckiem.

Odkąd pamiętam, miałam najróżniejsze obsesje, na przykład, że jeśli nie dotknę słupa latarni, zanim samochód dotrze do pasów, spotka mnie coś strasznego. Poza tym jadłam tylko wówczas, gdy mnie do tego zmuszono, i w wieku dziesięciu lat ważyłam dwadzieścia pięć i pół kilo. Teraz rozumiem, że to była forma samookaleczenia, ale wówczas nikt się nie zastanowił, z jakiego powodu usiłuję zagłodzić się na śmierć.

Może moja matka uważała po prostu, że przyczyna leży w siedmiu pierwszych latach mojego życia, kiedy byłam dręczona psychicznie i fizycznie przez okrutnego, agresywnego ojca? Dopiero gdy znalazłam się już na granicy anoreksji, zaprowadziła mnie do lekarza, a on zapisał mi obrzydliwy, zielony gęsty płyn, który musiałam pić codziennie. Miał sprawić, że zacznę odczuwać głód, i dostarczyć mi kalorii i substancji odżywczych, ale smakował

tak obrzydliwie, że picie go było karą samą w sobie.

Mimo wszystko miałam w szkole przyjaciół, choć tak naprawdę nigdy nikomu nie ufałam i nikt mnie dobrze nie poznał. Nie byłam miłą dziewczynką.

Bałam się, że jeśli komukolwiek pozwolę się do siebie zbliżyć, odkryje, że jestem oszustką, bo w gruncie rzeczy byłam złą, bezwartościową osobą, jak zawsze mówił ojciec, skażoną w sposób, którego nie rozumiałam. A ponieważ z nikim nie mogłam podzielić się myślami i strachami, powołałam do życia wymyślonych przyjaciół: Clarence'a Groona i jego żonę, która także nazywała się Clarence Groon, i ich dzieci, gromadkę Clarence'ów Groonów.

Groonowie byli pomponikami, które przytulałam do twarzy w złożonych dłoniach i szeptałam im to, z czego nie mogłam się zwierzyć nikomu innemu. Pomponiki zresztą też były wymyślone i w rzeczywistości przytulałam do twarzy puste dłonie, co moją matkę musiało niezłe przerażać.

Wiele razy pytała, dlaczego do nich mówię i co im opowiadam. Sądzę jednak, że bardziej ją to drażniło, niż niepokoiło, i skłaniało do rozważań nad powodem, dla którego potrzebuję wymyślonych przyjaciół, na dodatek tak dziwnych, bo nieżywych. W mojej wyobraźni Clarence'owie Groonowie byli prawdziwymi przyjaciółmi, którym mogłam ufać, i zwierzałam im się ze wszystkich myśli, także tych najstraszliwszych, najczarniejszych.

Już w bardzo młodym wieku fantazjowałam na temat śmierci i często robiłam szalone czy wręcz niebezpieczne rzeczy. Na przykład na wycieczce z przyjaciółką skoczyłam w ubraniu z wysokiego brzegu prosto w spienioną, spływającą kaskadami wodę w zbiorniku u podnóża wodospadu. Moja przyjaciółka wpadła w histerię. Kiedy skoczyłam, słyszałam jej wrzaski, a gdy potykając się na skałach, biegła na dół, spodziewała się zobaczyć już tylko moje martwe ciało. Zanim jednak dotarła do mnie, ja już wychodziłam z wody i poza kilkoma siniakami nic mi się nie stało. Mimo to była tak zszokowana, że nigdy mi tego nie wybaczyła. Była przekonana, że oszalałam, i być może miała rację.

Tkwiła we mnie zbita kula gniewu, który czasem wybuchał, i bez ostrzeżenia traciłam panowanie nad sobą. Na przykład raz złapałam dziewczynkę, która mi dokuczała, i wsadziłam jej głowę między szczelki barierki. Trzeba było wezwać straż pożarną, żeby ją uwolniła. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego to robiłam, a ja nawet nie starałam się tłumaczyć. Prawda była taka, że ta dziewczynka mnie prześladowała. Przez długi czas z jej powodu moje życie było koszmarem, a ja nie byłam w stanie nic na to poradzić. Pewnego dnia, kiedy powiedziała coś, co mnie zirytowało, poczułam wzbierającą falę krwistoczerwonego gniewu i mogłam myśleć tylko o odpłaceniu jej pięknym za nadobne.

Po takich wydarzeniach nic nie pamiętałam. Tak jakbym

traciła panowanie nad sobą, a gdy ktoś mi o tym opowiadał, nie wierzyłam i mówiłam:

— Nie, ja tego nie zrobiłam. To nie ja.

W głębi duszy wiedziałam, że nie jestem osobą, która mogłaby zachowywać się w ten sposób, po prostu nie miałam tego w środku. Dziś rozumiem, dlaczego tak się działo i skąd czułam w sobie tyle tłumionej furii, ale wówczas nie znajdowałam żadnego racjonalnego uzasadnienia i zaczęłam martwić się, że naprawdę coś jest ze mną nie tak.

Rozdział 9

Nienawidziłam świata, w którym żyłam jako dziecko, więc stworzyłam własny, wymyślony, do którego uciekałam, ilekroć byłam nieszczęśliwa, co oznaczało, że przez całe lata przebywałam w nim niemal stale. Czytałam książki o królach i królowych i wyobrażałam sobie, że żyję wśród nich. Poza tym wciąż zbierałam jakieś drobiazgi i skrzętnie je chowałam, udając, że to bezcenne skarby.

Pewnego dnia, gdy rodzice jeszcze byli małżeństwem, przebywałam u rodziców ojca i dziadek opowiedział mi o pierścionku, który zgubił kiedyś w szopie w ogrodzie. Odtąd za każdym razem, kiedy odwiedzałam dziadków, szukałam tego pierścionka i kilka lat później zwierzyłam się dziadkowi:

— Wciąż nie znalazłam twojego zgubionego pierścionka, dziadku, ale obiecuję, że wciąż będę szukać.

Dziadek patrzył na mnie zdumiony.

— Jakiego pierścionka? — spytał. — Nie wiem, o czym mówisz, Katie.

— O tym pierścionku, który zgubiłeś w szopie —

wyjaśniłam. — Wciąż go szukam, ilekroć tu przyjeżdżam.

Przez moment mi się przyglądał, a potem nagle zrozumiał.

— Ależ Katie, ja to wymyśliłem. Nie było żadnego pierścionka. Powiedziałem ci to, żebyś miała czym się zająć tego dnia. Myślałem, że się domyśliłaś.

Byłam zdruzgotana. Nie tylko nie było żadnego skarbu, ale do tego przez całe lata szukałam czegoś, co nigdy nie istniało. Często wyobrażałam sobie zachwyty na twarzy dziadka, kiedy wreszcie z triumfem wręczam mu dawno zaginiony, cenny pierścionek, i nigdy nie straciłam wiary, że pewnego dnia go odnajdę.

Zapewne ufałam dziadkowi bardziej niż komukolwiek innemu, bo byłam załamana na wieść, że mnie okłamał. W tamtej chwili dotarło do mnie, że wszystko, w co kiedykolwiek wierzyłam albo na co miałam nadzieję, było fałszywe i bezwartościowe.

Pamiętam tylko jeden moment z dzieciństwa, kiedy byłam szczęśliwa. W wieku dziesięciu lat spędziłam długie, letnie wakacje z bratem i dziadkami ze strony ojca w domku nad morzem. W to niespotykane upalne lato przez całe tygodnie codziennie rano budziły nas słońce i niezmacony błękit nieba. Najczęściej chodziliśmy z dziadkiem na ryby, potem z babcią zbieraliśmy maliny i robiliśmy dżem, a wieczorami wszyscy graliśmy w karty.

Normalnie nikt się nami tak nie zajmował. W domu było

jasne, że ojciec chce nas widzieć tylko na żądanie, a słyszeć nie chce w ogóle. Nie sędzę, żeby kiedykolwiek przyszło mu do głowy, na jakimkolwiek etapie mojego dzieciństwa, żeby się ze mną w coś pobawić. W coś, co mogłoby sprawić przyjemność dziecku. Nigdy wcześniej nie czułam się tak wolna i tak pogodzona ze sobą, jak w trakcie tych letnich dni spędzonych z dziadkami. Jeszcze długo wspominałam je jako najszcześniejsze chwile całego mojego dzieciństwa.

Babcia była drobną despotką żyjącą w lęku przed Bogiem i nikt nie miał wątpliwości, że to ona rządzi w domu. Często czytała mi Biblię i choć nie mówiła wyłącznie o ogniu, siarce i wiecznym potępieniu, z całą pewnością traktowała dziesięcioro przykazań bardzo poważnie. Wszyscy się jej bali, łącznie z dziadkiem. Ja ją kochałam. Jednak to dziadek był moim ulubieńcem. Kochałam go chyba najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie. Był uroczym, delikatnym mężczyzną, szczerze zainteresowanym ludźmi.

Rodzice ojca w niczym nie przypominali dziadków ze strony matki. Bardzo surowi, dawali mi klapsy, kiedy byłam niegrzeczna. Mimo że ojciec ojca był alkoholikiem, zawsze miał dobry nastrój. Niestety, zmarł rok po naszych wakacjach i od tamtej pory rzadko widywałam babcię. Ojciec zawsze był jej ukochanym dzieckiem, ale kiedy rodzice się rozstali, a on zaczął prowadzić hulaszczce życie, babcia odmówiła jakichkolwiek kontaktów z nim.

Wiele lat później odwiedziłam babcię i zastałam ją samą w zimnym, obskurnym mieszkaniu na wysokim piętrze, w którym gotowała na otwartym ogniu. Zostawiłam jej pieniądze, a potem zadzwoniłam do ojca, żeby powiedzieć mu, w jakich warunkach żyje jego matka.

— Nic nie mogę zrobić — powiedział. — Sam nie mam pieniędzy.

Było to bezwstydnne kłamstwo, z którego często korzystał.

Być może usłyszał moje szydercze parsknięcie, bo po chwili milczenia dorzucił:

— Dobrze, zobaczę, co się da zrobić. Wyślę coś i dopilnuję, żeby niczego jej nie brakowało.

Później powiedział mi, że od czasu mojego telefonu co tydzień wysyła jej pieniądze, ale okazało się, że nigdy nie przekazał jej ani pensa.

Babcia zmarła kilka lat temu, a on nawet nie poszedł na pogrzeb. Wysłał przedstawiciela, którego ona w ogóle nie знаła. Jednak później wpłacił hojny datek na rzecz domu opieki, w którym spędziła ostatnie lata życia i w którym nigdy jej nie odwiedził. Według jego instrukcji pieniądze miały zostać przeznaczone na nowoczesny wózek. Ludzie z domu opieki musieli pomyśleć, że dziwny z niego człowiek.

Tamtego lata z dziadkami najwspanialsze było dla mnie to, że czułam się jak normalne dziecko. Inaczej niż przez całe dzieciństwo, kiedy nigdzie nie pasowałam i nie wiedziałam

dlaczego. Często obserwowałam inne dzieci i słuchałam ich, usiłując dociec, co powinnam mówić i robić, ale niezależnie jak bardzo się starałam, nie potrafiłam odnaleźć sensu. Byłam wiecznie niepewna i wydawało się, że trwam w stanie skołowania i zdumienia.

Kiedy miałam jedenaście lat, matka i ja musiałyśmy wyprowadzić się z mieszkania, które wynajmował nam ojciec. Nie pamiętam jego wymówki, ale później dowiedziałam się, że chciał sprzedać budynek, żeby spłacić hazardowe długi — kolejne. Zapakowałyśmy niewielki dobytek i opuściłyśmy to koszmarne, ponure mieszkanie. Przeniosłyśmy się do odrobinę większego, dwupokojowego, w trochę lepszej dzielnicy.

Nowy dom stał przy końcu długiej ulicy i ktoś mi kiedyś powiedział, że dokonano w nim bestialskiego morderstwa. Moja przyjaciółka mieszkała na drugim końcu ulicy i zawsze, jak do niej szłam, byłam tak spanikowana, że ledwie oddychałam. Rozglądałam się wkoło i zerkałam przez ramię, pragnąc rzucić się do biegu, ale bałam się, że zwrócę na siebie uwagę mordercy, który wciąż gdzieś tam był, jak sądziłam, i obserwował wszystko z okna jednego z nierzucających się w oczy budynków.

Któregoś dnia szłam z przyjaciółką, kiedy zatrzymał się obok nas samochód. Kierowca odkręcił szybę i powiedział coś, czego nie dosłyszałam, a potem kiwnął na mnie. Moja

przyjaciółka się cofnęła, ale ja przeszłam przez chodnik i zbliżyłam się do auta. Mężczyzna oparł ramię na oknie, a kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam, że drugą ręką trzyma penis i od pasa w dół jest całkiem nagi.

Krzyknęłam i chciałam odskoczyć, ale złapał mnie za rękę i boleśnie wbił mi paznokcie w skórę. Moja przyjaciółka pobiegła ulicą, szlochając bez tchu, a mężczyzna zaczął wysiadać z auta, wciąż trzymając mnie mocno. Próbowałam się wyrwać, szarpałam się i wykręcałam rękę, i nagle się uwolniłam. Zawołałam do przyjaciółki i pobiegłam za nią, a potem obie rzuciłyśmy się ku otwartej bramie klubu tenisowego.

Chociaż ludzie grali w tenisa lub chodzili między budynkiem a kortami, nie przyszło mi do głowy, żeby powiedzieć komuś, co mnie właśnie spotkało. Zamiast tego zza ogrodzenia patrzyłyśmy, jak mężczyzna powoli jedzie ulicą, potem zawraca i wolno mija nas raz jeszcze. Kiedy zawracał po raz drugi, złapałyśmy się za ręce i puściłyśmy biegiem przez bramę klubu tenisowego do domu przyjaciółki, skąd jej matka zadzwoniła na policję.

Kiedy policja przyjechała, opowiedziałyśmy, co się stało, ale mężczyzny nigdy nie złapano. Matka przyjaciółki, a potem także moja, wyraziła głębokie niezadowolenie z faktu, że podeszłam do samochodu, i obydwie po raz kolejny upomniały mnie, żebym nigdy nie rozmawiała z

nieznajomymi. Ich ostrzeżenia i rady nie odniosły wielkiego skutku poza tym, że zaczęłam żyć w jeszcze większym stresie. Nie potrafiłam rozpoznać, jakich mężczyzn należy się wystrzegać.

W tym czasie niezbyt często odwiedzałam ojca. Mówiłam matce, że nie chcę zostawać u niego na noc, ale nie tłumaczyłam dlaczego. Odkąd zaczęłam rozumieć słowa, powtarzał mi, że jestem bezwartościową, nieudaczną małą zdzirą, która skończy w domu dziecka, bo nikt jej nie kocha. A ja nie miałam powodu, żeby mu nie wierzyć. Nie przypominam też sobie, żeby kiedykolwiek zabronił mi mówić o tym, co mi robi, a ja i tak nie mówiłam, gdyż czułam się winna, bo byłam szmatą „tak jak matka”.

Ale matka nie była szmatą, wręcz przeciwnie, była damą, której brakowało jedynie wiary w siebie i siły charakteru, by w porę przeciwstawić się ojcu. Sposób, w jaki ojciec ją traktował, gdy byli małżeństwem, a także później, całkowicie zrujnował jej poczucie własnej wartości i pewność siebie i nigdy nie otrząsnęła się po krzywdzie, jaką jej wyrządził, zarówno fizycznie, jak i, przede wszystkim, psychicznie.

Nie sądzę, żebym i ja kiedykolwiek w pełni podniosła się z tego, co mi zrobił. Uważam, że to, co przydarza się dziecku w ciągu kilku pierwszych lat, buduje fundament jego rozumienia świata. Ojciec sprawił, że mój świat opierał się na poczuciu własnej beznadziejności i tęsknocie za miłością,

które towarzyszyły mi przez całe lata i niszczyły niemal do dziś. Staralam się go zadowolić i zabiegałam o jego akceptację, czy to bezbłędnie recytując francuskie bajki, czy leżąc bez ruchu jak „grzeczna dziewczynka”, gdy zanosił mnie do swojego łóżka i krzywdził w sposób, który wciąż prześladuje mnie w snach.

Co jakiś czas, gdy on i jego dziewczyna Sally kłócili się, ona wyrzucała go z domu, co nie mieściło mi się w głowie, bo nie sądziłam, że kogokolwiek na to stać. Przy jednej z takich okazji, a miałam wtedy dwanaście lat i jeszcze w pamięci incydent z onanizującym się mężczyzną z samochodu, ojciec zgwałcił mnie po raz ostatni.

Sally znów go wyrzuciła, więc zatrzymał się u swojego przyjaciela Angusa, który przeniósł się do mieszkania w przyjemnej części miasta. Którejś nocy, kiedy z nim tam byłam, urządzili przyjęcie. Nie chciałam zostać, bo chociaż Angus jak zwykle był dla mnie miły, ojciec ewidentnie nie miał zamiaru się mną przejmować. Obrażona poszłam do pokoju, w którym sypiałam z ojcem, ilekroć tam nocowałam, i czytałam książkę. W pewnej chwili wszedł i rozkazał:

— Wstawaj i zabaw towarzystwo.

Zemdliło mnie. Całe mieszkanie dudniło od muzyki wylewającej się ze stereo. Wiedziałam, że wszyscy są pijani, a większość brała narkotyki, i bałam się stanąć przed nimi i tańczyć, jak oczekiwał ode mnie ojciec. Jednak wciąż miał

nade mną władzę, jak zawsze, i nie przeszło mi przez myśl, że mogłabym go nie posłuchać. Jeśli zadowolę jego przyjaciół, będzie usatysfakcjonowany, jeśli tego nie zrobię, zostanę ukarana. Odłożyłam książkę, odetchnęłam głęboko, weszłam do dużego pokoju i zaczęłam tańczyć. Później ojciec zaprowadził mnie do sypialni, kazał mi się rozebrać i położyć na łóżku. Pełna niepokoju czekałam na to, co się stanie, aż w końcu po kilku minutach otworzyły się drzwi i wszedł mężczyzna, którego nie znałam, a za nim młodsza kobieta. Żadne się do mnie nie odezwało, tylko zdjęli ubrania, położyli się w łóżku i zaczęli uprawiać seks, a ja w milczeniu tylko przelykałam łzy wstydu i upokorzenia. Później ojciec wziął mnie do swojej sypialni i zgwałcił. Obudziłam się następnego ranka, leżąc obok niego.

Od tej pory nie widywałam go często, przeważnie jedynie wtedy, gdy potrzebował informacji o matce albo postanowił mi przypomnieć, kto tu rządzi. Nawet kiedy byłam bardzo mała, często zdarzały się dni, gdy wszystko wydawało mi się tak beznadziejne i potworne, że chciałam się zabić. Ludzie, którzy mnie znali, byli przyzwyczajeni do mojego niekiedy niecodziennego zachowania, więc sądzę, że dla nich te dni nie różniły się od innych. Gdy jednak osiągnęłam wiek nastoletni, matka zrozumiała, że coś jest ze mną nie tak. Miała jednak własne problemy i chociaż rozmawiała z ojcem, a także z kimś w szkole, na temat wysłania mnie do psychiatry, nic z tego nie wyszło i ze swoimi demonami

zmagalam się sama.

W tygodniu matka pracowała, a w weekendy wychodziła, więc mogła nie zdawać sobie sprawy z tego, jak bardzo byłam nieszczęśliwa. Twierdzi, że bardzo mnie kocha, i jestem pewna, że to prawda, ale jako nastolatka byłam trudna i humorzasta, więc musiała czuć ulgę, gdy przebywałam u koleżanek, czasem przez całe tygodnie, a ona żyła po swojemu.

W wieku jedenastu lat mieszkałam u przyjaciółki Megan przez ponad sto czterdzieści dni, a przez ten czas matkę widziałam dwa razy. Uwielbiałam mieszkać z Megan w jej wygodnym domu zamiast w naszym wstrętnym mieszkaniu. Uwielbiałam leżeć w ciepłej kąpieli w ładnie urządzonej łazience, a potem iść na bosaka po grubym dywanie do pokoju, w którym zaciągałam kwieciste zasłony i odcinałam się od nocy.

Wciąż utrzymuję z Megan bliski kontakt. Mówi dziś, że byłam wtedy biedną, zagubioną duszą, i chyba rzeczywiście tak się czułam, choć nie miałam takiej świadomości. Wydawało mi się po prostu, że nie mam po co żyć. Desperacko pragnęłam być „normalna”, ale coś odróżniało mnie od dziewczynek, które znałam, coś trudnego do nazwania, do zrozumienia, co napawało mnie wstydem.

Jako nastolatka rzadko odwiedzałam ojca. A kiedy już przychodziłam, po domu zawsze kręciły się młode

dziewczyny pijące alkohol. Niektóre chodziły do mojej szkoły i były tylko dwa czy trzy lata starsze ode mnie. Ojciec, który był wówczas dobrze po czterdziestce, sypiał z jedną z nich, gdy miała piętnaście lat. Pokazywał mi album pełen zdjęć młodych dziewczyn topless, często też na ekranie leciały filmy pornograficzne.

Kiedy jego hazardowe długi zaczęły rosnać, on i Sally przenieśli się na parter domu, a wyższe piętra zostały zamienione w mieszkania, które ojciec wynajmował przyjaciołom, samotnym albo będącym w trakcie rozwodu. A ja zostałam zatrudniona — w wieku dwunastu lat — jako ich sprzątaczką. Na ten pomysł wpadł przyjaciel ojca, Angus, cinkciarz i brutalny mężczyzna, który jednak dla mnie był zawsze po prostu wujkiem Angusem i starał się dbać o mnie jak najlepiej. Po separacji z żoną zamieszkał w jednym z mieszkań ojca. Dzielił je z drugim mężczyzną, antykwariuszem, którego słabością był seks z nieletnimi chłopcami.

Angus dał mi klucze do mieszkania i kiedy nikogo nie było w domu, w weekendy i w czasie ferii przychodziłam tam sprzątać, zmywać naczynia i zmieniać pościel. Tak jak pozostałe mieszkania w domu, i to wyglądało jak chlew, ale nawet w wieku dwunastu lat miałam wrażenie, że widziałam już wszystko i nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć.

Któregoś dnia ojciec powiedział, że wydaje przyjęcie, i

zapytał, czy nie chciałabym, wraz z kilkoma koleżankami, pracować jako kelnerka. Dał nam po dwadzieścia funtów, co było dla nas dużą sumą, i kilka dni później przyjechałyśmy do jego domu i czekałyśmy na instrukcje.

Przez kilka godzin rozносиłyśmy drinki, uśmiechałyśmy się uprzejmie na niestosowne komentarze lubieżnych przyjaciół ojca i chichotałyśmy w kuchni. Później, kiedy wszyscy byli już nieźle wstawieni, ojciec stanął na środku salonu, zawołał do siebie Sally, postukał w kieliszek, żeby zwrócić uwagę wszystkich, i ogłosił ich zaręczyny.

Nic nie wiedziałam o tych planach i byłam wściekła. Czułam, że ojciec tak wszystko zaplanował, żeby wyglądało na to, że nie mam nic przeciwko jego małżeństwu z Sally. Tymczasem to nie była prawda, przede wszystkim dlatego, że wiedziałam — choć tego nie pojmowałam — jak matka będzie zdruzgotana.

Ilekróć ojciec urządzał przyjęcie, napełniał wannę lodem i trzymał w nim drogiego szampana. Kiedy wszyscy gratulowali narzeczonemu, ja i moje dwie przyjaciółki wślizgnęłyśmy się do łazienki, odkorkowałyśmy wszystkie butelki, a potem sobie poszłyśmy. Czułam, że zemściłam się na ojcu, choć nie mam pewności, czy kiedykolwiek dowiedział się, jak to się stało, bo był pijany już na początku przyjęcia.

Niedługo później on i Sally pobrali się wśród tłumu gości

w pięknym kościele z czasów wiktoriańskich. Sally miała na sobie białą suknię i powoli szła do ołtarza pod strzelistym, kamiennym sklepieniem, w asyście elegancko ubranych miejscowych dygnitarzy — z których wielu regularnie uczestniczyło w przyjęciach ojca — i ich nieświadomych niczego żon.

Moja matka nie chciała, żebym szła na ślub, ale ojciec nalegał, a ja z jakiegoś niezrozumiałego powodu przepłakałam całą ceremonię. Później wszyscy wyszli z kościoła i udali się do luksusowego hotelu, gdzie raczyli się wykwintnymi przysmakami, pili drogiego szampana i zachowywali się, jakby ślub zamożnego biznesmena, z którego nieletnią córką wielu z nich dzieliło łóżę, był okazją do serdecznych gratulacji.

Wkrótce po ślubie ojciec sprzedał dom, w którym mieszkaliśmy jako rodzina, i wyprowadził się z Sally do dużego bliźniaka na przedmieściach. Nie było powodu, dla którego miałabym go tam odwiedzać. Nigdy nie darzył mnie sentymentem, a ilekroć się z nim widywałam, tylko narzekał na matkę. Czasem nalegał na spotkanie, ale i tak było oczywiste, że nie robi tego z ojcowskiej miłości. Nigdy nie łączyła nas więź typowa dla ojca i córki, bo wszystko kręciło się wokół niego i tego, czego on chciał.

Ale raz zabrał mnie na zakupy. To było w jednym z tych okresów po rozwodzie, kiedy rodzice ze sobą rozmawiali i

jakimś cudem matce udało się go przekonać, żeby kupił mi ubranie, o którym żarliwie marzyłam, a jej nie było na nie stać. Pamiętam, jak niecierpliwie odliczałam dni do soboty, a potem biegłam za ojcem, gdy wkroczył do sklepu. Pokazałam mu ubrania, których pragnęłam, a on rzucił na nie okiem, roześmiał się i wyszedł. Byłam tak upokorzona, zawstydzona i rozczarowana, że musiałam zagryźć policzki, żeby nie wybuchnąć płaczem na środku sklepu.

Ojciec wyglądał na szalenie z siebie zadowolonego, tak jakby udał mu się świetny dowcip, a kiedy nie odpowiadałam na pytania, z irytacją oskarżył mnie o niewdzięczność, choć przecież nic mi nie kupił, więc nie mam pojęcia, za co miałabym mu być wdzięczna.

Snułam się za nim żałośnie od sklepu do sklepu, a potem spotkaliśmy jego przyjaciela Angusa, który musiał zauważyć moje rozczarowanie, bo kupił mi trzewiki i parę butów, nie zwracając uwagi na poirytowane parskanie ojca.

Jako dziecko miałam niewielki kontakt z bratem. W semestrze przebywał w szkole z internatem, a w czasie wakacji i ferii zostawał u przyjaciół albo mieszkał z ojcem. Wiedziałam, że choć matka kocha nas oboje, to jego bardziej, i była zrozpaczona, że widuje go tak rzadko. Wciąż piła w weekendy, czasem dużo, a kiedy się wstawiła, płakała i biadoliła:

— Tak ciężko pracowałam, żeby wychować ciebie i

twojego brata, a teraz moje życie to koszmar. Ojciec jest dla mnie straszny, po tym wszystkim, co dla niego zrobiłam...

Nie znosiłam tego jej użalania się nad sobą i samousprawiedliwiania. Nienawidziłam siebie i swojego życia, więc miałam bardzo niewiele współczucia dla nieszczęścia innych, szczególnie dla mojej matki. Kiedy tylko zaczynała jęczeć, przerywałam jej, mówiąc:

— Weź się w garść, na litość boską!

Patrzyła na mnie rozzalona i dopijała drinka.

A później poznała kogoś i jej życie zmieniło się niemal z dnia na dzień.

Przekroczyła już czterdziestkę, a Paul był co najmniej piętnaście lat młodszy, ale miał niezłą pracę i dobrze traktował matkę. Cieszyłam się ze względu na nią, bo wyglądało na to, że jej życie wreszcie zyskało sens. Przestała pić i była pewna siebie. Takiej nie widziałam jej nigdy wcześniej. Lubiłam Paula i widziałam zmianę, jaka dzięki niemu zaszła w zachowaniu matki, więc cieszyłam się z jego obecności prawie tak samo jak ona.

Ale pewnego dnia rano wyszedł jak zwykle do pracy i nigdy nie wrócił. Matka była załamana. Wydawało się, że ktoś zgasił światło, które rozświetlało ją od środka. W jej oczach dostrzegałam ból i nie wiedziałam, co powiedzieć, więc postąpiłam jak tchórz i milczałam. Nie wiem, dlaczego byłam zaskoczona tym, co się stało, przecież już się

nauczyłam, że wszystko kończy się źle i nawet jeśli wydaje się, że komuś na tobie zależy i cię kocha, to i tak nieprawda. O tym jednak nie byłam w stanie rozmawiać z matką.

Nie miała pojęcia, co się dzieje z Paułem, dopóki kilka lat później nie wpadła na niego w mieście. Spytała go, co się stało, co źle zrobiła, że odszedł, choć wydawało się, że wszystko było między nimi w porządku. Powiedział, że koledzy naśmiewali się z ich związku i powtarzali:

— Wyobraź sobie, jak ona będzie miała pięćdziesiąt lat, to ty będziesz miał... A jak ona będzie miała sześćdziesiąt...

Nie mógł znieść tych nieustannych drwin i w końcu uznał, że związek z matką nie może się udać. Wiedział, że złamie jej serce, że zniszczy wiarę w siebie, jaką dała jej świadomość jego miłości, i nie potrafił znaleźć słów, żeby jej o tym powiedzieć. Postanowił więc odejść bez wyjaśnień.

Nie sądzę, żeby matka kiedykolwiek doszła do siebie po tym, co zrobił jej Paul, ale chociaż miała później innych mężczyzn, nikogo nie dopuściła do siebie tak blisko jak jego.

Rozumiałam to i podzielałam jej obawę przed zaufaniem komukolwiek. W wieku dwunastu lat miałam tylko jedno szczęśliwe wspomnienie — z wakacji z dziadkami — i byłam bliska załamania. Stłumiłam już wspomnienia molestowania seksualnego przez ojca i jego kolegów, więc pozostało mi tylko nieznośne przeświadczenie, że jestem inna od wszystkich dziewczynek, jakie znam, i nie zasługuję na

miłość, choć nie rozumiałam dlaczego.

Kiedy robiłam coś dziwnego — a zdarzało się to często — ludzie mówili:

— Jesteś wariatką!

I wierzyłam, że naprawdę nią jestem. Samobójcze myśli dręczyły mnie codziennie; i pamiętam dzień, gdy miałam dwanaście lat i byłam tak zrozpaczona, że wyjrzałam przez okno mieszkania i pomyślałam, że mogłabym z tym skończyć teraz, wystarczy otworzyć okno i wyskoczyć.

Ale widocznie nie potrafiłam zrobić nawet tego.

Rozdział 10

*B*ylaam straszną nastolatką. Piłam, paliłam i odczuwałam gniew, który zdecydowanie przekraczał granice zwykłego buntu nastolatki. Tłumiłam go, w każdym razie starałam się, przez większość czasu. Światu prezentowałam oblicze obojętności i sądzę, że większość ludzi myślała, że jestem dziwna i buntownicza, może dlatego stałam się tak łatwym celem dla szkolnych prześladowców. Kiedy ataki się zaczęły, wpadłam w błędne koło: im bardziej mnie gnębiono, tym większą wściekłość odczuwałam, a im bardziej byłam wściekła, tym dziwniej się zachowywałam, więc napaści się nasilały...

Raz kilka dziewczyn cisnęło mną o mur. Byłam drobna i chuda jak na swój wiek, więc podniosły mnie i po prostu rzuciły. Wyszłam z tego posiniaczona i poraniona, ale nic poza tym się nie stało, w każdym razie fizycznie. Innym razem dzieciaki wepchnęły mi głowę do toalety i kilka razy spuściły wodę, aż myślałam, że się uduszę. Kiedy indziej dziewczyny mnie przytrzymały i obcięły mi włosy po jednej

stronie głowy. Musiałam wtedy ostrzyć się na krótko, a kiedy ojciec to zobaczył, wpadł w furję. Zawsze, odkąd byłam małą, żądał, bym zapuszczała włosy. Ja też nienawidziłam tej krótkiej fryzury, bo poza tym, że chuda, byłam też płaska jak deska jeszcze długo po tym, jak inne dziewczyny zaczęły się rozwijać, więc wyglądałam jak chłopiec. Z krótkimi włosami byłam jeszcze brzydsza niż wcześniej.

Zrozumiałe, że nienawidziłam szkoły. Codziennie rano wlokłam się noga za nogą i modliłam, żeby stało się coś — cokolwiek — co nie pozwoli mi dotrzeć do bram szkoły, a z każdym krokiem moje przerażenie rosło i mdliło mnie ze strachu. Zaczęłam do tego stopnia bać się poranków, że w końcu w ogóle przestałam chodzić do szkoły. Przez sześć miesięcy codziennie wstawałam, ubierałam się w szkolny mundurek, jadłam śniadanie i wychodziłam z domu o stałej porze, ale szłam na basen, gdzie siedziałam przez kilka godzin i patrzyłam, jak ludzie pływają.

Moja matka niczego nie podejrzewała, więc była w totalnym szoku, kiedy pewnego dnia skontaktowały się z nią władze i oznajmiły, że jej córka nie pojawia się w szkole od tygodni. Sądzę, że właśnie wówczas moja wściekłość i dziwne zachowanie zdążyły ją już wyczerpać, zresztą nigdy nie była mistrzynią radzenia sobie w kryzysowych sytuacjach, więc zadzwoniła do ojca i powiedziała, że ona już ze mną nie daje rady.

Wtedy ojciec wreszcie zgodził się sięgnąć do kieszeni i coś dla mnie zrobić. Zaczęłam chodzić do prywatnej szkoły dla dziewcząt. Nie zdałam egzaminu wstępnego, sądzę więc, że musiał pociągnąć za jakieś sznurki i wyświadczyć komuś kilka przysług, żeby w ogóle mnie tam przyjęli. To zresztą nie rozwiązało wszystkich problemów, bo w poprzedniej szkole opuściłam tak dużo lekcji, że przesunięto mnie do klasy niżej. Stało się jasne, że muszę dużo nadrobić, więc kiedy inne dziewczynki chodziły na WF, ja miałam dodatkową matematykę i — o ironio, biorąc pod uwagę bajki, których uczył mnie ojciec — korepetycje z francuskiego.

Dla mnie wszystko to było stratą czasu i w ogóle się nie przejmowałam. Dziś widzę, że moja pasywność była objawem depresji, ale wówczas przyjmowałam punkt widzenia większości nauczycieli: jestem leniwa, a być może i głupia.

Kolejny aspekt, który nie poprawiał mojej sytuacji w szkole, to fakt, że ojciec nigdy nie płacił czesnego w terminie, jeśli w ogóle płacił. Zawsze zalegał z opłatą za semestr czy dwa i koniec końców pieniądze wpłacali rodzice matki, żeby mnie z tej szkoły nie wyrzuciono. Wówczas chyba nawet nie podziękowałam im za pomoc, ale myślę, że zdawałam sobie sprawę, że jeśli dyrekcja każe mi odejść, znajdę się w fatalnym położeniu.

Niestety to, że ojciec płacił moje czesne — przynajmniej w założeniu — oznaczało, że zaczął się bardziej interesować

moimi postępami w nauce. Któregoś dnia, po zapoznaniu się z moimi ocenami na koniec semestru, wezwał mnie do swojego domu. Nie wiem, dlaczego akurat tym razem się wściekł, bo wszystkie moje świadectwa były tak samo złe.

Moja przyjaciółka Megan poszła ze mną, żeby wesprzeć mnie moralnie i dlatego, że miałam nadzieję, iż ojciec przy kimś obcym nie wpadnie w szal, ale kiedy tylko weszliśmy do domu, zaczął się wydierać i mnie wyklinać:

— Płacę, żeby zapewnić ci godziwe wykształcenie — wrzeszczał bez cienia wstydu czy świadomości absurdu tego, co mówi — a ty przepieprzasz czas swój i wszystkich innych! Może jesteś zwyczajnie głupia! Zawsze podejrzewałem, że tak! — Nakręcał się coraz bardziej i miałam problem z udawaniem, że nic mnie to nie obchodzi i że się go nie boję. — Prawda jest taka, że jesteś leniwą szmatą! — krzyknął i uderzył mnie w ramię zaciśniętą pięścią, tak że zatoczyłam się na stół kuchenny. — Jazda! Wynoś się z mojego domu!

Megan była przerażona. Pisnęła cicho i czmychnęła ku drzwiom wyjściowym, szybko zerknęła przez ramię i zbiegła po kamiennych schodkach na chodnik. Przechodziłam przez próg, kiedy ojciec niespodziewanie złapał mnie obiema rękami i zepchnął ze schodków, tak że poleciałam twarzą na ziemię.

Megan krzyknęła przerażająco, kiedy uderzyłam twarzą o chodnik, a gdy wstałam, patrzyła na mnie wstrząśnięta, z

szeroko otwartymi oczami, i zasłaniała dłonią usta. Miałam startą skórę na twarzy, krwawiłam, w ustach czułam metaliczny smak, ale byłam zdeterminowana, żeby nie dać ojcu satysfakcji patrzenia na mój ból. Odwróciłam się od niego i ruszyłam obok Megan, utykając lekko, ale z wyprostowanymi plecami i wysoko uniesioną głową.

Pod wieloma względami nienawidziłam nowej szkoły jeszcze bardziej niż poprzedniej. Przyzwyczaiałam się do makijażu i noszenia spódniczek mini i nie znosiłam koszmarnego, brzydkiego mundurka. Jedno było w tej szkole lepsze: nikt mnie nie prześladował. Co więcej, ja stałam się prześladowcą. Nie robiłam nic strasznego, nie rzucałam nikim po ścianach ani nie moczyłam głów w toalecie, ale inne dziewczyny były dobrze wychowane, spokojne i posłuszne, w każdym razie w obecności nauczycieli, natomiast mój bunt i wściekłość zdawały się je przerażać, a ja korzystałam z ich strachu.

Rozkręcałam w szkolnych toaletach biznes przekłuwania uszu. Za każdą dziurkę brałam funta i miałam mnóstwo klientek. Paliłam, kradłam w miejscowym sklepie i zdałam sobie sprawę, że nie poznaję sama siebie. Robiłam rzeczy, które nie były w moim stylu. Nie wiedziałam, dlaczego je robię, i nie wiedziałam, jak przestać. Czułam się tak, jakby nigdy nie wolno mi było stracić czujności, bo wiecznie walczyłam z niewidzialnym wrogiem.

Wciąż myślałam, że wszelkie zło, jakie na mnie spada, jest moją winą. Mówi się, że dobre rzeczy spotykają dobrych ludzi, więc wydawało się oczywiste, że zło przydarza się złym. Dziś wiem, że to nieprawda, każdemu przytrafiają się dobre i złe rzeczy, ale wówczas, ilekroć spotykało mnie coś nieprzyjemnego, traktowałam to jako karę i uważałam, że zasługuję na smutek i przygnębienie.

Marzyłam o istnieniu kogoś, kto mógłby mi pomóc. Myślę, że gdyby w tamtym czasie działała jakaś pomocowa infolinia dla dzieci, na pewno bym zadzwoniła, choćby po to, żeby zapytać, czy rzeczywiście oszalałam, bo tak podejrzewałam. Nie miałam jednak z kim porozmawiać ani kogo poprosić o radę, więc piłam, paliłam i wmawiałam sobie, że mam wszystko gdzieś.

Po raz pierwszy upiłam się wieku trzynastu lat. Byłam na imprezie u przyjaciółki i zrobiliśmy skok na barek jej rodziców. Wypiłam całą butelkę pernoda i kilkoro znajomych musiało mnie potem na wpół zanieść, na wpół zaciągnąć do domu, gdzie porzucili mnie przed drzwiami wejściowymi, nacisnęli dzwonek i uciekli. Poważnie to odchorowałam. Matka wezwała lekarza, który stwierdził zatrucie alkoholem. Spędziłam w łóżku trzy dni.

Można by pomyśleć, że po takim przeżyciu złożę przysięgę, że już nigdy nie tknę alkoholu, ale tak się nie stało. Zaczęłam zaglądać do pubów. Nie mam pojęcia, jakim

cudem mnie obsługiwano, bo wyglądałam jak mały chłopiec. Zwykle chodziłam z Jenny, która była ładna i sprawiała wrażenie starszej, więc to ona zamawiała drinki w barze. Przed ukończeniem czternastego roku życia wpadałyśmy do klubów i pubów w każdy piątek i sobotę wieczorem, piłyśmy ogromne ilości cydru i babychama i zalewałyśmy się w sztok.

Matka wiedziała, że piję i palę, ale nie zrobiła nic, żeby mnie powstrzymać. Myślę, że była wdzięczna, że przynajmniej wracam do domu na noc zamiast szlajać się po ulicach. Wiedziała też, że bez względu na to, co powie, i tak zrobię swoje. Możliwe, że cieszyła się, że po raz pierwszy korzystam z życia.

Zgromadziłam wokół siebie grono przyjaciół, głównie dziewczyn z innych szkół, a z jedną z nich nawet zamieszkałam na dłużej. Miała na imię Julia. Dzieliliśmy pokój w mieszkaniu, które zajmowała z matką, często pracującą poza miastem. Zostawiała nam mieszkanie, ale nawet kiedy była na miejscu, pozwalała w zasadzie na wszystko. Podczas jej nieobecności urządzałyśmy imprezy, na śniadanie smażyłyśmy jajka z bekonem i udawałyśmy, że jesteśmy dorosłe i wiemy emocjonujące, niezależne życie.

Wciąż byłam zbuntowana i wyglądałam dziwacznie. Jak wiele młodych osób, czułam się nieatrakcyjna, więc udawałam, że to świadoma decyzja i podkreślałam ją

niekonwencjonalnymi ubraniami i nietypowym makijażem. Mimo to pod agresywną maską musiała być widoczna dziecinna niewinność, bo matka Julii i mamy innych moich przyjaciółek współczuły mi i traktowały jak przybraną córkę.

Było nas ze czterdzieści dziewcząt z różnych szkół. Spotykałyśmy się w każdy weekend, piłyśmy i gadałyśmy o chłopakach, w których szaleńczo kochałyśmy się w danym tygodniu. Nigdy nie byłam popularna, ten zaszczyt należał do dwóch wysokich, szczupłych i zachwycająco pięknych dziewczyn, do których wzdychali wszyscy chłopcy. Przynajmniej przebywałam w ich kręgu, choć nigdy nie mogłam do końca uwierzyć w swoje szczęście. Czułam, że wreszcie należę do jakiejś społeczności i czasem nawet wydawało mi się, że jestem prawie szczęśliwa, w każdym razie w weekendy.

W tygodniu to była zupełnie inna historia i cały czas robiłam głupstwa, przez które wpadałam w tarapaty i które testowały granice cierpliwości szkoły i mojej matki.

Czasem po lekcjach szłam z przyjaciółką Lucindą do miejscowego sklepu muzycznego, w którym kradłyśmy małe metalowe przypinki, wówczas bardzo popularne, które wszyscy nosili przy szkolnych torbach. W końcu nazbierałyśmy ich tyle, że musiałyśmy je schować, więc włożyłyśmy je do ławki szkolnej Lucindy. Pewnego dnia Lucinda bezmyślnie otworzyła blat akurat wówczas, gdy

obok niej stanęła nauczycielka.

— Proszę, proszę, a co my tu mamy? — spytała, wzięła garść przypinek i przesyłała między palcami. — Skąd się wzięły?

— Ze sklepu, proszę pani. — Lucinda nie podniosła wzroku w białego w ławkę.

— Domyśliłam się tego, Lucindo — odparła nauczycielka sarkastycznie. — Nie podejrzewałam ani przez chwilę, że mogłybyście same je wykonać albo znaleźć na drzewie. Do kogo należą?

Lucinda zerknęła na mnie przepaszająco i dopiero później odpowiedziała:

— Do mnie, proszę pani. I do Katie.

— Rozumiem. — To była jedna z nauczycielek, które mnie nie lubiły, więc uśmiechnęła się z satysfakcją. — Powtórzę więc moje pierwsze pytanie: skąd one się wzięły? Czy ty i Katie kupiłyście je za swoje ciężko zarobione pieniądze?

— Nie, proszę pani. Myśmy... — Lucinda spłoszyła ze wstydu. — Myśmy je ukradły.

Przez klasę przetoczył się krótki wybuch śmiechu, a kilka dziewcząt, tych bardziej zszokowanych, głośno westchnęło. Wątpię jednak, czy ktokolwiek był szczerze zaskoczony odkryciem, że jestem sklepową złodziejką. Podejrzewam, że wszyscy mnie o to podejrzewali.

— Cisza! — ryknęła nauczycielka i z furią rozejrzała się po

klasie. — To nie jest śmieszne! Kradzież to poważne kryminalne wykroczenie. — Podkreślając to słowo, patrzyła na mnie, a potem dodała: — Zostaniecie po lekcjach. Obydwie.

Po szkole Lucinda i ja poszłyśmy z nauczycielką do sklepu muzycznego, żeby zwrócić kradzione przypinki i przeprosić. Na szczęście właściciel nie zamierzał nas skarżyć, ale dożywotnio zabronił nam wstępu do sklepu, a ja zostałam wyrzucona ze szkoły.

Nie był to zresztą pierwszy raz, ani nawet ostatni, ale tak jak przy wcześniejszych aferach zostałam przyjęta z powrotem po tym, jak ojciec przysłał szkole czek opiewający na pokaźną kwotę. Sądzę, że w szkole było kilka nauczycielek, które marzyły, żeby ojciec nie był tak bogaty, bo większość z nich mnie nienawidziła, zresztą prawdopodobnie nie bez powodu. To była szkoła z tradycjami i zasadami, a ja mało, że nie oszałamiałam osiągnięciami naukowymi, to na dodatek rano pojawiałam się w pełnym makijażu, z włosami ufarbowanymi na dziwaczny kolor i spódniczką zrolowaną w talii tak, że nie przypominała już nobliwego mundurka sięgającego kolan, tylko pasek materiału ledwie zasłaniający tyłek. Moje zachowanie miało podkreślać podszytą bólem indywidualność i odmowę ślepego poddania się presji otoczenia. Ale wiem, że dla większości nauczycieli byłam po prostu utrapieniem.

Myślę jednak, że mimo wszystko lubiła mnie dyrektorka. Ilekroć widziała mnie na ulicy w makijażu zbyt ostentacyjnym, żeby go zignorować, albo w nieprzepisowym szaliku czy marynarce, wzdychała i mówiła: — Katie, u mnie w gabinecie. Jutro. Potem czekała cierpliwie, aż zdejmę z siebie nieregulaminową rzecz i położę na jej wyciągniętej ręce. Kąciki jej ust zawsze drżały, jakby tłumiała uśmiech, a oczy miała rozbawione i życzliwe, a nie wściekłe i zniecierpliwione jak większość nauczycielek. Podejrzewam, że nawet kiedy ojciec spóźniał się z opłatą chesnego, ona zawsze stawała po mojej stronie.

Najbardziej ze wszystkich nauczycielek nie znosiłam pani od geografii, przede wszystkim dlatego, że ona na wszelkie możliwe sposoby demonstrowała swoją nienawiść do mnie. Bez końca powtarzała, że do niczego w życiu nie dojdę, i bez względu na to, jak bardzo starałam się jej udowodnić, że nie jestem leniwa i bezwartościowa, ignorowała moje wysiłki.

Punkt krytyczny nastąpił pewnego dnia podczas klasówki. Uczyłam się do niej tak pilnie, że na pytania byłam w stanie odpowiedzieć przez sen, a kilka dni później, kiedy pani oddawała ocenione prace, moja klasówka leżała na wierzchu stosiku.

Nie mogłam uwierzyć, że dostałam najlepszą ocenę! Wpatrywałam się w liczbę wypisaną czerwonym atramentem na górze strony: 94%! Czułam, jak policzki czerwienieją mi z

dumy i przepelnia mnie poczucie satysfakcji, że mój wysiłek nie poszedł na marne. Może jednak nie byłam głupia, może gdybym się przyłożyła, mogłabym być tak dobra, jak inne dziewczyny, a nawet lepsza!

Nauczycielka geografii zawsze dawała małe prezenciki dziewczętom, które dostawały dobre oceny z klasówek. Tego dnia jednak podała mi pracę bez słowa, ale za to pochwaliła uczennicę, która była tuż za mną. Szybko spojrzałam na blat ławki, żeby ukryć łzy rozczarowania i wstydu, które cisnęły mi się do oczu. Kiedy znów podniosłam wzrok, jedna z moich przyjaciółek trzymała rękę w górze.

Nauczycielka spojrzała w jej stronę i pytająco uniosła brwi.

— Czy Katie Matthews nie dostała najlepszej oceny, proszę pani?

— Owszem, dostała. — Geografka niemal warknęła w odpowiedzi, a potem odwróciła się, żeby podać pracę następnej dziewczynce, a przez ramię rzuciła do mojej przyjaciółki: — Szkoda, że tobie nie poszło tak dobrze.

— Ale skoro Katie dostała najlepszą ocenę, czemu nie powiedziała jej pani nic miłego? — dociekała dziewczyna. — Zawsze chwali pani najlepszą uczennicę, czemu więc nie...

Nauczycielka przerwała wywód przyjaciółki, a twarz pałała jej z wściekłości.

— Dość tego, dziękuję. Nie trzeba mi...

Teraz moja kolej na wystąpienie. Z hukiem odsunęłam krzesło, wstałam i wrzasnęłam:

— Mam tego dość. Może się pani ode mnie odpieprzyć?!

Przez ułamek sekundy nauczycielka była zbyt zszokowana, żeby odpowiedzieć. Potem rzuciła plik pozostałych klasówek na biurko przed sobą, podniosła rękę, wyciągnęła palec wskazujący w kierunku drzwi i wrzasnęła:

— Wynocha! Proszę opuścić moją klasę, Katherine Matthews!

— Spokojnie, już wychodzę! — odkrzyknęłam, złapałam torbę, która zwisała z oparcia krzesła, i gniewnym ruchem ramienia zgarnęłam do niej wszystko, co leżało na ławce. — Idę do dyrektorki i doniosę na panią! I nie wrócę już na te głupie lekcje, może je pani sobie wsadzić!

Wypadłam z klasy i ruszyłam korytarzem do gabinetu dyrektorki. Zapukałam do drzwi.

Dyrektorka patrzyła na mnie bez mrugnięcia, kiedy mówiłam, co się stało. Potem pokręciła głową i z westchnieniem spytała:

— Co ja mam z tobą zrobić, Katie? Chyba wiesz, co to oznacza, prawda?

— Będzie mnie pani musiała znów wyrzucić. — Westchnęłam głęboko na myśl o wrzaskach i kłótniach, które mnie czekają, kiedy ojciec i matka dowiedzą się, co się stało.

Ku mojemu zaskoczeniu dyrektorka niemal się

uśmiechnęła i powiedziała:

— Nie, nie wyrzucę cię. Znów. Chociaż wiem, że tego byś chciała. Ale oczywiście nie możesz wrócić na lekcje geografii. Zamiast tego zapewnię ci dodatkową matematykę i francuski.

Kiedy byłam bardzo małym dzieckiem, wszyscy, począwszy od mojego ojca, zawsze mi mówili, że do niczego w życiu nie dojdę. Dyrektorka zdawała się nie podzielać tego zdania, ale wielu nauczycieli uważało, że nie ma sensu, żebym w ogóle przystępowała do egzaminów końcowych. Pewnego dnia przelało mi się, miałam dość traktowania mnie w ten sposób. Pomyślałam: „Jeszcze zobaczymy!”, i postanowiłam nadrobić zaległy materiał. W rezultacie podeszłam do egzaminów z pięciu przedmiotów i zdałam wszystkie, w tym cztery na najwyższą ocenę.

Mimo niespodziewanego sukcesu w nauce wciąż nienawidziłam szkoły. Nie znosiłam zasad, które wydawały mi się bezsensowne i służyły tylko temu, by pokazać nam, kto tu rządzi. Przez całe życie robiłam, co mi kazano, ale teraz coś się we mnie zbuntowało, kwestionowałam wszystko, nie potrafiłam odpuścić i płynąć z nurtem. To było jakieś napięcie, rodzaj uspionej agresji, która sprawiała, że nie byłam w stanie odczuć satysfakcji, choć nie rozumiałam dlaczego. Wiedziałam natomiast, że po zdaniu egzaminów nie wytrzymam w szkole ani chwili dłużej, więc tuż przed

szesnastymi urodzinami przekonałam matkę, żeby odpuściła szkołę i dała mi spokój, i zatrudniłam się na pełny etat w sklepie, w którym od kilku lat pracowałam w soboty.

W następnym roku, kiedy miałam siedemnaście lat, na jakiś czas zamieszkał ze mną i z matką mój brat. Przez ostatnie lata przebywaliśmy razem tak niewiele czasu, że prawie w ogóle go nie znałam, i było oczywiste, że on czuje to samo. Kłóciliśmy się niemal bez przerwy i w końcu któregoś dnia matka powiedziała:

— Mam dość twojego zachowania. Chcę, żebyś wyprowadziła się i zamieszkała z ojcem.

Chociaż przestał mnie molestować seksualnie pięć lat wcześniej, wciąż się go bałam, ale w tym momencie było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie i gdzie zamieszkam, więc przeniosłam się do jego domu i zostałam tam kilka miesięcy.

Sally właśnie go zostawiła. Oprócz tego, że nie uznawała kompromisów, była też realistką. Ja udawałam twardzielkę, a ona naprawdę była twarda jak stal. Ta kobieta nigdy nie pozwoliłaby na molestowanie czy zmuszanie do czegoś przez kogokolwiek i wbrew sobie zawsze ją lubiłam, szczególnie kiedy odkryłam, że odchodząc od ojca, zabrała ze sobą wszystko, łącznie z żarówkami.

W przeciwieństwie do mojej matki, która spuszczała głowę i zawodziła, gdy ojciec ją atakował, Sally odpowiadała

ciosem i oddawała mu w głowę patelnią czy co tam miała pod ręką. Podziwiłam ją za to i często zastanawiałam się, dlaczego ojciec, który dosłownie w ciągu sekundy wpadał w szal, gdy tylko któraś z nas mu się sprzeciwiła, to znosił. Podejrzewam, że przyczyna leżała w jego agresji: jak każdy agresor potrzebował kogoś, kto mu się przeciwstawi.

Sally i ojciec wywodzili się z podobnego środowiska i nieźle się rozumieli. Kiedy ożenił się z matką, miał plan: chciał odnieść sukces i zarobić pieniądze, awansować do lepszego świata. Myślę, że nie mógł znieść, że matka urodziła się w świecie, do którego on dopiero aspirował, żeby więc wyrównać tę różnicę, poniżał ją i dręczył. A ona nie oddawała, bo już kiedy się poznali, była wycofana i niepewna siebie, a poza tym z jakiegoś powodu go kochała.

Ojciec mnie kontrolował i robił mi pranie mózgu, żeby całkowicie nade mną zapanować już w bardzo młodym wieku, a ja tak jak matka przyjmowałam, że jestem taka, jaką widziałam się w jego oczach. Nie znałam innego obrazu siebie. Ale Sally miała własne zdanie i potrafiła być równie bezduszna i zdeterminowana, jak ojciec, a on wiedział, że jeśli przesadzi, ona nie zawaha się użyć przeciwko niemu — ani przeciwko jego przyjaciołom — informacji, jakie posiadała. Po rozwodzie, zamiast zmusić ją do płacenia czynszu za mieszkanie wynajmowane w najgorszej części miasta, jak moją matkę, kupił Sally dom, założył jej niewielki

biznes i pozostali przyjaciółmi.

Ojciec nie był jednak mężczyzną, który mógł długo wytrzymać bez kobiety, i wkrótce po rozstaniu z Sally przeniósł uwagę na Gillian. Była niewiele starsza niż ja. Przez dłuższy czas udawał zresztą, że „ona tylko pomaga mu w pracy”, ale było to kłamstwo tyleż żenujące, ile całkiem niepotrzebne, bo prawdziwa natura ich związku była oczywista dla wszystkich.

Któregoś wieczoru ojciec zabrał Gillian i mnie na kolację, a kiedy później piliśmy drinka w pubie, podszedł do nas jakiś mężczyzna i wylewnie przywitał się z ojcem. Ojciec przedstawił go jako Bradleya, przyjaciela, który kierował popularnym nocnym klubem. Słyszałam wcześniej, jak ojciec o nim mówił, i wiedziałam, że był za coś aresztowany, nie pamiętam jednak za co, ale jego wpływowi przyjaciele załatwili wszystko tak, że po rozprawie nie poszedł do więzienia.

— A to kto? — spytał mężczyzna, siadając obok mnie i nachylając się stanowczo za blisko.

— To moja córka... Katie — powiedział ojciec, udając, a może nie? — że musiał się zastanowić, zanim przypomniał sobie, jak mam na imię.

— Ładniutka. — Bradley uśmiechnął się lubieżnie i odsłonił dwa rzędy nierównych żółtych zębów. Wyglądał jak aktor z niskobudżetowego pornosu: gruby i brzydki, z

długimi kręconymi włosami w odcieniu brudnego blond i bardzo nieatrakcyjnym wąsem.

— Możesz ją mieć za dychę — oznajmił ojciec, wychylił się, żeby pociągnąć whisky ze szklanki i zaśmiał się do mnie.

— Słucham? — spytałam.

Czułam, że policzki mi płoną, tak byłam upokorzona. Zignorował mnie i ponownie zwrócił się do przyjaciela:

— Powiedziałem, że możesz ją mieć za dychę, Bradley. Jak chcesz, to weź ją sobie.

Najpierw pomyślałam, że może to tylko niesmaczny żart, ale w jego głosie nie było śladu rozbawienia, i z nagłym uczuciem mdłości zdałam sobie sprawę, że on mówi całkiem poważnie. Naprawdę oferował swoją siedemnastoletnią córkę obleśnemu właścicielowi nocnego klubu z kryminalną przeszłością.

Wściekłam się. Kiedy byłam mała, ojciec mówił mi, że jedyne, do czego nadaje się kobieta, to rozkładanie nóg, i najwyraźniej nie zmienił zdania.

— Jesteś niewiarygodny — powiedziałam do niego, odsunęłam krzesło od stolika i wstałam.

Przez chwilę patrzyłam na niego lodowato, a potem ruszyłam do drzwi. Gillian wyszła za mną, a kilka sekund później dołączył do nas ojciec, śmiejąc się i żartując z kimś, kto otwierał przed nim drzwi.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy, Gillian

zwróciła się do ojca:

— Jak mogłeś to zrobić? To było straszne! Tak upokarzające dla Katie! — A potem wybuchła płaczem.

Ojciec nie odpowiedział, ale do domu wracaliśmy w milczeniu i wyczuwałam jego wściekłość.

Nie zamierzałam dać mu satysfakcji i pokazać, jak bardzo byłam zraniona, więc poszłam prosto do łazienki, ale kiedy wyszłam, słyszałam, jak krzyczy na Gillian:

— Nigdy więcej nie podważaj niczego, co robię! I nie płacz na oczach mojej córki!

Było mi jej żal. To, co ojciec powiedział w pubie, rozwścieczyło mnie i dotknęło, ale nie zdziwiło. Taki po prostu był i nikt na świecie nie mógł tego zmienić. A jednak dla Gillian to był szok i wiedziałam, że dostała pierwszą lekcję na temat konsekwencji sprzeciwiania się mojemu ojcu.

Wiedziałam, że nie mogę dłużej u niego mieszkać. Po kilku dniach wyprowadziłam się do obcych ludzi, u których wynajmowałam kolejne mieszkania przez następne miesiące.

Rozdział 11

*K*ilka miesięcy później, gdy miałam już osiemnaście lat, spędziłyśmy z moją przyjaciółką Jenny lato nad morzem, pracując. Wynajęłyśmy dwa pokoje w domu, w którym mieszkał ojciec z synem, ale rzadko tam bywali i miałyśmy dom tylko dla siebie przez wiele dni z rzędu. Zaczęłyśmy naszą przygodę. Miasto było popularne wśród urlopowiczów, więc pracy w lecie nie brakowało i obydwie zaczęłyśmy pracować niemal zaraz po przyjeździe: Jenny w kawiarnio-restauracji, a ja w pubie. Przyjechałyśmy tam, żeby trochę zarobić i nacieszyć się słońcem, morzem i poczuciem wolności, które dawały nam beztroska, brak zobowiązań i bycie z dala od domu.

Latem przebywała tam masa młodych ludzi i wkrótce miałyśmy wielu nowych znajomych. Ponieważ nikt mnie nie znał, z wyjątkiem Jenny, ale na jej dyskrecję mogłam liczyć, po raz pierwszy w życiu czułam się tak, jakbym mogła zdecydować, kim jestem i co chcę powiedzieć o sobie. Chociaż nie byłam w stanie pozbyć się podskórnego poczucia

winy i niepokoju, dobrze mi zrobiło oderwanie się na jakiś czas od codzienności i wszelkich obciążeń i komplikacji, jakie się z nią wiązały.

Zaprzyjaźniłam się między innymi z Issie. Kiedy się poznałyśmy, była w siódmym miesiącu ciąży, a jej chłopak, Dan, pracował jako menedżer pubu, w którym się zatrudniłam. Issie była uroczą dziewczyną, przemiłą, ładną i do szaleństwa zakochaną w Danie, który zdawał się odwzajemniać jej uczucia. Kilka razy próbował mnie pocałować, ale odpychałam go, mówiłam, żeby się nie wygłupiał, i traktowałam to jak żart.

Którejś nocy późno skończyliśmy pracę, wszyscy poza nami już wyszli z pubu i Dan zaproponował, że mnie odprowadzi. Zamykał, kiedy wychodziłam, więc poszliśmy razem, minęliśmy kilka pijanych osób, które wciąż spacerowały, a potem ruszyliśmy drogą prowadzącą do mojego domu. Gadaliśmy o ludziach, którzy byli tego wieczoru w pubie i o tym, jak razem z Issie przygotowują się do narodzin dziecka. Gdy dotarliśmy do celu, Dan zapytał, czy może wejść i zadzwonić po taksówkę.

Otworzyłam drzwi wejściowe. W domu było ciemno. Właściciel domu i jego syn wyjechali, więc wyglądało na to, że Jenny też jeszcze nie wróciła. Zapaliłam światło w korytarzu, pokazałam Danowi, gdzie jest telefon, a sama poszłam na górę do łazienki.

Kiedy z niej wyszłam, Dan stał pod drzwiami, a ja nieomal wyskoczyłam ze skóry ze strachu.

— Jezu, ale mnie wystraszyłeś! Czemu się czaisz w ciemności? — zawołałam. — Wezwałeś taksówkę? Chodź, tymczasem zaparzę kawę.

Zaczekałam, aż się odwróci i pójdzie przede mną po schodach, ale wciąż stał. Wreszcie spytał:

— Gdzie jest twój pokój?

— Tam. — Wskazałam w kierunku podestu. — Ładny dom, prawda? Miałyśmy szczęście, że na niego trafiłyśmy. No chodź, wstawię wodę.

Nagle Dan rzucił się w moim kierunku, złapał mnie za ramiona i chciał pocałować.

— Chryste, Dan! — warknęłam i zaczęłam kręcić głową, żeby się go pozbyć. — Przestań! Co ty, do cholery, robisz?

— No dalej, Katie, wiesz, że tego chcesz. — Miał w głosie wstrętą nutę, której nie słyszałam nigdy wcześniej.

— Oczywiście, że tego nie chcę! — Zaczęło mnie mdlić. — Issie jest moją przyjaciółką i twoją dziewczyną, matką twojego dziecka! Zapomnij o tym, Dan. Puść mnie, a ja zrobię kawę.

Chciałam go odepchnąć, ale złapał mnie za ramiona, boleśnie wbił mi palce w skórę i na wpół zaciągnął, na wpół zaniósł mnie do drzwi po drugiej stronie podestu i otworzył je kopniakiem. Szarpałam się dziko, chciałam walnąć go

łokciem w żołądek, ale zdawał się w ogóle tego nie czuć.

— Na litość boską! — krzyknęłam.

Rzucił mnie na łóżko, a kiedy zobaczyłam jego okrutną, szyderczą twarz i całkowitą pustkę w oczach, zaczęłam się naprawdę bać.

Kiedy położył się na mnie, starałam się tak przekręcić, żeby wyswobodzić kolano i kopnąć go, ale nie mogłam się ruszyć.

— Przestań, proszę. Nie chcę tego. — Przez chwilę słyszałam głos matki, gdy błagała ojca. Gdzieś z głębi mnie wyrwał się pojedynczy szloch i doznałam takiej samej beznadziei i upokorzenia, jakie ona musiała odczuwać tyle razy podczas trwania ich małżeństwa.

Dan przygwoździł mnie do materaca kolanami, podciągnął mi spódniczkę i zdarł ze mnie majtki. Potem mnie zgwałcił, a ja leżałam pod nim, płacząc jak dziecko. Przez ułamek sekundy widziałam twarz ojca i usłyszałam głos:

— To twoja wina, złe rzeczy przytrafiają się tylko złym ludziom.

Kiedy Dan skończył, wstał, wciągnął majtki i dżinsy, i bez słowa wyszedł z pokoju. Odwróciłam się do ściany i okryłam prześcieradłem. Wcisnęłam twarz w poduszkę, bo byłam zbyt otepiała i wykończona, żeby dalej płakać.

Nie słyszałam, co prawda, żeby drzwi wejściowe się zatrzasnęły, ale założyłam, że Dan wyszedł. Dopiero kilka

sekund później usłyszałam jakiś dźwięk. Gdy odwróciłam głowę, zobaczyłam, że stoi w drzwiach mojego pokoju. W ręce trzymał szczotkę do podłogi na drewnianym kij, a kiedy ściągał ze mnie prześcieradło i rzucał je na podłogę, uśmiechał się zimno i z pogardą. Później przytrzymał mnie i wsadził we mnie kij od szczotki. Poczułam, jak moje ciało zapłonęło od środka żywym ogniem. Krzyczałam i usiłowałam się wyrwać.

Musiałam stracić przytomność, bo następne, co pamiętam, to huk zamykanych drzwi wejściowych. Otworzyłam oczy. Byłam sama w pokoju. Opuściłam jedną rękę na podłogę, chwyciłam prześcieradło, nakryłam drżące ciało i zaczęłam łkać.

Nie wiem, jak długo tak leżałam, pozbawiona świadomości czegokolwiek poza intensywnym bólem, który mnie trawił od środka, gdy usłyszałam hałas na dole. Wstrzymałam oddech i nasłuchiwałam. Ktoś był w domu. Czyli Dan jednak nie wyszedł. Zaczęłam skomleć jak przerażony, zbity pies i musiałam zagryźć wargi, żeby powstrzymać wycie, gdy panika przeszywała mi ciało. Naciągnęłam prześcieradło na głowę, jak to robiłam, gdy byłam mała, i zaczęłam się modlić: „Boże, błagam, spraw, żeby mnie nie zauważył”.

Ale to nie był Dan. Drzwi do mojego pokoju się otworzyły i Jenny szepnęła:

— Katie, śpisz?

Odrzuciłam prześcieradło i powoli odwróciłam głowę, żeby na nią spojrzeć, a ona aż głośno westchnęła.

— Boże, Katie, co się dzieje? — spytała, siadając na krawędzi łóżka i delikatnie dotykając mojej zalanej łzami twarzy. — Źle się czujesz?

— Boli mnie... Strasznie mnie boli — powiedziałam. — Brzuch.

— Wyglądasz okropnie — odparła. — Od jak dawna tu leżysz? Idę zadzwonić po karetkę.

— Nie! — Chciałam usiąść, ale czułam się, jakby ktoś usunął mi z ciała wszystkie kości, i bezwładnie opadłam na poduszkę. — Nie, nie potrzebuję karetki. Chcę tylko... — Gwałtownie wciągnęłam powietrze, gdy zalała mnie fala bólu.

— Przykro mi. — Jenny wstała. — Naprawdę myślę, że powinnaś pojechać do szpitala. To może być wyrostek.

Zanim zdołałam ponownie zaprotestować, wyszła z pokoju i słyszałam, jak rozmawia przez telefon stojący na dole w korytarzu.

Z pomocą Jenny zdołałam dojść do łazienki i zmyłam krew spomiędzy nóg. Potem usiadłyśmy razem w salonie i czekałyśmy na karetkę.

Nikomui nie powiedziałam, co się stało, i przez następnych kilka dni w szpitalu, kiedy przechodziłam badania, lekarze

rozkładali bezradnie ręce, nie wiedząc, co mogło być przyczyną tak ostrego i silnego bólu. Wykluczyli zapalenie wyrostka, stwierdzili więc, że to musi być jakaś infekcja pęcherza. Dali mi antybiotyki i leki przeciwbólowe. A ja wciąż nic nie mówiłam, bo przepełniały mnie wstyd i poczucie winy, których nie rozumiałam, ale które zawładnęły mną tak przemożnie, że chciałam tylko zwinąć się w kłębek i umrzeć.

Dzień po tym, jak zostałam przyjęta do szpitala, przyszedł mnie odwiedzić jeden z kumpli Dana. Widziałam go parę razy w pubie, ale nie znałam zbyt dobrze i na pewno nie spodziewałam się jego odwiedzin. Nie rozpoznałam go, gdy szedł przez oddział, więc zdziwiłam się, kiedy zatrzymał się przy moim łóżku i rzucił:

— No, jak tam?

— Przeszedłeś do mnie? — spytałam.

Skinął głową.

— Dlaczego? Dlaczego przyszedłeś? — Ale zanim zdołał odpowiedzieć, dodałam: — Zresztą nieważne. Nie chcę z tobą gadać. Proszę, daj mi spokój.

— W porządku — powiedział. — Przeszedłem tylko zobaczyć, jak się miewasz. I dać ci to. — Wyciągnął ku mnie coś, co wyglądało jak zwitek papieru i mrugnął. — Weź — naciskał, potrząsnął mi tym pod nosem, a potem wetknął mi w garść. — To cię wyluzuje.

Nagle dotarło do mnie, że to joint.

— Na litość boską, to jest szpital! — syknęłam i rozejrzałam się nerwowo, bo bałam się, że ktoś zobaczy, co mi daje. — Nie chcę tego. I tak nie palę.

— No, może, ale to szczególna okazja — wyszczerzył się. — Ludzie używają tego jako lekarstwa, kiedy źle się czują. Dobrze ci robi.

Zacisnęłam pięści, odwróciłam wzrok, a on w końcu wzruszył ramionami i schował jointa do kieszeni.

— Powiedziałaś komuś, co się stało? — spytał, a potem podszedł do okna przy moim łóżku i wychylił się, żeby spojrzeć na ulicę w dole.

Nie odpowiedziałam.

— Rozumiem, że nie — dodał po chwili. — Chciałem ci powiedzieć, że to dobra decyzja. Dan miał już wcześniej kłopoty. Gdybyś zaczęła paplać, mógłby iść do więzienia, a wtedy dziecko pocziwej Issie nie miałoby ojca. Wiem, że ona jest twoją przyjaciółką i nie chciałabyś tego dla niej, no nie? Poza tym to i tak była twoja wina. Te krótkie kiecki, które wciąż nosicie... — Odwrócił się od okna i wpatrzył we mnie. — Sama się prosiłaś.

Mówił swobodnie i pewnie. Może był zbyt najarany, żeby być agresywny, a może po prostu sądził, że podzielę jego punkt widzenia i wezmę na siebie odpowiedzialność za to, co zrobił jego przyjaciel. Nie widział powodu do podnoszenia

głosu. Zresztą nie miał się o co martwić. Czułam się winna i skażona tym, co zrobił Dan. Chciałam to wyprzeć z pamięci i udawać, że nigdy się nie stało. A już z całą pewnością nie zamierzałam z nikim o tym rozmawiać, nawet z Jenny, najlepszą przyjaciółką.

Kilka dni później zostałam wypisana ze szpitala, wróciłam do domu, spakowałam swoje rzeczy i pojechałam pociągiem do Londynu. Rozmawiałam już przez telefon z matką, więc wiedziała, że byłam w szpitalu, nie wiedziała tylko dlaczego. Musiała się zmartwić smutkiem w moim głosie, bo chyba zaraz po naszej rozmowie zadzwoniła do ojca. To był akurat jeden z tych momentów, kiedy ze sobą rozmawiali, więc powiedziała mu, że bardzo się o mnie martwi, i spytała, czy jest szansa, że mógłby zapłacić za moje wakacje.

— W samą porę! — odparł ojciec radośnie. — Właśnie wynająłem na tydzień dom, żeby obejrzeć mecz reprezentacji krykieta. Może jechać ze mną.

Po paru dniach pojechałam razem z Gillian — którą z niezrozumiałego dla mnie powodu ojciec wciąż przedstawiał jako swoją „dokumentalistkę” — do dużego domu na wsi, niedaleko miasta, w którym miał się odbyć mecz. Plan był taki, że będziemy tam we dwie przez jakiś czas, a on dojedzie do nas na weekend.

Nawet lubiłam Gillian i spędziłyśmy razem kilka miłych, spokojnych dni. W dniu przyjazdu ojca, godzinę czy dwie

przed porą jego spodziewanego przybycia, paliłam w salonie i usłyszałam samochód zatrzymujący się na wysypanym zwirem podjeździe. Gillian natychmiast wpadła w panikę.

— Boże, co my zrobimy? — pisnęła i zaczęła machać rękami przed moją twarzą. — To twój ojciec! On nienawidzi, jak ktoś pali. Szybko, zgaś to. O mój Boże!

Wyglądało na to, że związek ojca z Gillian jest podobny raczej do małżeństwa z moją matką niż z Sally.

Obiecałam sobie, że więcej nie pozwolę, żeby ojciec mnie stresował czy upokarzał, ale nie mogłam nic poradzić na to, że panika Gillian i mnie się udzieliła. Zgasiłam papierosa w popielniczce stojącej na stoliku do kawy, potem wepchnęłam ją pod kanapę, a Gillian maniakalnie machała rękami, jak rozbitek na bezludnej wyspie.

Jak się okazało, miała powód do strachu, bo kiedy tylko ojciec wszedł do domu, zatrzymał się w progu, lekko przechylił głowę, wciągnął powietrze kilka razy i zapytał:

— Kto tutaj palił?

Gillian i ja trzęsłyśmy się ze strachu, ale ja pierwsza zdołałam się odezwać:

— Złota rączka — odpowiedziałam, starając się brzmieć swobodnie, ale i niechętnie. — Wszedł tu z papierosem, kiedy miał coś naprawić.

— Powiedzcie mu, żeby więcej nie palił w domu — rzucił ojciec, a ja poczułam, że Gillian powoli wypuszcza powietrze,

które trzymała w płucach.

Dom był piękny i okazały. Zastanawiałam się, czemu ojciec wynajął tak dużą powierzchnię dla nas trojga. Później tego samego dnia rozległ się dzwonek, oznajmiający przybycie pierwszych gości, których zaprosił, żeby nam towarzyszyli. Kilku z przybyłych mężczyzn znałam z dzieciństwa.

Było mi głupio i wstyd, że uwierzyłam w troskę ojca o moje samopoczucie i że dlatego zaprosił mnie na wakacje. Wkrótce stało się jasne, że zabrał mnie tylko dlatego, żebym pomagała Gillian zajmować się kuchnią. Prawie codziennie do końca tygodnia kupowałyśmy jedzenie, obierałyśmy warzywa i gotowałyśmy dla wszystkich gości ojca. A kiedy nie tkwiłyśmy w kuchni, pichcąc i zmywając, oczekiwał, że stawimy się na każde jego wezwanie.

Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, żeby to olać i po prostu robić, co trzeba, bo nie miałam powodu oczekiwać czegokolwiek więcej, poza tym to i tak nie miało znaczenia. Nie mogłam jednak nic poradzić na to, że czułam się skrzywdzona i rozczarowana, bo mimo wieloletnich doświadczeń, które powinny mnie na to przygotować, pozwoliłam sobie na nadzieję, że jednak lubi mnie na tyle, żeby spędzić ze mną trochę czasu.

Jednym z gości był niejaki Bernard, którego nie znosiłam. Alkoholik, jak większość znajomych ojca, i to alkohol zabił go

niedługo później. W zasadzie jedynymi „normalnymi” ludźmi, którzy się tam zatrzymali, byli pewni mili starsi państwo, trochę przytłoczeni sytuacją. Kładli się spać bardzo wcześnie. Wszyscy inni byli hałaśliwi, zajęci sobą, pozbawieni szacunku do kobiet i po prostu źli.

Któregoś wieczoru brałam kąpiel, a trzech pijanych kolegów ojca włamało się do łazienki, chichocząc jak uczniaki. Krzyczałam i zakrywałam się rękami, kazałam im się wynosić. W końcu, wciąż się śmiejąc i rzucając lubieżne żarty, wytoczyli się, potykając jeden o drugiego w drzwiach. Miałam osiemnaście lat, a oni dobijali do pięćdziesiątki, ale ojciec wściekł się oczywiście na mnie.

— Są moimi gośćmi! — wrzeszczał. — Jak śmiesz się na nich skarżyć? Masz robić wszystko, cokolwiek zechcą, zrozumiano?

Chciał w ten sposób powiedzieć, że jeśli któryś z jego kolegów zapragnie pójść ze mną do łóżka, to on nie będzie miał nic przeciwko temu, a co więcej, wścieknie się na mnie, jeśli tego nie zrobię. Miało upłynąć jeszcze kilka lat, zanim przypomniałam sobie, na co pozwalał swoim przyjaciołom — i do czego ich zachęcał — kiedy byłam dzieckiem, więc jego słowa szczerze mnie zszokowały, ale za bardzo się bałam, żeby protestować. Za to sama sobie złożyłam milczącą obietnicę, że nigdy, przenigdy nie pozwolę, żeby któryś z tych obleśnych pijaków choćby mnie dotknął, nieważne, jak

bardzo ojciec będzie wściekły.

Wkrótce stało się jasne, że z jednym mężczyzną ojciec próbował mnie spiknąć. Tony miał koło czterdziestki, był bogaty i obrzydliwy. Ewidentnie mu się podobałam, a któregoś wieczoru przy kolacji ojciec rzucił swobodnie:

— Jeśli masz ochotę na moją córkę, weź ją sobie, śmiało.

Mówił całkiem poważnie, a Tony był zachwycony.

Spojrzał na mnie lubieżnym, zapitym wzrokiem i wysapał:

— O taaaak, chętnie!

Spojrzałam na niego lodowato i mruknęłam:

— Nie sądzę.

Mężczyźni zgromadzeni wokół stołu ryknęli śmiechem. Później ojciec poszedł za mną do kuchni, nachylił się nade mną tak, że jego twarz znajdowała się kilka centymetrów od mojej, i syknął:

— Masz zrobić wszystko, co będzie trzeba, żeby zadowolić Tony'ego, suko.

Potraktował mnie jak zawsze: ja się nie liczyłam, to, czego chciałam, nie miało znaczenia, najważniejsze było to, czego on sobie życzył. Kiedy tak stał i dyszał mi w twarz alkoholowymi wyziewami, serce mi się ścisnęło, bo wiedziałam, że wciąż za bardzo się go boję, żeby mu się sprzeciwić. Na szczęście inny mężczyzna uratował mnie przed kolegą ojca. Poznałam go podczas tego pobytu. Był

Niemcem o imieniu Karl.

W przeciwieństwie do oblesnego przyjaciela ojca Karl był uroczy. A ponieważ był też bogaty i miał znajomości, ojciec pozwolił mu przychodzić do nas i „zalecać się” do mnie, jak to nazywał, a nawet zabierać mnie na spacer. Karl był naprawdę miłym mężczyzną, a kiedy rozmawialiśmy i śmialiśmy się razem, byłam wdzięczna, że mam inne towarzystwo niż pijani koledzy ojca.

Czasem w tygodniu wszyscy wychodziliśmy do restauracji, a na koniec posiłku ojciec płacił rachunek. Nigdy nie trzymał pieniędzy w banku, a w każdym razie tych, którymi opłacał codzienne wydatki i które trafiały do niego bezpośrednio. Gillian nosiła w torebce wypchaną kopertę pełną pięćdziesięciofuntowych banknotów. Czasem rzucał ją od niechcienia na stół, machał ręką w moją stronę i mówił:

— Weź sobie, ile chcesz. Idź i kup szampana.

Jednak robił to tylko, kiedy mógł się przed kimś popisać, bo poza tym nigdy nic od niego nie dostałam. Za to w restauracjach sięgał do koperty, wyciągał banknoty i płacił rachunki. W ciągu tygodnia bez mrugnięcia kilkakrotnie zapłacił rachunek wynoszący ponad sześćset funtów za kolację dla nas wszystkich. Na początku lat osiemdziesiątych to była duża suma. Później wszyscy jego przyjaciele wznosili kieliszki i pili za jego zdrowie.

Jego ostentacyjna hojność wzmagala tylko moją irytację i

żał, bo kiedy byłam dzieckiem, a matki nie było stać na kupno ubrań, nie dał jej pieniędzy nawet na parę butów dla mnie. A kilka lat po tych „wakacjach”, kiedy nie miałam środków do życia i poprosiłam go o dwadzieścia funtów, odmówił pomocy i krzyczał, że on też nie ma pieniędzy. Dla niego pieniądze były środkiem do zapewnienia sobie tego, na czym mu zależało, między innymi podziwu znajomych i całkiem obcych. Jaki był więc sens dawania pieniędzy córce, jeśli nikt by tego nie zobaczył i nie mógł podziwiać jego hojności?

W czasie tego tygodnia ojciec nie oglądał wiele krykieta, zresztą jego goście, którzy mieszkali z nami, też nie. Dla niego był to pretekst do zostania gospodarzem suto zakrapianych przyjęć.

Wszyscy pili szampana, więc ja też piłam i ojciec wydawał się zadowolony. Któregoś wieczoru poszliśmy do pubu, ale mnie kazał czekać na zewnątrz.

— Ale tato — powiedziałam — mam osiemnaście lat. Mogę wejść do środka.

— Nie — odparł zdecydowanym, nieznoszącym sprzeciwu głosem, jakim przywołuje się do porządku niegrzeczne dziecko. Wskazał na pojedyncze krzesło przy ogrodowym stoliku. — Usiądziesz tu i zaczekasz, aż wyjdziemy.

To też, jak większość jego działań, miało podkreślić, że mną rządzi, i może mnie upokorzyć. Wiedziałam, że dyskusja

nie ma sensu, więc usiadłam sama w ogródku piwnym, czekałam i zastanawiałam się, jak mogłam w ogóle myśleć, że cokolwiek się zmieniło.

Po kilku miesiącach ojciec przyznał się do rzeczywistego charakteru swojego związku z Gillian i stopniowo zaczął zmieniać ją na wzór mojej matki: krótkie, starannie ułożone włosy w kolorze kasztanowym (u Gillian farbowane), eleganckie, dobrze uszyte ubrania i nierzucająca się w oczy, ale droga biżuteria. Gillian była młoda i dość atrakcyjna, nie rozumiałam więc, co widzi w moim ojcu. W końcu któregoś dnia zapytałam ją o to. Spojrzała na mnie przerażona, nerwowo zerknęła za siebie, jakby się bała, że ktoś usłyszy. Potem wzruszyła ramionami i zmieniła temat.

Sądzę, że ojciec, kiedy chciał, potrafił być czarującym i dobrym towarzyszem, poza tym miał pieniądze, co oznaczało, że Gillian mogła wieść życie, na które w innym razie nie byłoby jej stać — mieszkała w ślicznym domu, jadała w dobrych restauracjach, jeździła na wakacje do drogich hoteli i spędzała czas z najbardziej wpływowymi ludźmi w mieście. Być może w zamian za to wszystko musiała znosić dręczenie i deprawację mojego ojca. Dla mnie ta cena byłaby za wysoka bez względu na ewentualne korzyści, ale może ona usłyszała już trzask zamykających się za nią drzwi klatki i czuła, że trudno jej będzie się z niej wydostać. A może po prostu kochała go i tak jak moja matka przez wiele lat

wierzyła, że jeśli się postara, uda jej się go zadowolić.

Po tym tygodniu spędzonym z ojcem, Gillian i jego pijanymi przyjaciółmi, nie widywałam go często. Zobaczyliśmy się dopiero po kilku miesiącach w londyńskim pubie, w którym pracowałam. Czekał na przyjaciela. Rozmawiał ze mną jak z obcym i zdałam sobie sprawę, że mnie nie poznaje albo udaje, że mnie nie zna, z jakiegoś typowego dla siebie, dziecinnego powodu i dla teatralnego efektu.

— Tato, to ja! — powiedziałam, starając się ukryć irytację.
— Twoja córka.

Popatrzył na mnie, uniósł brwi i wzruszył ramionami.

— A tak... No dobrze, więc czy on już jest?

Zabolało mnie to, choć w głębi duszy wiedziałam, że zachowuje się tak dla wywołania dramatycznego efektu i dlatego, że lubił być złośliwy. Zawsze czułam, że muszę mu pokazać, że nie jestem bezużytecznym nieudacznikiem i ciężarem i nic nie umiem zrobić dobrze, co bez przerwy mi powtarzał, gdy byłam mała. Nie traciłam nadziei, że któregoś dnia mnie zauważy i polubi. To się nigdy nie miało wydarzyć, ale właśnie to dążenie do udowodnienia sobie czegoś popychało mnie do działań, dzięki którym odniosłam sukces w pracy.

W barze zatrudniłam się, żeby dodatkowo dorobić. Byłam też pomocnicą sprzedawcy w sklepie, a po paru latach

zostałam w nim kierowniczką. Rocznie zarabiałam siedem tysięcy funtów, co na tamte czasy było godziwą sumą, i w wieku dwudziestu jeden lat mogłam kupić pierwsze mieszkanie.

Mimo że dobrze sobie radziłam, wciąż czułam się jak oszustka. Jakbym odgrywała rolę kogoś, kto ma dobrą pracę i własny dom, ale tak naprawdę czekałam na nieuchronny moment, kiedy coś się wydarzy i wszystko legnie w gruzach.

Po tym, jak kupiłam mieszkanie, ojciec odzywał się od czasu do czasu, a raz nawet przyszedł i zobaczył leżący na kuchennym stole otwarty rachunek.

— Co to jest? — spytał, podniósł dokument i otworzył.

— Rachunek za mieszkanie od mojego radcy prawnego.

— Dlaczego, do cholery, nie zapłaciłaś?! — krzyknął i z wściekłością podetknął mi papier pod nos. — Nie jestem byle kim, dobrze o tym wiesz. Cieszę się w tym mieście reputacją i nie pozwalam, żeby moja córka miała długi u radców.

— Nie mam długów u radców — odparłam i chciałam mu wyrwać rachunek. — Jestem winna jednemu czterysta funtów, które niedługo zapłacę. Po prostu nie mam tych pieniędzy akurat w tej chwili.

Wciąż trzymając rachunek w garści, wszedł do dużego pokoju, wziął telefon i kilka sekund później usłyszałam:

— Dzień dobry, mówi Harold Matthews. Moja córka Katherine jest pańską klientką. Tak, zgadza się. Właśnie

odkryłem, że jest panu winna duża suma pieniędzy i chciałbym zapewnić, że ten rachunek będzie zapłacony. Zrobię to osobiście w najbliższych dniach.

I rzeczywiście zapłacił. Nie mógł mi dać dwudziestu funtów, kiedy go prosiłam o pomoc, nie dawał pieniędzy mojej matce na mieszkanie, jedzenie i ubranie dla mnie, gdy byłam dzieckiem, ale zapłacił mój rachunek wynoszący czterysta funtów. Zrobił to dlatego, że znał radcę — a przynajmniej o nim słyszał — i co ważniejsze, wiedział, że radca mógł słyszeć o nim, i bał się narazić na szwank swoją reputację wpływowego biznesmena i członka socjety.

Ojciec znał wiele osób, również tych, którzy mieli coś do powiedzenia we władzach miasta. Dla przyjaciół i kolegów był „starym dobrym Harrym”, zabawnym, dowcipnym kompanem, który ujmował ludzi ekscentrycznym wdziękiem i pasjonującymi opowieściami. Nigdy nie widzieli jego wybuchów gniewu i niepohamowanej potrzeby krzywdzenia najbliższych, których przecież powinien za wszelką cenę chronić.

Wielu klientów ojca i jego przyjaciół było przestępcami i kryminalistami, którzy wpychali łapówki i brudne pieniądze do jego kieszeni. Dla ojca prawie wszystko w życiu było grą. Liczyło się tylko przekonanie, że jest kimś ważnym, znaczącym i mądrzejszym niż inni. I sądzę, że pod pewnymi względami tak właśnie było, dlatego tak długo wiele rzeczy

uchodziło mu na sucho i wciąż, do dziś, nie odpowiedział za wiele nieuczciwych i potwornych rzeczy, które zrobił.

W przeciwieństwie do mojego ojca marzyłam o życiu uczciwym i bez oszustw. Chciałam być dumna ze swoich osiągnięć. Niestety, chociaż dobrze radziłam sobie w pracy, emocjonalnie byłam zbyt pogruchotana tym, co mi zrobił, żeby moje życie uczuciowe mogło się ułożyć.

Z pierwszym chłopakiem byłam prawie trzy lata, ale wciąż mnie zdradzał, bo mówił, że jestem oziębła i nie zawsze mam ochotę na seks, więc musi zaspokajać swoje potrzeby z kimś innym. I to była prawda: z powodów, których wówczas nie znałam, nie potrzebowałam zbliżeń. Kiedy związek się rozpadł, zaczęłam chodzić z Dale'em. Szybko się zaręczyliśmy i byliśmy razem przez sześć miesięcy, potem przez rok spotykałam się z Mickeyem.

Czegoś szukałam, ale nie wiedziałam czego i za każdym razem wmawiałam sobie, że to znalazłam i jestem szczęśliwa. Ale po jakimś czasie wszystko się psuło i miałam złamane serce. Desperacko pragnęłam być kochana, ale kiedy ktoś obdarzył mnie uczuciem, uważałam, że nie zasługuję na miłość.

Żyłam w stałym napięciu, wciąż na coś czekałam i nigdy nie byłam w stanie zrelaksować się i zaakceptować świata takiego, jaki był. Nie wiedziałam, dlaczego się tak czuję ani na co właściwie czekam. Być może był to skutek uboczny

dzieciństwa skazonego wiecznym czekaniem na kolejną potworność, która miała się przydarzyć.

Kiedy dziś o tym myślę, uważam, że to cud, że udawało mi się znaleźć kogoś, kto w ogóle był gotowy się ze mną umawiać! Tom był cierpliwy i dobry dla mnie, kochał mnie i został moim najlepszym przyjacielem. Wiedziałam, że spotkałam kogoś, z kim chcę być do końca życia. Ale później urodził się Sam, ja zaczęłam przypominać sobie straszliwe rzeczy, które ojciec mi robił w dzieciństwie, i moje życie całkiem się rozpadło.

Rozdział 12

*P*o urodzeniu Sama bardzo poważnie zachorowałam. W żaden sposób nie mogłam się uporać z horrorem, który do mnie wracał, ale psychiatra wierzył, że wspomnienia pomogą mi zrozumieć, co jest prawdą, a co iluzją w tej dziwacznej Krainie Czarów, w której obudziłam się jako Alicja.

Nawet po opuszczeniu szpitala, w którym spędziłam sześć miesięcy, nikt nie łudził się, że wyzdrowiałam. Wiedziałam, że dochodzenie do zdrowia będzie długim, powolnym procesem, ale nie mogłam przewidzieć, ile potrwa tak naprawdę.

A jednak czułam się lepiej, choć nie mogłam wrócić do pracy. Brałam leki i potrzebowałam pomocy opieki społecznej, Toma, jego rodziców, mojej matki i dobrych przyjaciół, jak Jenny. Mimo ich troski wciąż balansowałam na cienkiej granicy pomiędzy radzeniem sobie w miarę a nieradzeniem w ogóle.

Wkrótce po Bożym Narodzeniu, kiedy byłam w domu od jakichś trzech miesięcy, Sam trafił do szpitala z odmą

opłucnową i zapaleniem płuc. Siedziałam obok niego w karetce, czułam się jak we śnie i patrzyłam, jak wydarzenia rozgrywają się wokół mnie, ale nie byłam w stanie nic zrobić ani w żaden sposób wpłynąć na bieg wypadków.

Syrena karetki, mknącej ulicami w stronę szpitala, docierała do mnie jakby z oddali, byłam całkowicie obojętna. Nie mogłam zmusić się do spojrzenia na woskową, szarą twarzyczkę Sama, sine usta i drobną klatkę piersiową, która unosiła się i opadała, w górę i w dół, jakby dyszał, ale w rzeczywistości z trudem nabierał choć odrobinę powietrza. Lekarz z ambulansu zajmował się nim, włączał jakieś maszyny i z grobową miną patrzył na monitory. Głos w mojej głowie powtarzał: „Sam może umrzeć”, i musiałam chwycić się krawędzi fotela, żeby nie zacząć wrzeszczeć.

Pierwsze urodziny Sam spędził pod namiotem tlenowym, a ja siedziałam obok niego cały dzień oraz wszystkie pozostałe dni w szpitalu i patrzyłam bezradnie, jak walczy o życie. Nie zostawałam z nim na noc, bo w nocy nie mogłabym dłużej udawać, że jestem normalna. Wiedziałam, że pielęgniarki są oburzone, kiedy wychodziłam do domu. Myślały, że zostawiam Sama w szpitalu, żeby wyspać się wygodnie we własnym łóżku, ale to nie tak, że nie chciałam tam być albo że mi nie zależało. Po prostu bałam się nocy i czułam, że nie dam rady. Nawet w ciągu dnia stale musiałam walczyć z chęcią rozplakania się jak dziecko.

Istniało zagrożenie, że Sam umrze, i myślałam, że jestem za to odpowiedzialna. Zawsze żyłam w poczuciu winy, choć nie mogłam pojąć dlaczego, dopóki nie zaczęły powracać wspomnienia. W miarę jak napływały, mój stan się pogarszał i byłam przekonana, że śmierć Sama byłaby karą dla mnie; złe rzeczy przydarzają się złym ludziom, a przecież Sam nie był zły.

Jakimś cudem Sam przeżył i kiedy tylko uwierzyłam, że wszystko będzie dobrze, przestałam walczyć i znów całkowicie poddałam się chorobie.

Nie byłam świadoma tego, co się ze mną wówczas działo, ale później opowiadano mi, że wróciłam do czasów dzieciństwa. W jednej chwili mówiłam normalnie i wydawało się, że wszystko jest w porządku, a w następnej wypływało wspomnienie — to mógł być zapach, słowo czy wyrażenie — i zwijałam się w kłębek na podłodze w rogu pokoju albo siadałam na kanapie z podkulonymi kolanami, kołysałam się i mówiłam dziecinnym, cienkim głosem.

Czułam, że włada mną strach. Wiedziałam, że muszę się bronić, ale nie rozumiałam przed czym, więc kiedy ktoś do mnie podchodził, rzucałam się i krzyczałam:

— Nie podchodź! Nie dotykaj mnie!

Tom też się bał. Myślę, że i mnie, i o mnie. Nie przypuszczał, że zrobię komuś krzywdę, może ewentualnie sobie, ale byłam nieprzewidywalna i moje zachowania były z

pewnością stresujące dla każdego, kto był ich świadkiem. Musiało to być dla niego straszne. W ciągu poprzednich kilku miesięcy, kiedy byłam chora, przeżył taki dramat, że nawrót musiał go załamać. Martwił się o mnie, kiedy byłam w szpitalu psychiatrycznym, martwił się o chorego Sama i zadręczał się, że nie uda nam się spłacić kredytu za dom z jednej pensji, bo ja nie byłam w stanie pracować. Teraz znów musiał przejmować się mną. Pewnego dnia chciałam dźgnąć go nożem.

Był późny ranek, Tom i ja byliśmy w kuchni. Kroiłam chleb, a Tom stał po mojej prawej stronie, kilka metrów dalej, opierał się o zlew i mówiąc coś, wyglądał przez okno. Nagle przed oczami przeleciał mi na wpół zapamiętany obraz. Przedstawiał mojego ojca stojącego w kuchni, w domu, w którym mieszkałam jako dziecko, opierającego się o zlew i pijącego whisky z kryształowej szklanki. W jednej chwili znów byłam dzieckiem, a kiedy odwróciłam głowę, żeby popatrzeć na Toma, zobaczyłam lodowatą, pełną pogardy twarz ojca.

Zaczęłam się strasznie trząść. Złapałam się blatu i usiłowałam zapanować nad oddechem. Tom zrobił krok w moją stronę.

— Katie, wszystko w porządku? — spytał.

Pytał z troską, ale ja słyszałam kpinę. Podniosłam nóż i zamierzyłam się na niego.

— Chryste, Katie! Co ty robisz? — Tom odskoczył, a ostrze minęło o centymetry jego pierś.

Zamknęłam oczy i próbowałam skupić się na czymś, co pozwoliłoby mi zakotwiczyć się w rzeczywistości. Kiedy je otworzyłam, Tom stał naprzeciwko mnie, był blady jak ściana, a w ręce trzymał nóż.

Od miesięcy — jeśli nie od lat — cierpiałam na umiarkowane zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, ale kiedy Sam wyszedł ze szpitala, sytuacja znacznie się pogorszyła. Nieustannie sprzątałam w domu, szorowałam, chlorowałam i odkurzałam z takim zaangażowaniem, jakby od tego zależało nasze życie. Prawdę mówiąc, tak wówczas myślałam. Prześladował mnie lęk, że Sam mógłby dotknąć czegoś, co nie było sterylnie czyste, i znów zachorować. Do mnie należało zadbać, żeby tak się nie stało.

Zużywałam wybielacz butelka po butelce, ale kiedy patrzyłam na dopiero co zdezynfekowany stół albo blat w kuchni, wyobrażałam sobie, że wciąż widzę zarazki, maleńkie, wstrętne chorobotwórcze paskudztwa, które już namnażały się, by przyjąć postać śmiertelnych kolonii, mogących zabić mojego syna. Zaczynałam więc czyścić wszystko ponownie, czasem nawet wstawałam w nocy — bywało, że po piętnaście razy — żeby odkurzyć dom. Odgłos odkurzacza budził Sama, który zaczynał płakać, a Tom błagał, żebym przestała. Ale ja nie mogłam. Nie miałam

kontroli nad swoimi działaniami. Im bardziej byłam wyczerpana, tym gorsze miałam urojenia.

Któregoś wieczoru, zanim Tom wrócił do domu z pracy, zaczęłam przygotowywać kąpiel Sama. Woda już leciała do wanny, więc rozebrałam go i wrzuciłam ubrania do kosza na brudną bieliznę, który stał przed drzwiami do łazienki. Wsadziłam Sama do kąpielowego krzeselka. Był już za duży i stanowczo zbyt ruchliwy, żeby w nim siedzieć, ale uwielbiał je i zawsze bardzo się cieszył, kiedy wkładałam jego nogi do otworów po obu stronach rozporki. Ekscytacja Sama była zaraźliwa i przez chwilę śmiałam się razem z nim. Potem uklękłam na podłodze przy wannie i podałam mu starannie zdezynfekowanego plastikowego delfinka.

Nagle poczułam dobrze znane ukłucie niepokoju i ujrzałam przed oczami jeden z kuchennych blatów. Odkąd dałam Samowi herbatkę, wyczyściłam blat wybielaczem już z pięć razy, ale potrzeba sprzątnięcia była kompulsją, która nie poddawała się racjonalnemu myśleniu. Kiedy tylko myśl o sprzątnięciu wpadła mi do głowy, zaczynałam się pocić, serce biło mi tak szybko, że aż bolało, a ja czułam, że coś blokuje mi tchawicę, i nie mogłam oddychać.

To było jak narastający atak paniki, który w końcu przyćmiewał wszystko inne i stawał się jedyną rzeczą na świecie, która miała znaczenie. Złapałam się krawędzi wanny i starałam się zignorować tę myśl, ale już po kilku sekundach

zerwałam się i prawie wybiegłam z łazienki, nie zwracając uwagi na Sama, który kopał nogami w wodzie i gaworzył radośnie.

W kuchni wyjęłam z szafki nową gąbkę, wylałam na nią wybielacz i zaczęłam szorować nieskazitelnie czysty blat tam i z powrotem, aż panika ustąpiła na tyle, że mogłam znów oddychać. Wtedy przypomniałam sobie o Samie.

Zawołałam do niego, żeby wiedział, że już biegnę, a potem stanęłam w drzwiach łazienki i popatrzyłam na puste krzeselko kąpielowe. Nie rozumiałam tego, co widzę. Sam leżał z twarzą w wodzie, ale minęło kilka sekund, zanim zdołałam skoncentrować się na jego bezwładnym ciele. Krzyknęłam i rzuciłam się ku niemu, złapałam go za rękę, wyciągnęłam z wanny i raz po raz powtarzałam jego imię. Padłam na podłogę i mocno przyciskałam go do piersi, a potem przewiesiłam przez swoje kolana i mocno potrząsnęłam za ramiona.

Nagle zakaszłał, złapał oddech i zaczął płakać. Wówczas zdałam sobie sprawę, jak bliska byłam spowodowania śmierci istoty, którą kochałam bardziej niż kogokolwiek na świecie. Zrozumiałam, że jestem bardzo chora.

Owinęłam Sama w ręcznik i posadziłam sobie na kolanach, kiedy dzwoniłam do Toma do pracy, żeby powiedzieć: — Prawie pozwoliłam Samowi utopić się w wannie. Nie daję rady. Musisz wracać. Pomóż mi.

Następnego dnia Tom zadzwonił do pracowniczki opieki społecznej, która była odpowiedzialna za czuwanie nad bezpieczeństwem Sama. Powiedział jej, co się stało, a ona obiecała, że przyjedzie spotkać się ze mną możliwie jak najszybciej. Tom nie poszedł do pracy, a później tego ranka przyszła z wizytą moja przyjaciółka z dzieckiem. Siedziałyśmy w salonie, dziecko w foteliku samochodowym, a Sam bawił się obok na podłodze.

Następne, co pamiętam, to że leżę zwinięta w kłębek w kącie pokoju i patrzę w zatroskaną twarz mojego lekarza. Nie pamiętałam, co się stało, ale podobno nagle zaczęłam histerycznie szlochać, pobiegłam do kuchni, wyciągnęłam z szuflady nóż i znów próbowałam dźgnąć Toma. Krzyczałam na niego, zwracałam się do niego „tato”, a potem rzuciłam się na podłogę i zaczęłam opętańczo zawodzić głosem małej dziewczynki.

Lekarz chciał mnie zawieźć do szpitala, ale odmówiłam. W końcu ustaliliśmy, że mogę zostać w domu pod warunkiem, że nie będę przebywać sama z dzieckiem, będę brała zapisane lekarstwa i codziennie w dni robocze pojawię się na oddziale dziennym szpitala. Sam został wpisany do specjalnego rejestru i Tom codziennie rano po drodze do pracy zawoził go do domu opiekunki, skąd odbierał go wieczorem. Jego rodzice byli zasmuceni, bo woleli sami zajmować się Samem, ale bałam się, że jeśli co wieczór nie

wróci do domu, będę go rzadko widywać, a on po jakimś czasie uzna dom dziadków za swój i przestanie mnie poznawać.

W ciągu następnych kilku miesięcy czyniłam powolne postępy, choć czasem miałam załamanie i bywały dni, że wątpiłam, czy kiedykolwiek wyzdrowieję.

Byłam z siebie dumna, kiedy w końcu pozwolono mi zaprowadzać Sama do domu opiekunki i odbierać go po południu, zanim Tom wróci z pracy. Z czasem Sam coraz rzadziej przebywał u opiekunki, a kiedy skończył dwa lata, poszedł do żłobka.

Kompletnie nie radziłam sobie z tym, co wciąż sobie przypominałam o molestowaniu seksualnym przez mojego ojca i o obrzydliwych, zboczonych rozrywkach, które moim kosztem zapewniał swoim przyjaciołom. Słuchałam racjonalnych wyjaśnień psychiatry, dlaczego tak się czuję, i że to, co przydarzało mi się jako małemu dziecku, nie było moją winą, ale nie przyjmowałam jego słów. Dopóki mój umysł ich nie zaakceptuje, nie mogło być mowy o naprawieniu krzywd, które zostały mi wyrządzone na tak wiele sposobów.

Próbowałam być „normalna” i mieć „normalne” myśli, ale przez całe lata wszystkie wnioski i koncepcje powstałe w moim mózgu były nienormalne. Nigdy nie miałam innych, czułam więc, że nie mam podstaw do szukania sensu w

czymkolwiek. Wydawało mi się, że mam w głowie dziesiątki tysięcy poplątanych, pourywanych drutów, zwisających w kompletnym bezładzie, i musiałam podjąć pozornie niewykonalne zadanie rozplątania ich, a potem dobrania w pary. W związku z tym nie ma nic dziwnego w tych wybuchach kompletnego chaosu, które przydarzały mi się od czasu do czasu.

Ogrom bólu, jaki dźwigał Tom, był niewyobrażalny. Kiedy byłam bardzo chora, nie dalibyśmy sobie rady bez pomocy i wsparcia, jakich nam udzielono. Regularnie spotykałam się z psychiatrą i w końcu zaczęłam odczuwać, że robię postępy na trudnej i często stresującej drodze od rozpacz do wyleczenia.

Wciąż jednak zdarzały się dni, kiedy się cofałam, na przykład wówczas, gdy razem z Samem pojechaliśmy autobusem do supermarketu za miastem. Chociaż było to bardzo niedaleko od naszego domu, autobus nieustannie stawał na przystankach i podróż zdawała się nie mieć końca. Zaczęłam wpadać w panikę, ale oddychałam głęboko i wyglądałam przez okno, poszukując ciekawych rzeczy, które mogłam pokazać Samowi. W końcu dotarliśmy na miejsce.

Kiedy niosłam Sama w stronę wejścia do centrum handlowego, zawroty głowy, które pojawiły się już wcześniej, nasiliły się. Wszystko wokół mnie wydawało się nierzeczywiste, tak jakbym stała poza swoim ciałem i

obserwowała się przez okno albo widziała się grającą na scenie. Przez chwilę zamarłam bez ruchu. Starłam się oddychać powoli i czekałam, aż moje serce się uspokoi. Później wniosłam Sama do przeszklonego przedsionka i wyprowadziłam wózek z długiego szeregu, a nawet uśmiechnęłam się do starszej kobiety, która zatrzymała się, żeby mi pomóc. Sam wbił mi stopy w uda, kiedy niecierpliwie wyprężył się, żeby sięgnąć do wózka. Trzymałam go za ręce, żeby utrzymał równowagę na czerwonym plastikowym siedzeniu dla dzieci, a potem wsuwałam jego pulchne nóżki w odpowiednie otwory, aż usiadł.

Pchałam wózek przez wewnętrzne drzwi do sklepu, kiedy do głowy wpadł mi obraz: Sam unosi się na wodzie, twarzą do góry, w kąpieli, ma otwarte, wpatrzone w coś oczy, a mój ojciec stoi obok niego i spokojnie zdejmuje ubranie. Zatrzymałam się przy stojaku z gazetami i niestarannie rozrzuconymi kolorowymi magazynami, wytarłam w dżinsy mokre od potu dłonie, a potem odwróciłam się i wyszłam na zewnątrz, ani razu nie oglądając się za siebie.

Tak jakby opuściła mnie świadomość. Nie planowałam tego ani nawet nie zdawałam sobie sprawy, że to zrobiłam, i naprawdę nie wiem, co sobie wówczas myślałam, jeśli w ogóle cokolwiek. Kiedy jakiś czas później ktoś mnie znalazł w pomieszczeniu dla personelu na tyłach sklepu, byłam bardzo zestresowana i przeżywałam atak paniki.

Wreszcie odnaleziono Sama, porzuconego i całkiem samego przy stoisku z gazetami, ale wciąż radośnie uśmiechającego się do wszystkich klientów. Obsługa szybko dodała dwa do dwóch i domyśliła się, że jesteśmy razem. Kiedy w końcu ktoś zdołał wydobyć ze mnie sensowne zdanie, menedżer sklepu zadzwonił do Toma do pracy, on przyjechał i zabrał nas do domu.

Nie wiem, co mnie napadło tego dnia i w inne dni, gdy niespodziewanie okazywało się, że nie jestem w stanie funkcjonować. Sam nie sprawiał żadnych problemów, był najpogodniejszym, bezproblemowym dzieckiem i kochałam go z całego serca. To, że go zostawiłam, nie miało z nim nic wspólnego. Coś uruchomiło wspomnienie, a kiedy wpadałam w panikę, byłam całkowicie niezdolna do racjonalnego myślenia.

Czasem budziłam się rano i powoli docierało do mnie, że wszystko jest w porządku. Leżałam w łóżku i myślałam, że dam sobie radę, więc postanawiałam dokądś się wybrać. Ale kiedy już docierałam na miejsce, okazywało się, że sytuacja mnie przerasta. Rozglądałam się wkoło, widziałam ludzi, którzy zachowywali się normalnie, rozmawiali ze sobą, pchali wózki z dziećmi, wchodzili do sklepów i wychodzili z nich, a moje serce zaczynało walić jak młotem. W ciągu kilku sekund zalewał mnie pot, cała się trzęsłam, a ucisk w piersi uniemożliwiał mi oddychanie. Wydawało mi się, że się duszę,

mam atak serca albo do reszty straciłam rozum pośrodku centrum handlowego czy w innym miejscu, gdzie się akurat znajdowałam, kiedy strach i panika przejmowały nade mną kontrolę.

Nie znam słów, którymi można by opisać atak paniki albo życie w bezustannym lęku, bo nie wiadomo, kiedy miał nastąpić. Bez względu na to, jak długo spałam, wciąż byłam zmęczona. A gorsze niż wyczerpanie czy panika były strach przed tym, co się ze mną dzieje, i niepokój, co się stanie, jeśli nigdy nie dojdę do siebie. Bałam się być dla Sama matką.

Kochałam go, ale nie czułam się tak, jak wyobrażałam sobie, że powinna się czuć matka. Patrzyłam na niego jakby z oddali, nic nas nie łączyło. Zresztą w ogóle całe moje życie było absurdalne. Sam był mój, a jednak nie był. Kochałam go, ale byłam obojętna. Nie czułam nic do siebie, więc jak miałabym czuć coś do kogokolwiek innego, nawet do własnego dziecka? Byłam dorosłą kobietą, matką małego chłopca, ale w głowie to ja byłam dzieckiem, czasem zagubionym, czasem przerażonym, siedzącym w kącie pokoju i patrzącym na ojca, który szedł w jego kierunku.

Być może ten stan oszołomienia, w jakim się znajdowałam, wywołany był lekami, które brałam, przynajmniej po części. Niektóre miały uspokoić bezładny zgiełk panujący w mojej głowie i wyciszyć głosy i wspomnienia, które nieustannie atakowały moje zmysły, więc

w sumie nie byłoby nic dziwnego w tym, że rozmywały nie tylko przeszłość, ale i teraźniejszość.

Kiedy Sam miał dwa lata, straciliśmy dom. Od wielu miesięcy Tom usiłował pogodzić role ojca małego dziecka, męża wariatki i jedyne go żywiciela rodziny, ale od jakiegoś czasu było oczywiste, że nie zdołamy spłacić kredytu.

Kiedy dom został sprzedany, wprowadziliśmy się do domu komunalnego w całkiem miłej części miasta i w końcu z barków Toma została zdjęta część presji. Mieliśmy szczęście, że jego rodzice, bracia i siostry byli dla nas tak dobrzy, szczególnie dla Sama. Nie wiem, jak dalibyśmy sobie radę bez nich.

Mijały miesiące, a leki, które czasem odrywały mnie od rzeczywistości, stopniowo zdołały stłumić szaleńcze kołysanie się i wibrowanie mojego umysłu, aż do tego stopnia, że zdołałam zapisać się na studia wieczorowe i uczyć się zarządzania zasobami ludzkimi. Nie mogłam jeździć samochodem, więc szkoła oznaczała dwugodzinne podróże autobusem dwa razy w tygodniu. Wyсіtek się jednak opłacał, bo każda podróż była namacalnym dowodem poprawy, jaką odczuwałam. Byłam z siebie dumna po raz pierwszy, odkąd pamiętam. Nie tylko dawałam radę podróżować na uczelnię i z powrotem, nie dostając przy tym ataku paniki, ale na dodatek przyswajałam wiedzę i rozumiałam wszystko, czego mnie uczono.

Zaczełam wierzyć, że któregoś dnia zacznę żyć normalnie. Wiedziałam, że nigdy nie zdołam zamknąć otwartej puszkę Pandory, z której wyleciały potworne wspomnienia z dzieciństwa, ale być może zdołam się przekonać, że należą do przeszłości i z czasem oswoję życie obok nich.

Nie powiedziałam matce o tym, co sobie przypomniałam, nawet gdy byłam w szpitalu. Teraz stwierdziłam, że nadszedł czas i powinna się dowiedzieć, choćby po to, żeby zrozumieć, co się ze mną działo. Wiedziałam, że będzie to bardzo przygnębiająca rozmowa dla nas obu, więc wymyśliłam, że spotkamy się w miejscu publicznym, które zmusi nas do panowania nad emocjami. Zaprosiłam ją do kawiarni.

Usiadłyśmy przy dwuosobowym stoliku w rogu, piłyśmy kawę, a w końcu matka zapytała:

— No więc... O czym chciałaś porozmawiać? Muszę przyznać, że od czasu twojego telefonu jestem trochę zestresowana.

— Chciałabym ci powiedzieć, co się tak naprawdę ze mną dzieje — oznajmiłam, wzięłam głęboki wdech i mocno zacisnęłam dłonie, spoczywające na obrusie z białego adamaszku. — To znaczy, z jakiego powodu zachorowałam.

Matka dotknęła moich rąk i powiedziała:

— Wiem, że nigdy nie byłaś szczęśliwa. Nawet jako mała dziewczynka. Ale po narodzinach Sama stało się coś innego. Zastanawiałam się, czy to depresja poporodowa, czy

wydarzyło się coś jeszcze, co wpędziło cię w taką chorobę.

— Tata mnie molestował — wyrzuciłam z siebie pełnym gniewu szeptem. — Robił to przez wiele lat, odkąd skończyłam dwa lata. Ale zapomniałam o tym aż do momentu narodzin Sama.

— Molestował cię? — Matka cofnęła ręce i zaczęła grzebać w torebce, jak zawsze w chwilach stresu. Po chwili popatrzyła na mnie i spytała: — Jak to „molestował”? Molestował nas wszystkich! Chyba nie zapomniałaś jego ataków gniewu i jak...

— Molestował mnie seksualnie — przerwałam jej. — On i jego przyjaciele. — Wymieniłam kilka nazwisk i przez chwilę myślałam, że matka zemdleje.

Szok na jej twarzy był autentyczny, duże łzy, które powoli spływały jej po policzkach także, a prawdziwy koszmar zrozumienia i uświadomienia sobie prawdy właśnie się zaczął.

— O Boże! O mój Boże! — szeptała bez przerwy, a w końcu powiedziała: — Tak, to by się zgadzało. Nie wiedziałam. Katie, proszę, musisz mi uwierzyć. Nie wiedziałam o tym. Zabiłabym go gołymi rękami, gdybym choć podejrzewała, że dotyka cię w ten sposób. Kąpiele... Drzemki... O mój Boże!

Było mi jej żal, bo wiedziałam, że poczucie winy to straszny towarzysz życia.

Rozdział 13

*U*kończenie studiów dodało mi energii. Byłam z siebie bardzo dumna, a poczułam się jeszcze lepiej, gdy dostałam pracę, o którą się ubiegałam, w dziale kadr lokalnej firmy. Niestety, przestało nam się układać z Tomem i rozstaliśmy się wkrótce po tym, jak zostałam zatrudniona.

Zaszłam w ciążę, zanim zdążyliśmy się dobrze poznać i trochę ze sobą pobyc, więc można uznać, że nasz związek i tak przetrwał zaskakująco długo. Dla Toma to musiało być naprawdę trudne: w ciągu osiemnastu miesięcy od czasu, gdy się poznaliśmy i zakochaliśmy w sobie, zmieniłam się z radosnej i pewnej siebie dziewczyny w osobę z poważnymi problemami psychicznymi. Życie Toma zawaliło się w zasadzie z dnia na dzień. Nie tylko urodził mu się synek i spadły na niego wszystkie obowiązki związane z ojcostwem, ale na dodatek ciężko chora partnerka wymagała ciągłej opieki, a do tego wieczne kłopoty z brakiem pieniędzy. Kiedy moja choroba uniemożliwiła mi pracę, Tom musiał wziąć na siebie ciężar utrzymania trzech osób i spłatę kredytu za dom,

z którą nawet przy dwóch pensjach z ledwością sobie radziliśmy.

Ostatecznie nie wzięliśmy ślubu, choć Tom chciał się oświadczyć, gdy w Boże Narodzenie jechaliśmy w odwiedziny do mojego ojca. Wiedziałam, że mam szczęście, bo nie zostawił mnie w chorobie. Byłam też ogromnie wdzięczna jego rodzicom, ponieważ bez ich pomocy i wsparcia opieka społeczna odebrałaby nam Sama — dla mojego synka to by było straszne, a ja miałabym jeszcze większe poczucie winy, z którym chyba nie umiałabym żyć.

Kiedy jednak wydobrzałam już na tyle, że mogłam wrócić do pracy, i radziłam sobie znacznie lepiej niż w ciągu ostatnich trzech czy czterech lat, Tom mógł wreszcie zająć się własnym życiem. Dzień, w którym nasze drogi się rozeszły, był jednym z najsmutniejszych w moim życiu. Pozostaliśmy jednak przyjaciółmi i wiedziałam, że w trudnych chwilach zawsze mogę na niego liczyć.

Choć byłam już zdolna do pracy, nadal musiałam przyjmować lekarstwa, których nie odstawię przez kolejne dwadzieścia lat. Mimo że było mi ciężko pogodzić się z tą myślą, i ja, i Tom wiedzieliśmy, że Samowi będzie lepiej z tatą.

Niekiedy czułam się tak, jakbym pływała w morzu, starając się dostrzec niewidoczny horyzont i utrzymywać głowę nad powierzchnią. Każda nadchodząca fala

wywoływała we mnie panikę. Co jakiś czas nadpływała naprawdę potężna, a wtedy z walącym opętańczo sercem zaczynałam szamotać się w wodzie i zamiast sobie pomóc, tylko pogarszałam sprawę. Nie chciałam, żeby Sam musiał tak żyć: żeby targały nim wszystkie zalewające mnie fale. Musiałam wybrać to, co dla niego najlepsze, a w głębi serca wiedziałam, że powinien zostać z Tomem. Nie byłam w stanie nim się odpowiednio zająć, a Tom potrafił zapewnić mu bezpieczeństwo i troskliwą opiekę. Poza tym mogłam się z nim widywać i w razie potrzeby być zawsze pod ręką.

To była najtrudniejsza decyzja w moim życiu. Co noc zasypiałam z płaczem, próbując się jakoś z tym pogodzić. Nienawidziłam swojego ojca za to, co mi zrobił, gdy byłam mała, bo przez to jako dorosła kobieta nie umiałam się zająć własnym dzieckiem.

Sam zawsze się cieszył z moich odwiedzin, choć widać było, że jest u Toma szczęśliwy; przez pewien czas wszystko się jakoś układało. Demony w mojej głowie chwilowo ucichły i już dawno nie czułam się tak dobrze. Bardzo lubiłam swoją pracę i cieszyłam się, że znów mogę „normalnie” żyć. W weekendy często wychodziłam na miasto z moją przyjaciółką Jenny i czasem spotykałyśmy któregoś ze znajomych ojca czy nawet jego samego.

Szlag mnie trafiał, gdy rwał się do rozmowy z Jenny przy każdej z takich okazji. Po pierwsze, był od niej dwa razy

starszy, a po drugie, doskonale wiedział, że zaczęłam sobie przypominać różne zdarzenia z dzieciństwa, i gdyby tylko się zastanowił, to dotarłoby do niego, iż Jenny musiała także co nieco słyszeć. Ale tak egocentryczny i gruboskórny człowiek jak on pewnie w ogóle nie zwracał sobie tym głowy. Przypuszczam, że niewiele go to obchodziło.

Podczas naszych wieczornych wyjść wpadałam czasem na Irene. Jako nastolatka widywałam ją w knajpie, do której chadzał ojciec z kolegami z pracy. Zawsze uważałam, że Irene jest trochę dziwna. Zezowała na jedno oko, nosiła męskie garnitury i podejrzewałam, że jest lesbijką. Zdziwiła mnie więc informacja, że spodziewa się dziecka.

Ponieważ prawie jej nie znałam, szybko o tym zapomniałam, póki któregoś wieczoru nie spotkałam w knajpie jednej z jej koleżanek, która mi powiedziała:

— Słyszałaś, że Irene urodziła dziecko? Wiesz, że to dziecko twojego ojca, prawda?

Omam nie wybuchłam śmiechem. Bez trudu mogłam uznać swoją pomyłkę co do orientacji seksualnej Irene, ale znałam preferencje ojca i wiedziałam, że partnerek szuka wśród nastolatek i atrakcyjnych dziewczyn po dwudziestce. Uznałam więc, że to bzdury, i więcej nie zaprzętałam sobie tym głowy.

Aż tu pewnego dnia, po wielu miesiącach ciszy, zadzwonił ojciec.

— Ta suka, Irene, chce mnie wrobić w alimenty — wrzasnął, gdy tylko podniosłam słuchawkę.

— U mnie wszystko w porządku, miło, że pytasz, tato — odparłam. — A co u ciebie?

Zignorował mnie i ryknął:

— Każ się tej dziwce ode mnie odczepić. Bo nic ci nie zapiszę.

Tak mnie wkurzył kompletnym brakiem zainteresowania wszystkim i wszystkimi poza nim samym, że zebrałam się na odwagę i powiedziałam:

— Słaba zachęta, skoro i tak nic od ciebie nie dostaję.

— Lepiej uważaj, co mówisz. — Słysząc było, że z trudem panuje nad wściekłością, co zaczęło mi się nawet podobać. Inaczej jest, gdy ktoś bluzga przez telefon, a inaczej, gdy drze się na ciebie bezpośrednio. — I bez tego mam wystarczająco dużo na głowie — warknął. — To twoja koleżanka. Każ jej się odwalić.

Parsknęłam śmiechem.

— Skąd ten pomysł? — spytałam. — Prawie jej nie znam. Nie jest moją koleżanką. Ale twoją chyba i owszem! Skoro zrobiłeś dziecko, to płąć. — Odłożyłam słuchawkę.

Siedziałam przez moment, spodziewając się, że telefon znów zadzwoni. Czekałam, aż przestanę się trząść, jeszcze pod wrażeniem niezwykłego, niespotykanego dotąd faktu, że odpyskowałam ojcu. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Może

po prostu świadomość, że w ciągu ostatnich lat miałam tyle poważnych problemów, których podłożem były niewybaczalne krzywdy wyrządzone mi przez niego w dzieciństwie, a on w ogóle się tym nie przejmował i nie starał się mi pomóc. W tym kontekście jego głupie kłopoty, którym sam był sobie winien i które tak naprawdę nie były żadnymi kłopotami, przypominały raczej tragizowanie egocentryka. Fajnie jednak, że byłam w stanie wyprowadzić go z równowagi i że ośmieliłam się mu postawić, choć przez chwilę.

Jakiś czas później dowiedziałam się, że faktycznie jest ojcem dziecka Irene, co zostało potwierdzone badaniami. Irene pozwała go o alimenty, które zostały jej zasądzone. Ojciec podobno zarzekał się, że mimo wyroku nie zapłaci ani grosza. Nie wiem, jak to się ostatecznie skończyło. Mam jednak nadzieję, że jej płaci. Abstrahując od pieniędzy, to jednak szczęście, że ojciec nie chciał angażować się w opiekę nad dzieckiem, bo każdemu, które miało z nim kontakt, wyrządzał tylko i wyłącznie krzywdę.

Kilka lat później poznałam dziecko Irene — moją przyrodnią siostrzyczkę. Miała wtedy jakieś siedem lat. Ale trudno mi było utrzymywać z nią kontakt, wiedząc, że łączy nas tak naprawdę tylko ojciec — z którym nie chciałam mieć nic wspólnego — toteż nigdy więcej się z nią już nie zobaczyłam.

Jak się później dowiedziałam, obie miałyśmy całkiem sporo przyrodniego rodzeństwa. Nie wiem, czy to prawda, choć jestem skłonna w to uwierzyć, bo ojciec wykazywał bardzo swobodny stosunek do seksu — im częściej i bardziej perwersyjnie, tym lepiej — więc przez lata dorobił się wielu partnerek.

Gdy odwiedzałam go jako nastolatka, często puszczał filmy pornograficzne. Przypomina mi się też, że kiedy jako mała dziewczynka leżałam w łóżku z jego kumplami, ktoś robił mi zdjęcia, choć uświadomiłam to sobie dopiero wiele lat później. Jednak wszystko wskazuje na to, że nie mnie jedną fotografowano.

Któregoś dnia, jeszcze zanim spotkałam Toma i urodziłam Sama, siedziałam u ojca. Był w pracy, a Gillian właśnie wyskoczyła do sklepu. Ponieważ było zimno — ojciec nie uznawał marnowania pieniędzy na ogrzewanie podczas swojej nieobecności — postanowiłam pożyczyć sobie z sypialni jeden ze swetrów Gillian.

Wydawało mi się, że to dobry pomysł. Ale kiedy otworzyłam drzwi do sypialni, poczułam się nieswojo. Wszystko to się działo, jeszcze zanim zaczęłam sobie przypominać, że ojciec wykorzystywał mnie seksualnie, więc nie miałam pojęcia, dlaczego nagle zaczęły mi się pocić ręce, a serce waliło jak oszalałe. Uznałam, że to pewnie przez to, że naruszyłam jego prywatność, weszłam do pokoju, gdzie

ojciec robił z Gillian rzeczy, o których wolałam nie wiedzieć.

Uśmiełam się sama z siebie, wytarłam dłonie o spódnicę i otworzyłam szufladę. Nagle odniosłam wrażenie, że myszkuję, i na dodatek nie byłam w stanie przestać. Zajrzałam do dwóch dolnych szuflad w dębowej komodzie, a potem otworzyłam jedną z dwóch małych, na samej górze, zajmującą połowę szerokości komody. Znajdowało się w niej mnóstwo zdjęć, rzuconych bezładnie na luźny stosik. Wzięłam kilka i zaczęłam je powoli oglądać, ciekawa, co na nich jest. Niemal w tej samej chwili wrzuciłam je z powrotem do szuflady, bo wstrząsnęła mną fala obrzydzenia, silna jak ból. Zorientowałam się, że wszystkie przedstawiają mężczyzn, kobiety, dziewczynki i chłopców w obleśnych scenach seksualnych.

Zatrzasnęłam szufladę i odruchowo przytrzymałam wazon, który zachybotał się niebezpiecznie na szczycie komody. Przelykałam ślinę, starając się złagodzić ostre pieczenie w gardle. Z sercem dudniącym w uszach wybiegłam z pokoju, zapominając zupełnie o swetrze.

Choć bardzo się starałam, nie udało mi się wymazać z pamięci tego, co zobaczyłam tamtego dnia.

Później, gdy zaczęły wracać wspomnienia z dzieciństwa, żałowałam, że nie zabrałam ze sobą kilku zdjęć — dowodu, że mój ojciec wcale nie był tym, za kogo chciał uchodzić. Myślałam, że nikt mi nie uwierzy, jeśli spróbuję ujawnić

prawdę na jego temat. Ale kilka lat po rozstaniu z Tomem okazało się, że nie ja jedna wiedziałam o ojcu rzeczy, których nie miał ochoty nikomu zdradzać.

Któregoś dnia siedziałam w pracy, zadzwonił telefon i nieznajomy męski głos spytał:

— Czy rozmawiam z Katie Matthews?

— Tak, przy telefonie.

— Czy jest pani córką Harolda Matthews? — dopytywał mężczyzna.

Zaniepokoił mnie sposób, w jaki wymówił imię ojca. Od dłuższego czasu nie miałam z nim kontaktu i w pierwszej chwili pomyślałam, że ten człowiek chce mnie poinformować o jego śmierci. Nie potrafiłam określić tego, co czuję.

— Kto mówi? — spytałam.

— Jestem dziennikarzem — wyjaśnił mężczyzna, po czym się przedstawił i powiedział, dla jakiej gazety pracuje. — Czy zechciałaby pani odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących ojca?

— Nie rozumiem. Jakich pytań? — Staralam się ukryć panikę w głosie.

— Związanych ze stawianymi mu zarzutami. Został oskarżony o utrzymywanie współczesnych slumsów — powiedział mężczyzna i dodał jakby mimochodem: — A! No i o seks z nieletnimi dziewczynkami i chłopcami.

Mówił dziwnie lekkim tonem. Parsknęłam, ale zaraz potem spróbowałam zatuszować śmiech kaszlem i chrząkaniem.

— Z chłopcami? — powtórzyłam z niedowierzaniem, choć akurat w przypadku mojego ojca nic nie było w stanie mnie zaskoczyć, bo wiedziałam, że jeśli chodzi o seks, najchętniej spróbowałby wszystkiego przynajmniej raz.

— O? Czyli zaskoczyła panią informacja o chłopcach, ale o nieletnich dziewczynkach już nie. — Zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie. Zdenerwowałam się, bo zdałam sobie sprawę, że każda moja wypowiedź może zostać później „zacytowana”. — Chcemy opublikować artykuł na jego temat — wyjaśnił przyjacielskim, poufałym tonem. — Pomyślałem, że może zechce się pani wypowiedzieć. Że dam pani szansę stanąć w jego obronie... lub wręcz przeciwnie.

Nie miałam wątpliwości, że liczy właśnie na to „wręcz przeciwnie”. Ale to nie dziennikarza się bałam, tylko ojca.

— Nie powiedziałam, że zaskoczyła mnie wiadomość o chłopcach... Ja tylko... Chodzi o to... Wie pan co, bardzo mi przykro, ale nie mam nic do powiedzenia — stwierdziłam i odłożyłam słuchawkę, z której do ostatniej chwili dobiegał głos reportera.

Siedziałam przez moment z rękami założonymi przed sobą w podświadomym geście samoobrony. Zbierało mi się na mdłości i cała się trzęsłam, ale nie byłam pewna, co

właściwie doprowadziło mnie do takiego stanu.

Przez jakiś czas w mediach zrobiło się głośno o ojcu, ale wiedziałam, że bez względu na ujawnione na jego temat potworności ojciec niczego się nie wstydzi i niczego nie żałuje, nawet tego, że omal nie zrujnował życia własnej córce. Mimo zainteresowania mediów na pewno nadal czuł się niezagrożony, bo jak sam mówił: „Jeśli pójde na dno, pociągnę za sobą mnóstwo ludzi. Zawsze powtarzam: ten się śmieje, kto się śmieje ostatni”.

W dalszym ciągu zażywałam lekarstwa, żeby w miarę normalnie funkcjonować. Na ogół czułam się dobrze, ale niekiedy musiałam brać w pracy wolne i odbyć kilka dodatkowych spotkań terapeutycznych z psychiatrą. Chciałam odciąć się wreszcie od przeszłości i żyć dalej, ale musiałam uporać się z tyloma rzeczami i tylu rzeczy jeszcze nie rozumiałam.

Przez całe dzieciństwo ojciec mnie terroryzował, bił i wykorzystywał seksualnie, a co gorsza — choć ciężko rozstrzygnąć, co jest „złe, gorsze i najgorsze” w sytuacji, gdy ktoś molestuje własną córkę — do tego samego zachęcał swoich kumpli. Nikt spośród jego znajomych złego słowa by o nim nie powiedział, bo urządzał rewelacyjne przyjęcia: na ilu imprezach oprócz cygar, narkotyków i najlepszego szampana, który lał się strumieniami przez cały wieczór, proponowano też gościom seks z córeczką gospodarza?

W wieku kilkunastu lat, gdy mój mózg zaczął blokować potworne wspomnienia, których nie był w stanie przyjąć i zrozumieć, czułam się bezwartościowa, brudna i niegodna miłości — i nie miałam pojęcia dlaczego. Skoro wymazałam z pamięci to, co miało największy wpływ na kształtowanie się mojej osobowości, nie pojmowałam, dlaczego jestem nieszczęśliwa i skąd u mnie tyle utajonej złości, a czasem wręcz nienawiści — zarówno w stosunku do samej siebie, jak i każdego, kto mi groził lub źle mnie traktował. Uznałam po prostu, że to ze mną jest coś nie tak i że, jak zawsze powtarzał mi ojciec, to wszystko moja wina.

Gdy wspomnienia zaczęły wracać, poczułam się tak, jakby moje życie legło w gruzach, jak roztrzaskane młotkiem lustro. Udało mi się częściowo je posklejać, ale ciągle jeszcze szukałam maleńkich kawałeczków, które pozwolą mi złożyć je do końca i zobaczyć wyraźnie swoje odbicie. Za każdym razem, kiedy spotykałam ojca — co w tamtym okresie nie zdarzało się często — byłam na niego wściekła i czułam do niego odrazę, której nie potrafiłam wyjaśnić. Skądś jednak zawsze wiedziałam, że to on roztrzaskał lustro młotkiem.

W końcu postanowiłam napisać do niego list o tym, co sobie przypomniałam, i zażądać wyjaśnień. Nie wiem, co według mnie miał mi odpowiedzieć i czy wierzyłam, że przyzna się do tego, co mi zrobił — zwłaszcza że był skrajnie arogancki i nigdy nikogo za nic nie przeproszał ani z niczego

się nie tłumaczył. Tak czy inaczej, napisałam list i przekazałam komuś, z kim ojciec umówił się następnego dnia w restauracji.

Nie powiedziałam posłańcowi, co jest w liście. Podobno ojciec przeczytał go bez słowa. Potem złożył, schował do koperty i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki, mówiąc z urazą i jakby niedowierzaniem:

— W głowie mi się to nie mieści! Nazwała mnie despotą. Nie jestem despotą!

Tylko to go dotknęło. Opisałam dokładnie, jak mnie molestował, i pytałam: „Kim trzeba być, żeby brać ze sobą córkę do kąpieli, wkładać jej głowę pod wodę i kazać jej robić to, co ty mi kazałeś robić? Kim trzeba być, żeby brać ze sobą córkę do łóżka i robić z nią rzeczy, które ty ze mną robiłeś?” Ale najwyraźniej wcale nie przejął się zarzutem, że jest pedofilem, który wykorzystywał seksualnie i prostytuował własną córkę. Zdenerwowało go tylko niesprawiedliwe, jego zdaniem, oskarżenie o despotyzm!

Z perspektywy czasu widzę, że byłam bardzo chora, pisząc do niego ten list, i choć wszystkie zarzuty były prawdziwe, to musiały brzmieć absurdalnie. Mimo to ojciec mi odpowiedział — i to na piśmie, co w jego wypadku było rzadkością, bo w zasadzie nigdy nie pisał listów. Miał zbyt wiele do ukrycia zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym, i dbał o to, żeby nie zostawiać po sobie śladów.

Nawet w liście, który zdecydował się do mnie napisać, do niczego się nie przyznawał. Był na to zbyt przebiegły. List aż roił się od zdań typu: „Zadzwoń do mnie, jeśli chcesz porozmawiać o tym, co wydarzyło się w twoim życiu” i „Wiem, że matka nabija ci głowę głupotami”.

Chyba jednak trochę się zdenerwował, bo mógł przecież zignorować mój list — jak wszystko inne, z czym nie miał ochoty mieć do czynienia. Wiedziałałam, że chciał ze mną porozmawiać. Ale napisał list głównie po to, żeby przekręcić i zniekształcić fakty, żeby nic nie wyglądało tak jak w rzeczywistości. Był w tym naprawdę świetny i miał na swoim koncie liczne sukcesy. Wielokrotnie byłam świadkiem, jak wyprowadza w pole ludzi dużo inteligentniejszych ode mnie, nieobarczonych na dodatek destrukcyjnym, wyniszczającym bagażem emocjonalnym, który ja musiałam dźwigać. Tak więc rozmowa w cztery oczy nie wchodziła w ogóle w rachubę.

Rozdział 14

*M*inęło sporo czasu od rozstania z Tomem, zanim udało mi się spłacić długi i odzyskać płynność finansową. Staralam się znów stanąć na nogi zarówno ze względu na siebie samą, jak i na Sama: nie chciałam, by żył w poczuciu, że jego matka jest wyrzutkiem społecznym, schorowaną kobietą niezdolną do samodzielnego życia. Tak więc mozolnie posuwałam się ku „normalności”, którą postawiłam sobie za cel.

Miałam wrażenie, że zdrowie i chorobę oddziela we mnie niewidoczna linia, wzdłuż której próbuję iść jak linoskoczek, utrzymując chwiejną równowagę i posuwając się ostrożnie naprzód, krok po kroku. Lina pod moimi stopami kołysała się i czasem traciłam równowagę, odchylając się za bardzo w stronę choroby, czasem natomiast spadałam na ziemię i musiałam znów wdrapywać się na linę. Czekałam wtedy, aż przestanie się chybotać i zdołam stanąć na tyle pewnie, by móc na nowo podjąć ostrożną wędrówkę — do czasu, aż znów noga mi się omsknie i spadnę. Problem w tym, że już samo utrzymywanie się na linie wymagało ode mnie

ogromnego wysiłku i nawet gdy mi się zdawało, że stoję stabilnie i jestem względnie bezpieczna, wiedziałam, że w którymś momencie — właściwie całkiem niedługo — znów spadnę.

Tym razem jednak trwałam w „normalności” wystarczająco długo, żeby kupić mały domek, i przez jakiś czas wszystko szło dobrze. Ale nagle lina zahuściła się i nie byłam w stanie się na niej utrzymać — nastąpił nawrót choroby i musiałam przerwać pracę, co oznaczało, że nie starczało mi na rachunki i moje życie znów zaczęło się walić.

Gdy wszystko inne przestawało skutkować, pomagało mi picie: blokowało obrazy i uciszało głosy w mojej głowie — przynajmniej na chwilę. Zaczęłam więc dużo pić. Ale teraz nawet alkohol nie usuwał myśli, z męczącym uporem krążących w mojej głowie. Nie miałam już siły dłużej walczyć. Wydawało mi się to bez sensu, skoro wiedziałam, że za jakiś czas wrócę do punktu wyjścia. W którymś momencie zaczął mnie męczyć wewnętrzny głos, pytający: „Nie lepiej sobie odpuścić?”

W okresach choroby nienawiść do ojca wręcz mnie obezwładniała. Siadałam wtedy z kolanami przyciągniętymi do piersi i oddawałam się ponurym rozmyśleniom. Moi znajomi mieli ojców, którzy starali się ułatwić życie swoim dzieciom, mój natomiast robił, co mógł, żeby jak najbardziej mi je obrzydzić.

Pewnego wieczoru po wypiciu dwóch butelek wina, które w najmniejszym nawet stopniu nie pomogły mi pozbyć się czarnych myśli, niedających mi spać, przedawkowałam. Połączyłam paracetamol z psychotropami, które zamiast zażywać, od wielu dni odkładałam na kupkę. Nie próbowałam się zabić. Chciałam tylko usnąć. Chyba się jednak przestraszyłam, że łyknęłam za dużo i umrę zupełnie sama, a moje ciało zostanie znalezione dopiero po wielu dniach, bo zadzwoniłam do Toma.

Od naszego rozstania minęło już kilka lat, ale wciąż regularnie się widywaliśmy, gdy przyjeżdżałam po Sama lub odwoziłam go do domu. Świeżo po naszym rozejściu się w gorszych chwilach często dzwoniłam do Toma, a on rozmawiał ze mną i starał się mi pomóc. Teraz jednak miał narzeczoną, która spała obok, gdy zadzwoniłam.

— Chryste, Katie — odezwał się Tom zasnętym głosem. — Która godzina?

Zamilkł na chwilę i oczyma wyobraźni zobaczyłam, jak podnosi ze stolika nocnego zegarek.

— Chciałam tylko z kimś pogadać — powiedziałam, ocierając łzy rękawem szlafroka.

— Ale ja nie chcę z tobą gadać. A przynajmniej nie teraz. Nie o takiej porze — szepnął ze złością Tom. — Kładź się spać. I nie dzwoń do mnie więcej o trzeciej nad ranem.

Odłożył z trzaskiem słuchawkę, a ja znieruchomiałam z

telefonem na kolanach. Potem pamiętam już tylko, że jechałam karetką i że był przy mnie Ian.

Siedział przy mnie, póki nie poczułam się lepiej. Miałam zostać w szpitalu do rana. Ian wstał, spojrzął na mnie i powiedział:

— Tom do mnie zadzwonił. Straciłaś przytomność, zanim zdążyłem przyjechać. Musiałem wyważyć drzwi. — Wzruszył ramionami i dodał: — Przepraszam.

— Wiesz, dlaczego to się stało, prawda? — spytałam. — Wiesz, co tata mi robił...

Ian odsunął się od łóżka.

— Nie chcę rozmawiać o naszym dzieciństwie — oznajmił. — Nigdy. To już przeszłość, Katie. I nie ma żadnego wpływu na teraźniejszość.

— Dla mnie ma — sprzeciwiłam się. Usiłowałam unieść głowę znad poduszki, żeby na niego spojrzeć, ale czułam się tak, jakby ktoś usunął mi z szyi wszystkie mięśnie. — Ma wpływ na każdą minutę, na każdy dzień mojego życia. Chciałabym o tym zapomnieć. Chciałabym, żeby to nigdy się nie wydarzyło i żebym sobie o tym nie przypominała. Ale...

— Przykro mi, Katie. — Ian włożył ręce do kieszeni kurtki i zgarbił się, jakby pod wpływem niewidzialnego podmuchu. — Muszę lecieć. Dbaj o siebie. I pamiętaj, że samobójstwo to żadne rozwiązanie.

Z tymi słowami wyszedł, a ja chwilę później zapadłam

wreszcie w głęboki sen.

Nigdy nie byłam blisko z bratem. Miał żonę i małe dziecko, ale rzadko się kontaktowaliśmy. Musiał się jednak zorientować, że jestem u kresu wytrzymałości, bo podobno zwrócił się do ojca:

— Niedługo stracimy Katie. Targnęła się na własne życie. Przedawkowała leki i próbowała się zabić. Poza tym jeśli szybko nie dostanie zastrzyku gotówki, znów zabiorą jej dom.

Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu ojciec zgodził się spłacać za mnie kredyt, póki nie stanę na nogi. Jak to on, nie potrafił nic zrobić w prosty i bezpośredni sposób, więc pieniądze trafiały do mnie bardzo okreśną drogą. Dawał je co miesiąc Gillian, która — w tym okresie już trzecia pani Matthews — chowała je do koperty z moim imieniem i przekazywała mojej bratowej, która z kolei dostarczała je mnie. Tak to się przynajmniej odbywało przez trzy miesiące, póki ojciec nie stracił zainteresowania sprawą i nie odciął dopływu gotówki.

Nadszedł termin zapłaty kolejnej raty za dom, a ponieważ ani mój brat, ani jego żona się do mnie nie odezwali, odczekałam kilka dni i zadzwoniłam do ojca.

— Nie dostałam w tym miesiącu pieniędzy na spłatę kredytu — poinformowałam.

Wkurzało mnie, że muszę go o cokolwiek prosić — choć Bóg jeden wie, że był mi winien tyle, że przez całe życie nie

zdołałby tego spłacić. Świadomość, że błagam go o pomoc, wywołała we mnie taką wściekłość, że nie czekając na odpowiedź, wrzasnęłam:

— Nie mógłbyś choć raz zachować się jak na ojca przystało? Nie mógłbyś mi pomóc? Zabiorą mi dom!

Powinnam była wiedzieć, że tracę czas, usiłując odwołać się do jego poczucia ojcowskiego obowiązku, o ile w ogóle wiedział, co to takiego. Podobnie jak cała reszta spraw, które nie oznaczały dla niego bezpośredniej przyjemności lub jakiegoś rodzaju osobistych korzyści, idea „ojcostwa” nie interesowała go w najmniejszym nawet stopniu. Choć na prośbę mojego brata przez jakiś czas mi pomagał, to tak naprawdę miał moje problemy w głębokim poważaniu. Przestał mi więc przysyłać pieniądze i straciłam dom.

Wpadłam w błędne koło i nie widziałam sensu dalszej walki. Znowu zachoruję i będę musiała odejść z pracy, a potem dojdę (jako tako) do siebie, znajdę nową posadę i będzie mnie stać na przyzwoite lokum. A potem znowu zachoruję i stracę pracę... Niezależnie od tego, jak bardzo się starałam, nie mogłam wyplątać się z tej matni. Nie miałam też raczej zbyt wielkich szans na normalne życie w przyszłości.

Przez wiele lat byłam głęboko nieszczęśliwa i nie rozumiałam dlaczego, póki po urodzeniu Sama nie nastąpił pierwszy atak choroby. Choroba obudziła wspomnienia,

które uświadomiły mi, dlaczego czułam się zawsze tak, jak się czułam. Problem w tym, że nie dało się wymazać z pamięci raz przywołanych wspomnień, co w pewnym sensie oznaczało, że tak naprawdę zamieniłam nieszczęście, którego powodów nie znałam, na nieszczęście, spowodowane przeżyciami tak potwornymi, że ciężko to sobie wyobrazić.

Czasem mój ojciec kazał Gillian dzwonić do mnie i zapraszać na obiad czy kolację u nich w domu albo w restauracji. Siedziałam wtedy i patrzyłam, jak rozkoszuje się jedzeniem, pije drogiego szampana i rozśmiesza wszystkich zabawnymi historyjkami. Nie miałam wątpliwości, że wśród znajomych budzi podziw, a nawet zazdrość, podczas gdy mnie z nienawiści czasem aż trzęsły się ręce.

Po utracie domu wyszłam pewnego dnia z wynajmowanego mieszkania, zeszłam po schodach obskurnej klatki schodowej i udałam się przez miasto do wielkiej, imponującej wiktoriańskiej kamienicy, w której pracował ojciec. Recepcjonista rozpoznał mnie i przywitał, gdy mijałam jego stanowisko w drodze na szerokie, kręcone schody prowadzące na pierwsze piętro. Ale zamiast udać się prosto do gabinetu ojca, wślizgnęłam się niepostrzeżenie do wyłożonej dębową boazerią biblioteki.

Pomieszczenie było skąpane w złotawym świetle, które rzucało na błyszczącą drewnianą posadzkę wyraźne cienie wysokich okien. Przysiadłam na brzegu jednego z mocno

wypchanych, skórzanych foteli o wysokich oparciach. Przycisnęłam do siebie torebkę i wciągnęłam w płuca lekko zatechły zapach starych książek, stojących rzędami wzdłuż wszystkich ścian. Gwałtownie nabrałam powietrza, wstałam i wyszłam z biblioteki. Pokryty czerwoną wykładziną korytarz doprowadził mnie do gabinetu ojca.

Otworzyłam drzwi, sekretarka podniosła głowę z przyjaznym, profesjonalnym uśmiechem, który na mój widok zamienił się w wyraz zaskoczenia. Była starsza od wszystkich poprzednich sekretarek ojca — co najmniej w średnim wieku. Miała włosy w mysim odcieniu i wyraźną szparę między zębami, widoczną w uśmiechu, który znów pojawił się na jej twarzy, choć teraz mniej szeroki.

— Witaj, kochanie — przywitała się. W jej głosie pobrzmiwała nutka protekcjonalności, ale może po prostu zaskoczyła ją niespodziewana wizyta, która zaburzyła jej dobrze zorganizowany i uporządkowany dzień. — Szukasz taty? — spytała, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodała: — Obawiam się, że go nie ma. Jest na spotkaniach. Ale chyba się ciebie nie spodziewał, prawda?

Przekartkowała duży, oprawiony w skórę terminarz, jakby szukała przeoczonej wzmianki o umówionym spotkaniu, ale jej mina świadczyła wyraźnie, że robi to tylko przez wzgląd na mnie, bo przecież w jej królestwie nic nie mogło umknąć jej uwagi.

— Nie, nie. Ja tylko... byłam akurat w pobliżu — wyjaśniłam. — Nic nie szkodzi. Przyjdę innym razem.

Odwrociłam się do drzwi i złapałam za klamkę, chcąc jak najszybciej się stąd wydostać, zanim będzie próbowała mnie zatrzymać. Rzuciłam się na schody i mijając wyłożone marmurem lobby, wybiegłam na dwór.

Gdy znalazłam się już w bezpiecznej odległości od biura, przystanąłam i obejrzałam się przez ramię, chcąc sprawdzić, czy nikt mnie nie goni. Następnie wpadłam do budki telefonicznej, wciąż przyciskając torebkę do piersi. Wybrałam palcem wskazującym numer i odczekałam dwa, trzy sygnały.

— Bądź w domu. Błagam, odbierz — szeptałam do słuchawki. Dokładnie wtedy sygnał ucichł i usłyszałam głos Jenny.

— Halo?

— Jenny. — Zaczęłam bezgłośnie płakać.

— Halo, kto mówi? — odezwała się z poirytowaniem Jenny, ale jej głos szybko się zmienił, gdy powiedziała: — Katie? To ty? Powiedz coś. Wszystko w porządku? Co się dzieje? Odezwij się, Katie.

— Możesz po mnie przyjechać? — poprosiłam tonem nieszczęśliwego dziecka.

— Co się dzieje? — Słysząc było, że Jenny stara się zapanować nad głosem. — Coś się stało? Gdzie jesteś?

— W pobliżu biura mojego ojca. W budce na rogu. Mam... mam ze sobą nóż. — Załkałam głośniejsze i zacisnęłam mocniej rękę na torebce.

— Posłuchaj mnie, Katie. Słyszysz mnie? — Jenny mówiła powoli, jakbym była opóźnionym lub nie na żarty przerażonym dzieckiem.

— Tak — szepnęłam.

— Zostań tam, gdzie jesteś, dobrze? Nie ruszaj się z miejsca. Rozumiesz mnie? Obiecuj, że zostaniesz w budce, póki po ciebie nie przyjadę. — Urwała, ale po chwili powtórzyła: — Obiecuj.

— Obiecuję — powiedziałam i połączenie zostało przerwane.

Nie wiem, jak długo czekałam w budce, skulona na podłodze, przyciskając do siebie torebkę, ale Jenny w końcu się zjawiła i zabrała mnie do domu.

Kazała mi się położyć na kanapie, nakryła mnie kocem i powiedziała, żebym spróbowała zasnąć. Żadna z nas ani słowem nie wspomniała o tym, z czego obie doskonale zdawałyśmy sobie sprawę: że gdyby ojciec był tego dnia w biurze, to próbowałabym go zabić.

I to nie był jedyny raz, gdy chciałam to zrobić. Pewnego wieczoru byłam u Jenny na kolacji. Nagle poderwałam się z miejsca, przewracając krzesło i obijając się o stół. Cały dzień kręciło mi się w głowie i czułam się dziwnie zubożona.

Choć w tamtym okresie przyjmowałam silne leki, to piłam do kolacji i bez końca mówiłam o ojcu.

Czasem wpadałam w obsesję na jego punkcie. Wystarczyła jakaś niewinna uwaga albo zapach, który przywoływał niewyraźne wspomnienia, żebym zaczęła o nim maniakalnie myśleć, nie będąc w stanie skoncentrować się na niczym innym. Tak właśnie się stało tamtego wieczoru, a Jenny i jej mąż Neil starali się mnie zagadać i zmienić temat. Raz uruchomionej lawiny nie dało się jednak zatrzymać. Było już za późno.

Gdy wstałam od stołu, Neil też się podniósł. Ale zanim dołączył do mnie w kuchni, zdążyłam chwycić duży nóż, którym dźgnęłam, gdy odwracałam się do Neila.

— Chcę jechać do ojca — oznajmiłam.

Neil cofnął się na wszelki wypadek i wyciągnął przed siebie ręce, wnętrzem dłoni do dołu, chcąc mnie uspokoić.

— Katie — zaczął. — Odłóż nóż. Przecież nie chcesz zrobić nikomu krzywdy, nawet swojemu ojcu. Naprawdę nie warto.

— Mam to gdzieś! — wrzasnęłam tonem rozzłoszczonego dziecka. — Zabiję go. Zrujnował mi życie. Wszystko mi odebrał. Ja nie mam nic, a on siedzi sobie w swoim wielkim domu, świetnie się bawi i pozwala się wszystkim podziwiać za to, że jest niby taki mądry i wspaniały. Skoro ja nie mogę odzyskać swojego życia, to on też na nie nie zasługuje.

— Błagam cię, Katie. Odłóż nóż. — Jenny stanęła w

kuchennych drzwiach za mężem.

Zignorowałam ją i wrzasnęłam na Neila:

— Zawieź mnie do ojca! — Podeszłam do niego z nożem w ręce.

— Okej. Okej. — Sięgnął powolutku po kluczyki leżące na kuchennym blacie, a ja dostrzegłam przestraszoną twarz Jenny.

Kiedy tylko zajechaliśmy pod dom ojca, od razu się zorientowałam, że go nie ma. Z podjazdu zniknął samochód, a duża, podwójna brama była zamknięta na cztery spusty, co zdarzało się tylko wtedy, gdy dom świecił pustkami. Neil zawrócił i zawiózł mnie z powrotem do siebie. Zostałam u nich na noc. Dopiero po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że i tak nie dopuściłby, żeby ojcu stała się krzywda. Neil zawiózł mnie pod jego dom, bo bał się, że i tak sama się tam dostanę lub zrobię krzywdę sobie. Liczył też na to — całkiem słusznie, jak się okazało — że gra na zwłokę pozwoli mi się trochę uspokoić.

A ja chciałam tylko w jakiś sposób zakończyć tę męczarnię. Od wielu lat chodziłam na terapię, odkąd zaczęły wracać wspomnienia, ale wciąż śniły mi się koszmary. Miałam wrażenie, że od zawsze bałam się nadejścia nocy — jako dziecko, kiedy chowałam się w szafie i nakrywałam głowę prześcieradłem, błagając w duchu, żeby ojciec mnie nie zauważył, gdy przyjdzie i otworzy szafę; i jako dorosła

kobieta, kiedy bałam się zamknąć oczy, bo nawiedzały mnie wywołane wspomnieniami koszmary.

Po rozwodzie rodziców i zasądzeniu alimentów ojciec ogłaszał niewypłacalność za każdym razem, gdy zanosilo się na to, że będzie musiał płacić. Przepisywał prawie cały majątek na kogoś innego, ostatnimi czasy na Gillian. Tak więc na papierze z pozoru nic nie miał.

Matka nie dopominała się nigdy o zasądzone alimenty. Wiedziała, że determinacja ojca, aby nie płacić, jest dużo większa niż jej chęć wydobycia z niego należnych pieniędzy. Nie miała ochoty na długą, ciężką przeprawę, jaka by się z tym wiązała. Zmieniła jednak zdanie po tym, jak opowiedziałam jej, że w dzieciństwie ojciec wykorzystywał mnie seksualnie. Uznała, że skoro wtedy w żaden sposób temu nie zapobiegła — choć nie miała o niczym pojęcia — to musi zrobić coś teraz. I postanowiła stanowczo walczyć o to, co jej się prawnie należało.

Ojciec zadzwonił do mnie zaraz po tym, jak mama wysłała mu za pośrednictwem adwokata wezwanie do sądu.

— Nie dostaniesz ode mnie ani grosza! — wrzasnął, gdy tylko podniosłam słuchawkę.

Ponieważ nie spodziewałam się usłyszeć jego głosu, zadrżałam na całym ciele i zacisnęłam mimowolnie oczy. Coś kazało mi nagle włączyć nagrywanie na automatycznej sekretarce.

— Ta suka, twoja matka, nic nie dostanie. Rozumiesz? — darł się jak opętany. — Nic! Żaden sąd nie zmusi mnie, żebym cokolwiek jej zapłacił. Nie ma szans. Skoro stać ją na prawnika, to znaczy, że niczego jej nie brakuje. Obie jesteście takie same: leniwe i beznadziejne. Wydaje się wam, że możecie zerować na mężczyznach, że jesteśmy tu po to, żeby dawać wam pieniądze, a wy w tym czasie możecie siedzieć sobie z założonymi rękami i mieć wszystko w dupie!

Te zarzuty były podwójnie niesprawiedliwe: to sąd zadecydował, że ojciec ma płacić mamie alimenty, póki byłam dzieckiem, czego nigdy nie robił; jeden jedyny raz poprosiłam go, żeby mi pomógł spłacać dom w okresie, kiedy choroba uniemożliwiła mi pracę — choroba, do której się przyczynił. Jego groźby i agresywny ton jak zwykle mnie zestresowały. Ale tym razem miałam poczucie satysfakcji, bo udało mi się wykazać większym sprytem i nagrać jego wrzaski na sekretarce. Mogłam dzięki temu udowodnić, jaki jest naprawdę.

Gdy wahadło rządzące moim życiem znów odchyliło się w stronę „normalności” i odzyskałam dobre samopoczucie, dostałam fajną pracę w dziale sprzedaży przestrzeni reklamowych pewnego czasopisma. Naprawdę podobała mi się ta robota. Lubiłam ludzi, z którymi pracowałam, i dobrze wywiązywałam się ze swoich obowiązków, dzięki czemu szybko awansowałam. Pewnego dnia, ni z tego, ni z owego,

skontaktował się ze mną ojciec — a właściwie Gillian, której kazał do mnie zadzwonić.

— Twój ojciec pyta, czy nie miałabyś ochoty wpaść do nas na kolację — powiedziała, bezskutecznie starając się, by zabrzmiało to naturalnie, choć nie widziałam się z ojcem od miesiący.

— Serio? A po co?

W moim głosie wyczuwało się zaskoczenie i lekką podejrzliwość, a w odpowiedzi Gillian zażenowanie.

— Słyszeliśmy, że świetnie sobie radzisz w nowej pracy i ojciec chciałby się chyba dowiedzieć, co u ciebie słyhać. No i oczywiście chciałby się z tobą zobaczyć. Strasznie dawno się nie widzieliśmy.

— No dobrze — odparłam. Wydaje mi się, że Gillian musiała wyczuć wzruszenie ramion, którym wyraziłam swój brak entuzjazmu wobec otrzymanego zaproszenia.

Kilka dni później zjawiłam się u nich w domu o umówionej godzinie, a ojciec przywitał mnie tak jak zwykle, jeśli akurat się na mnie nie gniewał: nadstawił policzek do pocałowania. Podczas kolacji nie mówił o niczym istotnym, co kazało mi się jeszcze intensywniej zastanawiać nad tym, po co mnie w ogóle zaprosił. Ojciec nigdy w życiu za mną nie tęsknił, więc skoro teraz udawał, musiał mieć ku temu jakiś powód. W pewnym momencie, gdy Gillian sprzątała talerze ze stołu, ojciec oparł się wygodnie, założył przed sobą ręce i

powiedział:

— To może porozmawiamy o twoim dzieciństwie? — Mówiąc to, roześmiał się paskudnym, szyderczym śmiechem, jakby rzucił mi właśnie wyzwanie.

— Nie chcę o tym rozmawiać — odparłam, przełykając ślinę, która napłynęła mi do ust, i modląc się, żeby nie wymiotować na stół.

Ojciec znów się roześmiał, ale zmienił temat. Gdy kończyliśmy kolację i piliśmy wino, on jak zwykle zabawiał towarzystwo rozmową. Przy deserze spytał mnie od niechcienia o problemy związane ze sprzedażą domu. Podczas kupna mój doradca nie zwrócił uwagi na zawilgocone mury, więc ostatecznie musiałam sprzedać dom ze stratą i dochodzić odszkodowania od prawnika, do czego podeszłam z niewielkim zapalem.

— Nie martw się — powiedział ojciec, odkładając serwetkę na krzesło. — Poproszę znajomych prawników, żeby się tym zajęli. Wszystko załatwią.

— Dzięki — burknęłam, nie przykładając specjalnej wagi do jego słów, bo wiedziałam, że propozycje pomocy ojca rzadko kiedy dochodzą do skutku.

— Chyba czas się zbierać — stwierdził nagle, odkładając serwetkę na stół i odsuwając krzesło. — Gillian ma cię odwieźć, a wygląda na zmęczoną.

Wstałam i zdjęłam z oparcia krzesła torebkę.

— Aha. Zanim pójdziesz, przyniosę kartkę. — Podszedł do dębowej komody pod ścianą, pogrzebał chwilę w górnej szufladzie i powiedział: — O! Już mam. — Wrócił do stołu i znów usiadł.

Otworzył pióro, napisał coś zamasyście, a potem podsunął mi kartkę i podał pióro.

Przeczytałam, co napisał: „Ja, Katherine Matthews”.

— Ty tylko podpisz, a ja uzupełnię później resztę — zaproponował.

— Ale co uzupełnisz? — spytałam. — Nie rozumiem, o co chodzi. Co to jest?

— Przecież mówiłem — wyjaśnił, machając lekceważąco ręką. — Może uda mi się jakoś rozwiązać problem z twoim prawnikiem w związku z tym zawilgoceniem. Później wypiszę upoważnienie. Musisz się tylko podpisać, żebym mógł załatwić sprawę bezpośrednio z prawnikiem. — Roześmiał się złośliwie i dodał: — Czyżbyś od wszystkich tych leków miała dziury w głowie?

— Ale ja nie... — Nie wiedziałam, co powiedzieć. To nie było w stylu ojca: zajmować się moimi problemami. Udawał, że się nimi przejmuje wyłącznie wtedy, gdy chciał pokazać innym, jaki z niego wspaniały i opiekuńczy ojciec. Ale nigdy nie dotrzymywał obietnic, a jego dobre intencje — o ile faktycznie je miał — kończyły się wraz ze zniknięciem publiczności. Tak więc coś tu było nie tak.

— No! Nie będziemy tu sterczeć całą noc — zauważył. Uśmiechnął się szybko, żeby zamaskować zniecierpliwienie w swoim głosie i dodał: — Biedna Gillian chciałaby się położyć. — Spojrzał na Gillian z obłęsnym, znaczącym uśmiechem, a ona spuściła oczy. — Tylko podpisz. — Wskazał palcem odpowiednie miejsce, a ja napisałam swoje nazwisko.

W jednej chwili, zanim nawet zdążył obeschnąć atrament, stracił zainteresowanie tematem. Wygładził kartkę, pożegnał się i wyszedł z pokoju.

W drodze do domu Gillian starała się zamaskować skrępowanie sztuczną wesołością. Dwadzieścia minut później zamknęłam drzwi do mieszkania, zastanawiając się, co knuje mój ojciec.

Nie kontaktował się ze mną od wielu miesięcy. Myślałam więc, że zaprosił mnie dlatego, że miał mi coś do powiedzenia lub, co bardziej prawdopodobne, że chciał dowiedzieć się czegoś ode mnie. Ale odtwarzając w myślach przebieg rozmowy, nie mogłam przypomnieć sobie nic, co mogło go zainteresować lub mieć dla niego jakąś wartość. Uznałam, że pewnie chciał się dowiedzieć czegoś na temat mojej pracy w czasopiśmie i ocenić, czy może mu się na coś przydać — lub w czymś mu zagrozić. Jak zwykle nie było sensu domyślać się jego prawdziwych intencji. Wyjdą na jaw z czasem.

Trzy tygodnie później zadzwoniłam do swojego prawnika z pytaniem, czy kontaktował się z nim mój ojciec.

— Pani ojciec? — upewnił się mężczyzna. — Nie. Czemu miałyby się ze mną kontaktować?

— W związku z zawilgoceniem domu — wyjaśniłam. — Choć właściwie to niekoniecznie musiał być mój ojciec. Mówił chyba, że przekaże sprawę jednemu ze swoich adwokatów, który skontaktuje się z panem i załatwi sprawę.

— Nie bardzo rozumiem. — W głosie prawnika słysząc było zdziwienie. — Nikt się ze mną nie kontaktował.

Czyli to by było tyle. Ojciec nie zrobił nic, żeby mi pomóc. A więc wciąż pozostawało tajemnicą, po co tak naprawdę kazał mi złożyć podpis na pustej kartce.

Rozdział 15

*K*iedy odzyskałam pamięć, nareszcie wyjaśniło się, dlaczego zawsze się obawiałam, że gdyby prawda o mnie wyszła na jaw, to okazałoby się, że mam w sobie coś przerażającego i odstręczającego. Wtedy uświadomiłam sobie, dlaczego zawsze czułam się brudna i dziwnie nieczysta. Na dłuższą metę pewnie lepiej mieć taką wiedzę, ale skutek uboczny był taki, że zaczęłam pić wybielacz.

Za pierwszym razem pociągnęłam tylko dwa łyki, licząc, że uda mi się w ten sposób oczyścić wewnętrznie i pozbyć ciemnych, obrzydliwych plam. Wybielacz był paskudny w smaku i boleśnie parzył usta i gardło. Ale to dobrze, bo dzięki temu mogłam znów zrobić sobie krzywdę, ukarać się za... nie wiem właściwie, za co.

Miałam wrażenie, że przełykam czysty kwas, a żołądek ściska mi ogniste palce. Kucnęłam i oddychając ciężko, czekałam, aż ból trochę zelżeje. Nagle wstrząsnęły mną torsje i zaczęłam wymiotować krwią. Ale mimo bólu i straszego pieczenia w środku miałam poczucie satysfakcji,

gdy wyobraziłam sobie przepływający przeze mnie wybielacz — zmywał cały brud, który osiadł w moim wnętrzu.

Potem piłam wybielacz przynajmniej raz w tygodniu przez około półtora roku. Choć przełykaniu towarzyszył potworny ból i krew natychmiast napływała mi do ust, a później pojawiała się też przy wypróżnianiu, to jednak czułam się lepiej, czułam się czystsza — przynajmniej przez chwilę. Ból fizyczny przyćmiewał ból duszy, choć efekty rozczarowywały zawsze swoją krótkotrwałością, a wybielacz siał nieodwracalne spustoszenie w moim organizmie. Do tej pory muszę przyjmować codzienną porcję związanych z tym leków.

Gdy przedawkowałam po raz pierwszy, wcale nie chciałam się zabić. Ale pewnego ranka obudziłam się z uczuciem, że coś we mnie umarło. Z dnia na dzień zmęczenie przerodziło się w kompletne wyczerpanie ciągłą walką w nadziei, że coś się zmieni na lepsze. Postanowiłam zakończyć to raz na zawsze. Ostatnie tygodnie znów upływały pod znakiem czarnej rozpacz i wiedziałam, że nie mogę dłużej udawać, że wszystko jest okej.

Płakałam na myśl, że już nigdy nie zobaczę Sama. Wiedziałam jednak, że jest szczęśliwy z tatą, ja natomiast czułam, że nie mam mu nic do zaoferowania i lepiej mu będzie beze mnie. Pomyślałam też o Jenny, która trwała wiernie przy mnie i wspierała od czasów szkolnych. I choć

wiedziałam, że będzie na mnie zła za to, co zamierzam zrobić, to nawet przez chwilę nie pomyślałam, że mogę jej tym sprawić autentyczny ból. Pod względem psychicznym żyłam dosłownie we własnym świecie. Podczas nawrotów choroby koncentrowałam się wyłącznie na sobie: wszystko wokół sprowadzało się do tego, co bezpośrednio mnie dotyczyło, więc nie byłam w stanie sobie wyobrazić, jak moje zachowanie wpłynie na innych — zwłaszcza gdybym się zabiła.

Tego ranka byłam przekonana, że tylko odbierając sobie życie, zakończę wreszcie tę straszną, niekończącą się walkę, którą musiałam toczyć każdego dnia. Nie opuszczały mnie wspomnienia tego, co ojciec robił mi w dzieciństwie. Nie byłam w stanie w żaden sposób się od tego odciąć, choć leki przynosiły niejaką ulgę. Alkohol czasem też. Za każdym razem, gdy zaczynałam czuć się trochę lepiej i myśleć, że może któregoś dnia stanę wreszcie na nogi i zrobię coś ze swoim życiem, pojawiała się nowa przeszkoda. Tym razem były to żywe obrazy z przeszłości, które wciągały mnie coraz głębiej w mroczne otchłanie beznadziei. Byłam przekonana, że pociągam w nią za sobą bliskie mi osoby.

Trudno wyjaśnić, jak oddziaływały na mnie sceny z przeszłości — a także inne wspomnienia. Wyniszczała mnie na pewno ich uporczywość. Zwykle wyglądając przez okno, widzisz to, co się za nim znajduje: domy, pola, drzewa... Ale

gdziekolwiek ja patrzyłam, widziałam obrazy podsuwane mi przez mój znękaný umysł: ojca, który nachyla się nade mną w łóżku lub przygniata mnie ciężarem ciała tak, że nie mogę oddychać, lub wpycha mi w wannie głowę pod wodę i przytrzymuje tak długo, aż brak tlenu omal nie rozrywa mi płuc.

Podczas nawrotów choroby te wizje zawsze mi towarzyszyły, gdziekolwiek spojrzałam i cokolwiek robiłam. Podobnie było z lękiem — nieokreślonym, bliżej niezdefiniowanym strachem, który niekiedy wręcz obezwładniał mnie swoją siłą — i obrzydzeniem do samej siebie. Wszystkie te obrazy i emocje kotłowały się nieustannie w mojej głowie, jak rzeczy wrzucone do wiecznie wirującej pralki. Chciałam to przerwać, odciąć się raz na zawsze od wszystkiego, czego nie chciałam widzieć i o czym nie chciałam myśleć. Nie znałam innego sposobu.

Od tygodni robiłam zapasy tabletek: głównie paracetamolu i chlorpromazyny, leku psychotropowego, który powinnam zażywać codziennie. Poszłam do kuchni i zaczęłam je łykać pojedynczo, popijając wodą. Oczyma wyobraźni widziałam ojca przy starym zlewie kuchennym w domu, w którym mieszkaliśmy w czasach mojego dzieciństwa. Stał ze szklanką w dłoni i uśmiechał się okrutnie jednym kącikiem wąskich ust. „Beznadzieja” — powiedział i wybuchnął śmiechem, odrzucając w tył głowę.

Kuchnia zaczęła powoli wirować; zakręciło mi się w głowie i zrobiło niedobrze. Ojciec miał rację: faktycznie byłam do niczego. Jako zły, beznadziejny człowiek tylko przysparzałam cierpienia bliskim. Powinnam umrzeć.

Sięgnęłam do stojaka znajdującego się na kuchennym blacie tuż pod małym okienkiem; zacisnęłam palce na drewnianej rączce noża, wysunęłam go z przegródki i przytrzymałam przez chwilę w wyciągniętej ręce. Potem zaczęłam robić małe nacięcia po wewnętrznej stronie ręki, tnąc i kalecząc skórę w nadziei, że upuszczę w ten sposób choć odrobinę bólu, który od zawsze w sobie nosiłam.

Zalała mnie nagła fala mdłości i musiałam przytrzymać się stołu. Dokładnie wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Chwiejnie poszłam otworzyć. Na mój widok koleżanka Debs wydała z siebie głuchy okrzyk i cofnęła się o krok, wytrzeszczając z przerażenia oczy.

— Jezus Maria, Katie! Co ty wyczyniasz?

Podążyłam za jej zszokowanym spojrzeniem i zobaczyłam nóż, który wciąż ścisnęłam w dłoni, i ociekającą krwią rękę. A potem chyba zemdlałam.

Gdy odzyskałam przytomność, zobaczyłam nieznajomą twarz i usłyszałam głos, mówiący:

— No, wróciłaś do nas. Chodź, skarbie. Zapakujemy cię do samochodu.

Chwilę później leżałam bezwładnie na tylnym siedzeniu

radiowozu, który przedzierał się przez zakorkowane miasto do szpitala.

W szpitalu oczyszczono mi rany, zaaplikowano zastrzyk i przewieziono karetką na oddział zamknięty szpitala psychiatrycznego. Choć nie chciałam znów zostać zamknięta, to nie stawiałam oporu. Usiłowałam się zabić, bo byłam do niczego, byłam tak nieszczęśliwa, że przerażała mnie myśl o kolejnym dniu. Ale nie udało mi się, co tylko dowodziło, że faktycznie byłam do niczego. Uznałam więc, że zasługuję na wszystko, co ze mną zrobią.

Pobyt na oddziale zamkniętym okazał się jednak dużo gorszy, niż pamiętałam. W tak poważnym przypadku jak mój człowiek boi się wszystkiego. Czułam się kompletnie bezbronna. Jakby wszystkie moje myśli i wyobrażenia znalazły się na karteczkach, które wiatr rozwiewał za każdym razem, gdy próbowałam po nie sięgnąć. Wiedziałam tylko jedno: nikomu nie mogę zaufać. Miałam pewność, że wszyscy w szpitalu chcą zmylić moją czujność — aplikowali mi w tym celu zastrzyki na „uspokojenie” i udawali troskę i wyrozumiałość — a kiedy tylko przestanę się mieć na baczności, to... nie miałam pojęcia, co właściwie zamierzają, ale wiedziałam, że nie wolno mi stracić czujności.

Błagałam wszystkich: pielęgniarki, mamę i innych odwiedzających, żeby pozwolili mi wyjść.

— Sami widzicie, że to nie miejsce dla mnie —

przekonywałam i obiecywałam im wszystko za pomoc w ucieczce. Odpowiadali mi zawsze tym samym znienawidzonym, babcinym głosem:

— Musisz zostać, Katie. Jesteś tu dla własnego dobra, żebyś mogła wyzdrowieć.

A ja wtedy bałam się jeszcze bardziej, bo wiedziałam, że wszyscy spiskują przeciwko mnie i chcą mnie zatrzymać w szpitalu wbrew mojej woli.

Mama chyba jednak zgadzała się ze mną i pewnego dnia, gdy przyszła w odwiedziny, rozplakała się i — tak jak już kiedyś zrobiła, gdy wylądowałam w szpitalu psychiatrycznym po raz pierwszy — powiedziała pielęgniarce, że nie powinni mnie trzymać razem z tymi wszystkimi chorymi psychicznie ludźmi. A ja później znów zdałam sobie sprawę, że obie się myliłyśmy i powinnam przebywać w szpitalu, bo też byłam chora psychicznie.

Mamie musiało być ciężko widzieć mnie w takim stanie wśród pacjentów, którzy zachowywali się czasem brutalnie i agresywnie, ale zwykle niespecjalnie się ode mnie różnili. Nie myślałam wtedy jednak o cierpieniu mamy, ale wyłącznie o sobie. Zostałam więźniem własnego umysłu — a było to naprawdę przerażające miejsce.

Gdy stało się jasne, że nikt nie pomoże mi się stąd wydostać, zaczęłam podejmować próby ucieczki. Tak jak wcześniej, podczas półrocznego pobytu w szpitalu po

urodzeniu Sama, potrafiłam godzinami stać pod zamkniętymi drzwiami, odgradzającymi oddział od długiego korytarza wychodzącego na świat, i czekać na możliwość ucieczki. Podczas ostatniego pobytu udało mi się kilkakrotnie wydostać ze szpitala, ale nie tym razem. Koniec końców nie miało to jednak większego znaczenia, bo i tak nie zostałam tam długo.

Lekarze musieli ustalić odpowiednią dawkę lekarstwa, a kiedy im się udało i lek zaczął działać, uznano, że mój stan jest na tyle dobry, że można mnie wypisać do domu. Nie mogłam jednak wrócić do pracy zawodowej i nie podjęłam jej przez kolejne trzy lata. Chodziłam natomiast regularnie na terapię i postawiłam sobie za cel nie wybiegać myślami naprzód dalej niż jeden dzień.

Przed moimi oczami wciąż pojawiały się sceny z przeszłości i wciąż miewałam koszmary, co oznaczało, że zarówno na jawie, jak i we śnie głowę wypełniają mi potworne sceny z życia dziecka, które było mną, choć wydawało się kimś obcym. Czułam, że mam obowiązek go pilnować i zapewnić mu bezpieczeństwo. Ale nie mogłam go chronić, bo choćbym nie wiem jak się starała, nie byłam w stanie do niego dojść. Oglądałam więc w kółko ten sam film, zapętłony w mojej głowie, który sprawiał, że coraz bardziej nienawidziłam ojca. Nie kochał mnie i nigdy mu na mnie nie zależało, i chyba nawet trudniej mi było żyć z tą

świadomością niż ze świadomością całej reszty.

Bywały dni, że nie potrafiłam skupić się na niczym na tyle długo, żeby zyskać jakikolwiek kontakt z rzeczywistością. Czasem siedziałam w domu na kanapie, wyciągałam przed siebie ręce tak, by odwrócone wnętrzami do góry dłonie stykały się ze sobą, i wyobrażałam sobie, że życie przecieka mi między palcami jak woda. Ogarniało mnie wtedy przerażenie i chciało mi się płakać, a za każdym razem, gdy próbowałam wyobrazić sobie swoją przyszłość, widziałam tylko pustkę i ciemność.

Z czasem jednak, gdy jak Alicja z Krainy Czarów spadłam już na samo dno głębokiej dziury i znalazłam się w pełnym absurdu świecie chaosu i szaleństwa, zaczęłam powoli wdrapywać się na górę, w kierunku ledwo widocznego światła. Często gubiłam krok, zaczynałam się zsuwać i szukać czegoś, czego mogłabym się złapać. Myślałam o Samie i o tym, że gdybym się zabiła, mógłby żyć w przekonaniu, że go nie kochałam. Ta myśl dodawała mi sił i nie pozwalała się poddać.

Zaczęłam odczuwać stopniową poprawę, początkowo niemal niezauważalną. Nowa dawka lekarstwa pomagała usunąć z głowy męczące obrazy, dzięki czemu zrobiło się wystarczająco dużo przestrzeni na myślenie o innych rzeczach, w końcu zaś wydobrzałam na tyle, aby zostać wolontariuszką. Zaczęłam pomagać osobom z trudnościami

w uczeniu się — mogły ze mną porozmawiać i wyjść pod moją opieką z domu — i dzięki temu uświadomiłam sobie, że tak naprawdę chciałabym pracować z ofiarami przemocy.

Zawsze męczyło mnie, że w czasie choroby byłam w stanie myśleć tylko o sobie: obrazowe, wstrząsające sceny rozgrywające się w mojej głowie przesłaniały po prostu wszystko inne. Ale kiedy wydobrzałam i znów mogłam normalnie myśleć, nagle bardzo zapragnęłam dać coś z siebie innym.

Nabrałam przekonania, że skoro potrafiłam pogodzić się ze wszystkimi potwornościami, które mnie spotkały, to mogę wykorzystać swoje doświadczenia i pomóc dzieciom, które cierpiały z tego samego powodu co ja. Pewnego dnia mnie olśniło i zdałam sobie sprawę, że nie ma sensu pragnąć, aby moje dzieciństwo było inne i aby ojciec kochał mnie tak, jak każdy ojciec powinien kochać swoje dziecko. Dzieciństwo się skończyło i choćby nie wiem co, nie mogłam cofnąć czasu i niczego zmienić. Mogłam natomiast pomóc dzieciom, które przechodziły przez to samo co ja, bo potrafiłam rozpoznać w ich oczach cierpienie i doskonale wiedziałam, co się wtedy czuje.

Kolejną porażającą w swej prostocie prawdą, która dotarła do mnie mniej więcej w tym samym czasie, był fakt, że aby pomagać innym, sama muszę być zdrowa. Nici z pomocy, jeśli będę się wciąż załamywać i lądować regularnie

w psychiatriku. Dzieci, z którymi chciałam pracować, potrzebowały kogoś, komu mogły zaufać, komu mogły się zwierzyć: osoby, która da im nadzieję, że uda im się otrząsnąć z traumy i żyć normalnie.

Gdy byłam nastolatką, niektórzy, w tym moja mama, powtarzali mi, że jestem nienormalna, że jestem szurnięta i tylko wariatka zachowuje się tak jak ja. Uważałam wtedy, że mają rację. Wydawało mi się, że w ogóle nie panuję nad własnym zachowaniem i reakcjami. Gdy w wieku kilkunastu lat co weekend się upijałam i imprezowałam, z zewnątrz musiało to wyglądać na świetną zabawę. Ja natomiast czułam się tak, jakbym rozpaczliwie szukała hamulców w pociągu, który wypadł z szyn i zaczyna szybko nabierać prędkości.

Nie miałam pojęcia, co jest ze mną nie tak — choć oczywiście wiedziałam, że coś na pewno — i brakowało mi kogoś, z kim mogłabym porozmawiać. Kiedy jednak zrozumiałam, dlaczego jestem nieszczęśliwa i dlaczego udaję, że mi na nikim i na niczym nie zależy, dotarło do mnie, że inni mogą skorzystać z moich doświadczeń. Choć nie przyszło mi to łatwo, w końcu pojęłam, że jeśli uda mi się choć jednej osobie pomóc przejść przez to, przez co sama przechodziłam — i z czym wciąż musiałam się zmagać jako dorosła, ponadtrzydziestoletnia kobieta — wtedy to wszystko nie pójdzie na marne.

Kiedy tylko wydobrzałam, zapisałam się na studia na

kierunku resocjalizacji.

Jako mała dziewczynka uważałam, że wszyscy ojcowie robią ze swoimi córeczkami to, co mój ojciec robił ze mną. Dziecko nie analizuje życia, bierze je takim, jakie jest. Przeżyłam więc potworny szok, gdy w wieku dwunastu lat zorientowałam się w końcu, że ojciec — i jego koledzy — wykorzystywali mnie seksualnie. Chyba wtedy zaczęły się zatrząskiwać jakieś drzwi w moim umyśle, odcinając mi dostęp do najgorszych wspomnień z dzieciństwa, zbyt potwornych, bym mogła je przyjąć. Ponad dziesięć lat później narodziny mojego syna sprawiły, że te same drzwi zaczęły się powoli otwierać — a mój umysł, jak się okazało, nie był w stanie sobie z tym poradzić.

W ciągu tych lat opowiedziałam kilku bliskim osobom niewielki wycinek tego, co zrobił mi ojciec, a każda z nich powtarzała: „To potworne. Nie wyobrażam sobie, co musiałaś wtedy przeżywać”. Zawsze czułam się więc bardzo osamotniona i często zastanawiałam się: „Dlaczego ja?” Dużo później, już na studiach, przeczytałam książkę, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Opowiadała o kobiecie, która była w dzieciństwie molestowana i czuła się dokładnie tak samo jak ja. Opowieść była wstrząsająca i potworna, i poruszyła mnie na tyle, że napisałam do autorki list. Nie spodziewałam się odpowiedzi, więc zdziwiłam się, gdy nadeszła następnego dnia. A to, co mi odpisała, zmieniło

mnie na zawsze.

Może zabrzmie to dziwnie, gdy powiem, że odkrycie, iż mnóstwo kobiet — i mężczyzn — przeżyło w dzieciństwie podobny horror do mojego, sprawiło, że poczułam się mniej samotna, ale tak właśnie się stało. Mój psychiatra był dotąd jedyną osobą, która potrafiła wczuć się w moją sytuację — a to tylko dlatego, że z podręczników i zwierzeń osób podobnych do mnie znał problem wykorzystywania seksualnego dzieci. Dzięki autorce niedawno przeczytanej książki poznałam kobiety, które doskonale wiedziały, jak upokorzona, skrzywdzona i niekochana się czułam, bo same przeżywały dokładnie to samo.

W ciągu kilku kolejnych miesięcy udało mi się stworzyć lokalną grupę pomocy dla kobiet wykorzystywanych seksualnie w dzieciństwie. Spotykałyśmy się co tydzień, by udzielać sobie emocjonalnego, a niekiedy i bardziej konkretnego wsparcia. Choć walka się jeszcze nie skończyła — i być może dla osób, które przeżyły coś takiego, nigdy się nie skończy — był to w moim życiu punkt zwrotny i zawsze będę wdzięczna moim koleżankom za to, że chciały mówić o swoich lękach i uczuciach oraz słuchać o moich.

Wszystkie te kobiety były świetne — miały uraz psychiczny, tak jak i ja, ale każda bez wyjątku była dobrym człowiekiem. Żadna nie była „zła” czy „beznadziejna” i choć to, co je spotkało, w dalszym ciągu miało na nie wpływ — w

różnym, choć zawsze znaczącym stopniu — to nie definiowało żadnej z nich jako człowieka. W mojej głowie zaczęła powoli kiełkować myśl, że może ze mną było tak samo — nie byłam ani zła, ani do niczego; byłam po prostu młodą kobietą, która nie ze swojej winy przeżyła w dzieciństwie horror i która mimo to starała się ze wszystkich sił żyć dalej.

Możliwość rozmowy z osobami, które wycierpiały tak wiele, że mogły słuchać o moim bólu, była niezwykle doświadczeniem. I właśnie radość z poczucia, że zostałam naprawdę zrozumiana, a także coraz silniejsze przekonanie, że niewyobrażalna wręcz niesprawiedliwość spotyka się z totalnym lekceważeniem, przekonały mnie, by wnieść sprawę przeciwko mojemu ojcu.

Wszyscy powtarzali mi, że jestem bardzo odważna i że mam ich stuprocentowe poparcie. Oczywiście mówili szczerze, a ich podziw i doping dodawały mi sił na równi z przekonaniem o słuszności mojego postępowania. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że nie jestem jeszcze gotowa na tak poważny krok.

Zgłosiłam się na policję, choć nigdy bym nie przypuszczała, że się na to kiedykolwiek zdobędę, i o wszystkim opowiedziałam. Spodziewałam się jednej z dwóch reakcji: albo kompletnego niedowierzania, zwłaszcza gdy powiem, kim jest mój ojciec, i podam nazwiska niektórych

mężczyzn, którzy mnie wykorzystywali; albo zgorszenia, że dałam sobie zrobić coś tak strasznego, choć byłam wtedy dzieckiem. Wiedziałam, że niezależnie od skutków czeka mnie ciężka przeprawa, i musiałam wciąż na nowo sobie powtarzać, że muszę powiedzieć prawdę, bo mój przykład może zachęcić innych do tego samego, a tylko wtedy, gdy podniesie się krzyk wystarczającej liczby ofiar, ktoś nas może wreszcie usłyszy.

Gdy dotarłam na komisariat, serce łomotało mi nierówno, ręce ociekały potem, a nogi trzęsły się tak, że ledwie byłam w stanie dotrzeć po schodkach do wejścia. I choć w dalszym ciągu za każdym razem, gdy mówiłam o ojcu, ogarniała mnie panika, byłam pozytywnie zaskoczona współczuciem i wsparciem funkcjonariuszy. Na pewno byli równie współczujący wobec każdej osoby, ale moją wiarygodność potęgował fakt, że policja wszczęła już dochodzenie w sprawie mojego ojca i kilku jego znajomych, i chyba uznali moje zeznania za nieoczekiwany, choć bardzo pożądany prezent od losu.

Zanim zgodziłam się na rozmowę, postawiłam jeden warunek: nikt nie mógł się dowiedzieć, że złożyłam zeznania, póki policja nie zakończy dochodzenia i nie będzie gotowa postawić ojcu oficjalnych zarzutów. Wiedziałam, że jeśli ojciec dowie się o podjętych przeze mnie krokach, groźbami, zastraszaniem i szantażem zmusi mnie do wycofania zeznań.

Przechwalał się kiedyś, że „wykończył” jakiegoś biedaka i choć nie wiem, czy mówił prawdę, czy była to tylko zawołowana groźba bez pokrycia, mająca mnie zmusić do posłuszeństwa, to bez dwóch zdań był do tego zdolny — a już na pewno za pośrednictwem pełnomocnika. Tak czy inaczej, ze strachem zaczęłam się zastanawiać, czy robiąc to, co zrobiłam, nie popełniam przypadkiem ogromnego, być może śmiertelnego błędu. Policjantka uspokoiła mnie jednak, mówiąc, że im też zależy na utrzymaniu sprawy w tajemnicy.

Ta sama funkcjonariuszka przesłuchiwała mnie kilka razy. Trudno opowiadać zupełnie obcej osobie o rzeczach, do których do niedawna nie byłam nawet w stanie przyznać się sama przed sobą, ale wiedziałam, że kobieta starała się mi wszystko ułatwić. Mama też złożyła zeznania i wspólnie udało nam się dość szczegółowo opisać sprawę.

Choć ojciec zawsze pilnował, by nie zostawiać na piśmie niczego, co mogłoby stanowić potencjalny dowód przeciwko niemu, to do tej pory przechowywałam ten jeden jedyny list, który od niego otrzymałam, a także zapis rozmowy telefonicznej, w której domagał się, żeby mama przestała ścigać go o alimenty. Mimo że nagranie nie łączyło się bezpośrednio z tym, co mu teraz zarzucałam, sposób wypowiedzi pokazywał, że ojciec nie był wcale miłym i uprzejmym człowiekiem, za jakiego wielu ludzi go uważało.

Dysponowałam poza tym różnymi innymi drobiazgami,

które mogły stanowić dowód w sprawie i które przekazałam policji, a policjantka spytała, czy mogłabym jeszcze dostarczyć kopię mojej dokumentacji medycznej. Powiedziała, że posłuży ona jako potwierdzenie części moich zeznań, na przykład faktu, że jako zupełnie małe dziecko cierpiałam na czyraki. W dokumentacji znajdowały się też sprawozdania od mojego psychiatry. Poszłam więc do przychodni i powiedziałam, czego potrzebuję, choć nie wyjaśniałam po co.

— Nie ma problemu — powiedział lekarz. — Tu mam tylko dwie strony. — Wziął z biurka brązową kopertę. — Reszta musi być w rejestracji. Chwileczkę.

Wyszedł z gabinetu, zostawiając lekko uchylone drzwi, a po kilku minutach wrócił wyraźnie skonsternowany.

— Bardzo dziwne — rzucił, siadając za biurkiem. — Ale poza tymi dwiema kartkami nie ma nic więcej. A nawet te dwie nie zachowują chronologii. Jedna zawiera najświeższe dane, a druga jest sprzed kilku lat. Nie mam pojęcia, gdzie się podziała reszta. Przecież to była dość gruba teczka.

W moim brzuchu zaczął rozrastać się lęk, a lekarz musiał chyba zauważyć moją zaniepokojoną minę, bo uśmiechnął się i dodał:

— Proszę się nie martwić. Znajdzie się. Musi gdzieś tu być. — Wzruszył ramionami i zauważył: — Dziwna sprawa.

Jednak mimo skrupulatnych poszukiwań moja karta się

nie odnalazła.

Rejestratorka powiedziała, że nikt nie wie, co się z nią stało od czasu, gdy kilka lat temu po raz pierwszy o nią prosiłam.

— Ale ja nigdy wcześniej o nią nie prosiłam — poinformowałam. — Teraz robię to pierwszy raz.

Dopiero kilka dni później przypomniałam sobie czystą kartkę papieru, którą ojciec kazał mi podpisać pod pretekstem pomocy w rozwiązaniu problemów przy sprzedaży domu. Było to tuż po tym, jak w mediach zrobiło się głośno o nim i jego kumplach i choć wtedy nie powiązałam ze sobą tych faktów, to właściwie zaraz po złożeniu podpisu wiedziałam, że zrobiłam głupstwo. Gdy ojciec nie wywiązał się z obietnicy i nie skontaktował się z prawnikiem odpowiedzialnym za sprzedaż domu, uznałam, że pewnie nigdy się nie dowiem, do czego tak naprawdę potrzebny był mu mój podpis.

Ale nagle teraz wszystko nabrało sensu. Jeśli bał się, że — celowo lub przypadkiem — mogę opowiedzieć dziennikarzowi, który do mnie wtedy dzwonił, że byłam w dzieciństwie wykorzystywana seksualnie przez własnego ojca i jego znajomych, to z pewnością wolał dopilnować, żebym nie mogła potwierdzić swoich zarzutów informacjami zawartymi w karcie. A w tym celu potrzebował tylko mojego podpisu — bo „upoważnienie”, jak sam to nazwał, wypisał

sam.

Cała ta historia wydawała się absurdalna. Ale wiedziałam, do czego jest gotów mój ojciec, by nikt nie zburzył jego starannie ułożonej talii kart. Miał wiele do ukrycia — i równie wiele do stracenia — i był zdeterminowany utrzymać to w tajemnicy. Prowadził podwójne życie: z jednej strony był cenionym biznesmenem i podporą społeczeństwa, a z drugiej człowiekiem obsesyjnie skoncentrowanym na seksie i na podejrzanych źródłach dochodu. Musiał więc mieć wysoko postawionych przyjaciół, żeby zawsze wyprzedzać o krok każdego, kto zechciałby go pogrążyć. W tym właśnie celu od lat tworzył gęstą sieć użytecznych kontaktów. I na pewno podjął wszelkie niezbędne kroki, abym nie mogła go zdemaskować i poniżyć — w tym przejęcie mojej dokumentacji medycznej.

Rozdział 16

*O*d dłuższego czasu nie miałam kontaktu z ojcem, ale krótko po mojej wizycie w przychodni spotkałam go przypadkiem w barze. Robił wokół siebie wiele szumu, jak zawsze w miejscach publicznych, gdzie mógł wzbudzać podziw i powszechne zainteresowanie. Nie słuchałam, co mówi, bo usiłowałam zebrać się na odwagę i sama się odezwać.

Wkurzało mnie, że tak się popisuje, ciągle o czymś opowiada, żartuje i zgrywa czarusia. Nie chciałam przebywać z nim w jednym pomieszczeniu dłużej niż to konieczne, a stres związany z wyczekiwaniem na odpowiednią chwilę zaczął przekształcać się w lekką panikę. W końcu jednak ojciec odwrócił się od grupki znajomych, których zabawiał rozmową, więc odetchnęłam głęboko i rzuciłam, mam nadzieję, lekkim tonem:

— Byłam ostatnio u lekarza i okazało się, że zniknęła prawie cała moja dokumentacja medyczna, łącznie z wypisami ze szpitala.

Oczekiwałam, że zobaczę na jego twarzy poczucie winy

czy choćby lekkie zmieszanie, ale byłam naiwna: mało kto mógł zrobić lub powiedzieć coś, co wprowadziłoby w zakłopotanie kogoś równie aroganckiego jak mój ojciec. Spojrzał tylko na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, upił łyczek whisky i spytał:

— A do czego ci ta dokumentacja?

— Muszę załatwić formalności na uczelni — wyjaśniłam, odwracając wzrok i czując, że zaciskam mocno pięści.

— Nie przejmuj się — zbagatelizował ojciec i zerknął na zegarek. — Jestem członkiem zarządu i pewnie uda mi się ją odzyskać.

— Jesteś członkiem zarządu szpitala? — spytałam. — Nie wiedziałam.

— Cóż, nie wiesz o mnie jeszcze wielu rzeczy. — Roześmiał się i wrócił do znajomych.

Oczywiście za jego słowami nie poszły żadne konkrety, więc po kilku dniach zadzwoniłam, żeby wypomnieć niedotrzymanie słowa.

— Okłamałeś mnie — zaczęłam. — Nie jesteś członkiem zarządu szpitala.

— A ty myślałaś, że jestem? — Wyczułam szyderstwo w jego głosie. — Nie, chodziło mi o to, że znam kogoś z zarządu. Warto znać ludzi na wysokich stanowiskach. To się bardzo przydaje. Na przykład można z wyprzedzeniem dowiedzieć się o pewnych rzeczach.

Zabrzmiało to jak ostrzeżenie — czy może wręcz jawna groźba; żołądek ścisnął mi się boleśnie ze strachu.

Kilka dni później zadzwoniono z policji i umówiłam się na składanie ostatecznych, oficjalnych zeznań. Przesłuchanie było straszne. Mimo najlepszych chęci zaangażowanych osób cała procedura okazała się tak traumatyczna, jak się obawiałam; zaczęłam wręcz żałować, że w ogóle ją wszczęłam. Pomagała mi jednak świadomość, że policja wierzyła w moją wersję wydarzeń i że wyglądało na to, iż ojciec zostanie w końcu pociągnięty do odpowiedzialności za wszystkie potworności, których się wobec mnie dopuścił.

Podziwiałam odwagę osób, które mówiły głośno o swoich traumatycznych przejściach, i byłam z siebie dumna, że mogę się teraz uznać za jedną z nich. Pójście na policję odbiło się jednak na moim stanie psychicznym i rozłożyło mnie na łopatki dużo bardziej, niż przypuszczałam. Pocieszałam się jednak myślą, że może dzięki temu pomogę innym zrozumieć, że nie są sami na świecie i że nie powinni się wstydzić tego, iż ktoś ich skrzywdził.

Jednak pewnego ranka zadzwonił telefon.

Była sobota i właśnie zmywałam naczynia w kuchni. Zdjęłam z drzwiczek piekarnika ściereczkę i poszłam do salonu, wycierając po drodze ręce.

Podniosłam słuchawkę, ale nie rozpoznałam głosu rozmówcy, który najwyraźniej mnie znał.

— Cześć, Katie — przywitał się. — Masz chwilę?

— Przepraszam, ale... — Szósty zmysł kazał mi się wstrzymać z odpowiedzią; czułam, że na rękach pojawia się gęsia skórka.

Mężczyzna zaczął coś mówić, ale przerwałam mu, starając się zachować spokój:

— Kto mówi?

— Joe — przedstawił się. — Joe Kennedy. Z lokalnej gazety.

Usiadłam na krześle obok telefonu, przymknęłam oczy i przez chwilę walczyłam z narastającą falą mdłości. Serce waliło mi jak szalone i przez moment słyszałam tylko głucho dudnienie krwi w uszach. Skupiłam się z trudem i zaczęłam się zastanawiać, czemu w sobotę rano jakiś dziennikarz dzwoni na mój domowy numer. Ale przychodziły mi na myśl tylko absurdalne, mało rozsądne wyjaśnienia; raczej bezsensowne.

— Jesteś tam, Katie? — Głos męczyzny brzmiał miło, ale moja wyobraźnia zamieniła wypowiedziane „s” w syk węża.

— Nie wiem... — urwałam i powoli wypuściłam powietrze, starając się uspokoić oddech. — W jakiej sprawie dzwonisz? Jestem teraz zajęta. Nie bardzo mogę rozmawiać.

— Zajmę ci tylko chwilę — zapewnił lekko. — Chciałem tylko potwierdzić kilka faktów, o których rozmawiałaś z policją. — Ucichł, po czym dodał: — W związku z twoim

ojcem.

— Nie mogę rozmawiać! — wrzasnęłam i rozłączyłam się szybko. Rzuciłam słuchawką, jakby parzyła mnie w rękę.

Wróciłam do kuchni, usiadłam przy barku i spojrzałam na rozciągający się za oknem znajomy widok domów i ulic. Spróbowałam skupić się na tym, co powiedział dziennikarz. Cała się trzęsłam, a w głowie miałam taki zamęt, że nic nie rozumiałam.

Powtarzałam sobie, że facet nie mógł przecież dotrzeć do informacji, których udzieliłam policji. Udało mu się po prostu trafić z pytaniem. Nie mógł przecież tak naprawdę o niczym wiedzieć, bo rozmawiałam tylko z dwójką wysokich rangą funkcjonariuszy, którzy obiecali zachować całkowitą dyskrecję do czasu, aż wszystkie zeznania i cała dokumentacja zostaną przesłane jako dowód do prokuratury.

Jednak choćbym nie wiem, jak bardzo starała się wmówić sobie coś innego, wiedziałam, że Joe Kennedy szedł jakimś tropem i co gorsza, jeśli sprawa trafi do gazet, ojciec od razu się zorientuje, kto na niego doniósł.

Telefon dzwonił tego ranka wielokrotnie, ale nie odbierałam. Siedziałam tylko na krześle i próbowałam się skupić. Poza mamą prawie nikt nie wiedział, że byłam na policji — a do tych kilku osób, które o tym powiadomiłam, miałam całkowite zaufanie. Skąd więc dziennikarz mógł mieć jakiegokolwiek informacje?

Myślałam, że policjantka, z którą rozmawiałam, skontaktuje się ze mną w ciągu kilku dni. Kiedy jednak się nie odezwała, sama zadzwoniłam na komisariat i poprosiłam ją do telefonu.

— Dzwonili do mnie z gazety — powiedziała, gdy tylko podniosła słuchawkę. — Obiecała mi pani, że wszystko będzie dobrze. Że na razie nikt się o niczym nie dowie.

— Przykro mi, Katie. — Była wyraźnie podenerwowana i jakby ostrożna. — Do nas też dzwonili. Ale nie mam pojęcia, skąd się dowiedzieli. Naprawdę mi przykro.

— Nie mogę tego ciągnąć — oznajmiłam. — Nie mogę złożyć zeznań. Myślałam, że jestem na to wystarczająco silna, ale nie jestem. Nie chcę z panią na ten temat więcej rozmawiać, przynajmniej teraz. Proszę zatrzymać to, co pani dałam, może za jakiś czas zmienię zdanie.

— Dobrze. Bardzo mi przykro — powtórzyła znowu, ale tym razem jakby ze zniecierpliwieniem.

— Nie rozumiem, jak do tego doszło — dorzuciłam jeszcze. — Mówiłam wam, że ojciec zrobi wszystko, żeby mnie uciszyć; każe mnie zabić, jeśli uzna, że mogę go zniszczyć. Obiecaliście, że nikt się o niczym nie dowie.

Nawet w moich uszach zabrzmiało to trochę melodramatycznie. Ale naprawdę nie miałam pojęcia, jak daleko posunie się ojciec w obronie swojej reputacji; do czego jest zdolny. W dzieciństwie nieraz lał mnie pasem tak,

że miałam pupę otartą do krwi i ze szlocham błagałam go, żeby przestał. Wielokrotnie byłam też świadkiem, jak bije i kopie moją mamę, prawie do nieprzytomności. Za każdym razem karał nas w ten sposób za to, że go zdenerwowałyśmy lub zezłościłyśmy. Bez trudu można było sobie zatem wyobrazić, że mógłby zabić kogoś, kto chce go zdemaskować i zeznaniami wpędzić do więzienia.

— Rozumiem panią — powiedziała funkcjonariuszka, choć ja akurat miałam co do tego wątpliwości. — Przechowamy tu wszystko bezpiecznie, póki sprawa trochę nie ucichnie i nie zmieni pani swojej decyzji.

Okazało się, że była to kolejna obietnica bez pokrycia, bo kiedy dwa lata później zgłosiłam się po dokumenty, zdjęcia i listy, wszystko „zniknęło”.

Krótko po telefonie dziennikarza złożył mi wizytę znajomy ojca.

— Kiepsko z nim — powiedział. — Jest w szpitalu. Ma raka. Czeka na operację, ale obawiam się, że w najlepszym razie zyska tylko trochę życia. Dają mu jeszcze najwyżej kilka miesięcy. Przykro mi to mówić, Katie, ale twój ojciec jest umierający.

Chciałam wrzasnąć: „Hura! Super! Cieszę się, że w końcu przytrafiło mu się coś, na co nie ma wpływu. Cieszę się, że umrze. Zasługuje na cierpienie po tym, co mi zrobił”. Ale z bliżej nieznanym mi przyczyn wcale się nie cieszyłam.

Miałam wręcz ochotę rozplakać się jak dziecko, bo wiedziałam, że wraz z ojcem umrze jakakolwiek nadzieja na to, że któregoś dnia obdarzy mnie uczuciem i zacznie mu na mnie zależeć.

Jednak oprócz smutku poczułam też ulgę, wiedząc, że jego śmierć zakończy pewien rozdział w moim życiu i że już nigdy nie będę musiała do niego wracać. A potem dopadło mnie poczucie winy, częściowo dlatego, że zawsze czułam się wszystkiemu winna, a częściowo dlatego, że wydało mi się straszne poczuć ulgę na wieść, że ojciec niedługo umrze.

Później jednak okazało się, że bardziej stosowne byłyby sceptycyzm i niedowierzanie, bo choć ojciec faktycznie przeszedł operację, to nie miał raka i nie był umierający. Uznał po prostu, że zabieg to idealna okazja, aby wzbudzić we mnie litość. Być może, podobnie jak tamten dziennikarz, dowiedział się skądś, że byłam na policji, i pomyślał, że wiadomość o jego rychłej śmierci tak mnie zmartwi, że wycofam zarzuty.

Najprawdopodobniej zupełnie przypadkiem kilka dni później skontaktowała się ze mną żona jednego z jego kolegów. Jej mąż zajmował wysokie stanowisko i był bardzo wpływowym człowiekiem. Dostałam od niej list, w którym pisała:

Wiem, że Pani ojciec wykorzystywał Panią seksualnie w dzieciństwie, bo podsłuchałam niedawno rozmowę telefoniczną mojego męża. Zastanawiali się, w

jaki sposób powstrzymać Panią od dalszych kontaktów z policją. Z największą przyjemnością opowiem policji o tej rozmowie, jeśli tylko wyrazi Pani taką chęć.

Byłam wdzięczna za list i propozycję wsparcia, ale zdążyłam już sobie uświadomić, że nie jestem gotowa na walkę z ojcem. Wciąż jeszcze próbowałam się pozbierać po horrorze, jakim było dla mnie składanie zeznań na policji i odkrycie, że zwęszył to jakiś reporter; wiedziałam, że nigdy nie wykrzeszę z siebie siły psychicznej i emocjonalnej, niezbędnej do podjęcia próby zdemaskowania ojca i pociągnięcia go do odpowiedzialności.

Nadawczyni listu wkrótce potem rozwiodła się z mężem, a jej dzieci publicznie potwierdziły stawiane przez nią oskarżenia: że mąż ją bił i stosował w domu przemoc. Pomimo zeznań dzieci on zarzucił jej szaleństwo i dopiero niedawno potraktowano ją poważnie, po tym, gdy mąż został zwolniony za „kompromitację piastowanego stanowiska”.

Od czasu do czasu wychodziła na jaw prawda na temat znajomych mojego ojca i ludzi z różnych względów mu bliskich. Ale mimo że jego powiązania z nimi były powszechnie znane, jakoś nie pojawiał się w ich zeznaniach i unikał bezpośrednich oskarżeń. Od lat systematycznie budował sieć kontaktów z ludźmi, którzy byli mu przydatni lub mogli się tacy okazać. Co ważniejsze jednak, gromadził informacje obciążające wysoko postawione osobistości, filary systemu kontrolującego nasze życie.

Już raz zdołał przechytryć dziennikarzy i policję, deptając mu po piętach. Jakim cudem więc mnie miałyby się udać coś, czego oni nie byli w stanie dokonać? Choć bardzo chciałam wierzyć, że ostatecznie dobro zatriumfuje nad złem, to wiedziałam, że smutna rzeczywistość jest taka, iż Dawidowi rzadko kiedy udaje się pokonać Goliata, a ci, którzy się na to porywają, często źle kończą.

Zamiast więc wypowiadać ojcu wojnę, skupiłam się na studiach i pracy z młodymi ofiarami przemocy. W pracy potrafiłam oddzielić dorosłą kobietę, którą byłam, od dziecka, które wciąż we mnie żyło, zapomnieć o tym, przez co przeszłam, i skupić się na ludziach, których problemy wymagały pilniejszej interwencji niż moje. Stopniowo dobre dni zaczęły przeważać nad złymi.

Co nie oznaczało, że złe całkiem przeminęły. Niekiedy dopadało mnie poczucie winy na myśl o tym, z jak wieloma rzeczami musi sobie radzić w swoim młodym życiu mój syn — zwłaszcza z moim przerażającym zachowaniem podczas nawrotów choroby. Sam był cudownym dzieckiem i wyrósł na wspaniałego chłopca. Jednak choć jego tata i dziadkowie starali się go chronić przed moją chorobą, to i tak na niego wpłynęła — czego do dziś bardzo żałuję. W gorsze dni uważałam na dodatek, że mój syn byłby szczęśliwszy, gdybym umarła.

Pewnego dnia był akurat ze mną i jechaliśmy

samochodem z Jenny. Sam siedział z tyłu, a ja na przednim siedzeniu. Od kilku dni czułam się przybita i niespokojna. Nie opuszczała mnie myśl, że stoję Samowi na drodze do szczęścia. Odkąd wyruszyliśmy, prawie się nie odzywałam, więc Jenny zagadywała Sama, żeby zamaskować mój ponury nastrój i zachować pozory normalności.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, złapałam za klamkę i otworzyłam drzwi. Jechaliśmy prawie siedemdziesiąt na godzinę. Sam wrzasnął, gdy zaczęłam przekładać nogi, aby wyskoczyć na drogę.

Jenny zaklęła, zjechała na pobocze i ostro zahamowała.

— Co ty, do cholery, wyprawiasz? — krzyknęła, waląc dłońmi w kierownicę. — Mogłaś nas zabić! O to ci chodziło? To właśnie chciałaś zrobić? Zabić syna i przyjaciółkę? — Odwróciła się i położyła rękę na kolanie Sama. — Już dobrze, Sam — uspakajała go. — Już w porządku. Mama miała tylko chwilowe zaćmienie. — Spojrzała na mnie z wściekłością, ale zaraz potem złagodniała i powtórzyła ze łzami w oczach: — Już wszystko w porządku.

Ale wcale nie było w porządku. Znów zaczęłam pić i z trudem znosiłam każdy dzień. Codziennie po przebudzeniu miałam ochotę zostać w łóżku i płakać z rozczarowania, że nie umarłam we śnie.

Byłam w tym czasie w związku z Jackiem, miłością mojego życia. Nawroty mojej choroby dla każdego jednak okazałyby

się ponad siły, choć wiem, że Jack bardzo się starał i bardzo mnie kochał. Opowiedziałam mu o swoim dzieciństwie, co wzbudziło w nim obsesyjną niemal nienawiść do mojego ojca.

Jack znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny i czasem wydawało mi się wręcz, że rozumie mnie lepiej niż ja sama. Zdążył poznać mnie z każdej możliwej strony — od agresywnej kobiety po małą dziewczynkę, w którą czasem się zamieniałam, gdy skulona w kącie zanosiałam się płaczem. Potrafię świetnie ukrywać swoje prawdziwe uczucia i udawać spokój i pewność siebie, choć w środku jestem kłębkim nerwów. Ale Jack znał zamieszkujące mnie demony i choć to zdumiewające, kochał mnie mimo wszystko.

Mój psychiatra mówi, że w dzieciństwie nauczyłam się zakładać maskę, bo wśród ludzi musiałam udawać radosną i uśmiechniętą córeczkę tatusia i ukrywać to, jak bardzo nieszczęśliwa tak naprawdę się czułam. Dopiero po długim czasie, a w zasadzie dopiero przed dwoma laty wreszcie sobie uświadomiłam, że nie muszę taka być: nie muszę cały czas grać, bo ludzie mogą wiedzieć o moim cierpieniu.

Jack był naprawdę cudowny: równie wspaniały dla Sama, jak i dla mnie. Miałam niemal wrażenie, jakby przejmował na siebie część mojego cierpienia, ale w końcu ciężar mojej choroby i fakt, że w żaden sposób nie można mi pomóc, okazał się dla niego zbyt duży. Tak mu zależało, żeby mój ojciec wreszcie zapłacił za to, co mi zrobił, że skończyło się

załamaniem nerwowym i utratą wszystkiego, co posiadał.

Tuż przed naszym ostatecznym rozstaniem pojechał do swoich rodziców na święta. Przez pięć lat tworzyliśmy naprawdę udany związek i Jack był pierwszą osobą, z którą potrafiłam szczerze i otwarcie rozmawiać. Wiedziałam jednak, że go od siebie odsuwam — zawsze to robiłam z ludźmi, którzy stawali się mi bliscy; po jego wyjeździe wpadłam w depresję, nienawidziłam samej siebie. Miałam wrażenie, że moje życie toczy się według pewnego schematu, który już zawsze będzie się powtarzać. Wiedziałam, że nie dam rady dłużej tak żyć.

Ojciec wyjechał z Gillian za granicę, a mój brat z żoną zaprosili do siebie resztę rodziny w pierwszy dzień świąt. Choć zaproszenie obejmowało i mnie, wpadłam tylko na moment, żeby zobaczyć się z Samem i mamą. Zależało mi szczególnie na pożegnaniu z Samem, choć po dotarciu pod dom brata nie byłam w stanie znieść myśli, że widzę syna po raz ostatni. Wiedziałam jednak, że dobrze robię: rodzina Toma zajmie się Samem, a ja nie mogłam mu dać nic wartościowego, tylko bolesną świadomość, że choruję i jestem głęboko nieszczęśliwa.

Jenny zaprosiła mnie do siebie na świąteczny obiad, ale powiedziałam, że kiepsko się czuję i wolę wrócić do domu.

— Nic mi nie będzie — przekonywałam. — Jestem tylko w lekkim dołku i nie chcę nikomu psuć humoru. Muszę pobyć

trochę sama. Przejdzie mi.

Od wielu tygodni odkładałam tabletki — prozac na depresję, temazepam na trudności w zasypianiu, chlorpromazynę na zaburzenia psychotyczne i paracetamol, który właściwie w ogóle na mnie nie działał. Po powrocie do domu otworzyłam wino, a w chwili, gdy zaczęłam popijać nim wielką garść tabletek, zadzwonił telefon.

Sięgnęłam po słuchawkę, ale musiałam pokręcić głową i zamrugać kilka razy, by rozmazane zarysy telefonu nabrały ostrości.

— Katie? — Dzwoniła Jenny.

— Tak. — Wzięłam głęboki wdech i starałam się mówić normalnie.

— Dobrze się czujesz? Dziwnie mówisz — przeszył mnie ostry głos Jenny.

Czułam się tak, jakbym zniknęła, jakby moje ciało słabło i rozmywało się. Przymknęłam oczy i spróbowałam się skoncentrować.

— Nic mi nie jest — przekonywałam. — Ja tylko... właśnie idę zrobić sobie kąpiel. Później do ciebie oddzwonię. — Odłożyłam słuchawkę i poszłam powoli i niepewnie do łazienki na piętrze.

Pamiętam tylko, że odkręciłam wodę i rozebrałam się, a gdy potem otworzyłam oczy, leżałam na jakimś łóżku. Serce zaczęło mi walić. Chciałam przyłożyć rękę do pulsującej

bólem głowy, ale poczułam na grzbiecie dłoni ostre szarpnięcie. Wrzasnęłam na widok podłączonej kroplówki.

Natychmiast przybiegła pielęgniarka.

— Tym razem prawie się pani udało — powiedziała, biorąc mnie za rękę, aby poprawić igłę w wenflonie. Spojrzała na mnie spod przymrużonych powiek.

Okazało się, że dwa dni leżałam nieprzytomna w szpitalu. Jenny od razu się zorientowała, co jest grane — wystarczyło, że usłyszała mój głos przez telefon — i wezwała karetkę. Sanitariusze wyważyli drzwi wejściowe i znaleźli mnie nagą i nieprzytomną na podłodze w łazience.

Tak jak powiedziała pielęgniarka, tym razem prawie udało mi się zabić; nigdy nie czułam się równie słaba i chora. Leżałam przez kilka dni w szpitalu, a potem jeszcze kilka w domu. Jenny nie chciała ze mną rozmawiać.

Gdy w końcu zadzwoniła, była wściekła.

— Co ci, do jasnej cholery, strzeliło do łba? — niemal wrzasnęła. — Nie możesz ciągle tego robić, Katie. A Sam? Czy kiedykolwiek się zastanawiałaś, jaki to ma wpływ na niego? Kocham cię, ale już tak dłużej nie mogę. Nie mogę siedzieć i czekać, aż któregoś dnia ktoś zadzwoni powiedzieć, że się zabiłaś. Wiem, co zrobił ci ojciec, i nie wyobrażam sobie, jak potwornie się wtedy czułaś i jak trudno ci teraz. Ale musisz przestać! Musisz przestać być taką egoistką i zacząć myśleć o tych, którzy cię kochają!

Poczułam się tak, jakby mnie spoliczkowała. Nagle zdałam sobie sprawę, że ma rację. Moim przyjaciółom i bliskim byłoby chyba łatwiej, gdybym w końcu po prostu się zabiła, niż gdy musieli za każdym razem zastanawiać się, czy nie odbieram telefonu, bo po prostu wyszłam, czy może dlatego, że leżę gdzieś na podłodze nieprzytomna — a może już martwa. Wiedziałam, że muszę wreszcie wybrać: życie czy śmierć? Kusiło mnie, żeby zamknąć oczy i w końcu przestać się męczyć. Ale zaraz potem pomyślałam o Samie i Jenny, i choć wiedziałam, że decyzja o życiu jest trudniejsza, to innej podjąć nie mogłam. Już nigdy więcej nie targnęłam się na swoje życie.

Być może ta decyzja kazała mi bardziej się starać, zostawić za sobą przeszłość — na tyle, na ile to możliwe — i skoncentrować się na przyszłości. Bo skoro dobrowolnie wyrzekłam się możliwości, by raz na zawsze uciec od życia, musiałam podjąć trud i żyć.

Niedługo po ostatecznym rozstaniu z Jackiem poznałam Kevina. Wciąż czułam, że potrzebuję w życiu mężczyzny, a Kevin wydawał się idealny, zwłaszcza że był całkowitym przeciwieństwem mojego ojca: nie ciągnęło go do butelki, nie brał narkotyków, ciężko pracował, miał dobry samochód i własny dom, nieobciążony hipoteką, i zdawał się kierować w życiu sensownym systemem wartości i zasad moralnych. Prawdę mówiąc, trudno mi było uwierzyć, że mógł się mną w

ogóle zainteresować. Ale się zainteresował, a mnie wydawało się, że znalazłam rycerza w lśniącej zbroi, na którego czekałam całe życie, odkąd jako mała dziewczynka po raz pierwszy uciekłam przed okrutną rzeczywistością w świat ksiązek.

Rozdział 17

*R*ozstanie z Jackiem kompletnie mnie załamało. Ponieważ choroba wróciła i musiałam odejść z pracy, Kevin rzucił mi koło ratunkowe i nie pozwolił utonąć. On też dopiero zakończył wieloletni związek i szukał kogoś, kto wypełni lukę w jego życiu. Żadne z nas nie powinno więc tak naprawdę angażować się w nic poważnego. Co nie zmieniło faktu, że pół roku później wzięliśmy ślub.

Od razu wiedziałam, że popełniłam poważny błąd. Nawet w dniu ślubu, idąc kościelną nawą, myślałam o Jacku i zastanawiałam się, po jaką cholerę wychodzę za Kevina. Nie dałam jednak nic po sobie poznać i udawałam szczęśliwą, ale tak naprawdę na myśl o tym, co robiłam, czułam narastającą panikę. Przerażała mnie też świadomość, że resztę życia będę musiała spędzić prawdopodobnie z niewłaściwym człowiekiem. Wydawało mi się jednak, że kocham Kevina, i dopiero później zrozumiałam, że byłam mu tylko wdzięczna za to, że znalazł się przy mnie w trudnej chwili i próbował mnie chronić.

Po ślubie nadal jeszcze nie wydobrzałam na tyle, żeby wrócić do pracy, więc często siedziałam w ciągu dnia w domu i piłam. Biedny Kevin nigdy nie wiedział, co zastanie po powrocie: czy będę pijana, czy trzeźwa, pogrążona w depresji czy w nieuzasadnionej euforii. W dobre dni potrafiłam zwykle odsuwać od siebie większość wspomnień związanych z ojcem. Ale podczas nawrotów choroby wszystko wracało i czułam się znów jak dziecko. Alkohol czasem powstrzymywał falę wspomnień przewalających się przez moją głowę, ale czasem pogarszał sprawę.

Kevin namawiał mnie na spotkania Anonimowych Alkoholików, ale nie chciałam się zgodzić, bo choć sporo piłam — bywało, że i dwie butelki wina dziennie — to wiedziałam, że nie jestem alkoholiczką. W końcu jednak dałam się przekonać i poszłam na mityng. Czułam się jak oszustka. Właściwie zawsze się tak czułam, tyle że tym razem wszyscy szybko się zorientowali, że próbuję rozwiązać swoje problemy w niewłaściwym miejscu.

Tak naprawdę unieszczęśliwiała mnie świadomość, że za czasów Jacka czułam, iż powoli, ale skutecznie zaczynam odbudowywać swoje życie. Potem jednak Jack zachorował i mnie zostawił. Nie tylko załamało mnie jego odejście, ale na dodatek dobijało poczucie winy, bo w moim przekonaniu to ja doprowadziłam do jego choroby. Próbowałam więc popełnić samobójstwo, a potem Jenny uświadomiła mi, jak

bardzo ranię swoich bliskich; życie dało mi jeszcze jedną szansę. Postanowiłam, że już się nie poddam, ale okazało się to trudniejsze, niż przypuszczałam. Straciłam Jacka; wyszłam za Kevina, choć nie powinnam; od dłuższego czasu źle sypiałam; przestałam jeść, a zaczęłam dużo pić. Na szczęście potrafiłam jeszcze myśleć na tyle trzeźwo, żeby iść do lekarza.

— Wydaje mi się, że niedługo znów sobie coś zrobię — powiedziałam. — Nie mogę tak dalej żyć. Za każdym razem, gdy wydaje mi się, że już jest lepiej, wszystko zaczyna się walić. Tyle razy się podnosiłam i próbowałam zacząć wszystko od nowa, że chyba nie mam już siły.

— Uważam, że dobrze by pani zrobił pobyt w szpitalu — stwierdził lekarz. — Jest pani wyczerpana, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, a to zawsze źle się na pani odbija. Położymy panią na kilka dni, odpocznie pani trochę, a potem się zastanowimy, co dalej.

Nachylił się, oparł łokciami o biurko i połączył czubki palców. Z rezygnacji malującej się na jego twarzy widziałam, że szykuje się na utarczkę słowną i długie namawianie. Zaskoczyłam go więc, gdy otarłam grzbietem dłoni łzy z policzków i skinęłam głową.

Przeleżałam w szpitalu dwa tygodnie i tym razem, ponieważ byłam tak wdzięczna, że choć przez chwilę nie muszę samodzielnie myśleć, i tak zmęczona, że ledwie byłam

w stanie przejść z jednej sali do drugiej, ucieczka nawet nie przeszła mi przez myśl.

Kevin odwiedził mnie tylko raz, a nasze trzymiesięczne małżeństwo skończyło się z chwilą, gdy zostałam wypisana ze szpitala. Na samym początku naszego związku powiedziałam mu o mojej chorobie i wyjaśniłam jej podłoże, Kevin zaś powtarzał, że chce się mną zaopiekować. Zrobiło mi się więc przykro, gdy tak łatwo się poddał, i poczułam się zawiedziona, że wbrew moim nadziejom nie okazał się lekiem na całe zło. Ale zdawałam sobie sprawę, że nie było mu lekko, kiedy uświadomił sobie, na co się zdecydował; wiedziałam też, że nie mogę mieć mu za złe, iż nie spodziewał się, z jak dużym wysiłkiem będzie się to dla niego wiązać.

Najbardziej zabolalo mnie jednak to, że choć zawsze byłam wobec niego uczciwa, on okazał się kłamcą.

Na pewno trudno mu było znosić mój pociąg do butelki i moją nieobliczalność, ale powtarzał moim znajomym i rodzinie, że jestem alkoholiczką i nasze małżeństwo rozpadło się wyłącznie z tego powodu. Wszyscy mu współczuli, zwłaszcza że twierdził, iż złamałam mu serce. Prawda była natomiast taka, że wkrótce po naszym ślubie poznał inną kobietę, a podczas mojego pobytu w szpitalu dowiedzieli się, że będą mieć dziecko.

Wiadomość o zdradzie Kevina mnie załamala. Poczulam

się jak idiotka i nabrałam obsesyjnego przekonania, że oboje wyśmiewali się ze mnie za moimi plecami. Tak naprawdę jednak sędzę, że nasze małżeństwo od początku nie miało szans.

Zawsze brzydziłam się seksem i z trudnością godziłam się na związaną z nim bliskość. Jednak dopiero dwa lata temu przestałam się bać być sama, choć już dawniej moje własne towarzystwo w zupełności mi wystarczało. Wydaje mi się, że mężczyzna miał jedynie potwierdzać, że można mnie pokochać — choć tak naprawdę nigdy w to do końca nie uwierzyłam. Z jednego związku wchodziłam więc od razu w następny, nie dając sobie czasu na podsumowanie i refleksję, kim naprawdę jestem i czego chcę, bo właściwie do niedawna nie zdobyłam się na to, by dokładnie wszystko przeanalizować; bałam się tego, co mogę odkryć. Szukałam miłości, choć nie miałam tak naprawdę pojęcia, czym ona jest.

Po wyjściu ze szpitala przez cztery miesiące mieszkałam u Jenny. Miała własną rodzinę, ale i mnie przygarneła. A dzięki złożonej jej obietnicy — że nigdy więcej nie targnę się na własne życie — sprawy zaczęły przybierać początkowo niezrozumiały dla mnie obrót. Obietnica złożona Jenny była jak usunięcie klauzuli „o wycofaniu się”: bez opcji samobójstwa musiałam wziąć sprawy w swoje ręce i zacząć normalnie żyć, a jeśli powinie mi się noga i nastąpi nawrót

choroby i związanej z nią depresji, będę musiała poszukać pomocy. Dzięki temu wszystko stało się prostsze i mogłam cały czas patrzeć w przyszłość.

Chodziłam regularnie na terapię i zaczęłam rozmawiać o moich przekonaniach i weryfikować ich podłoże. Zaczęło do mnie powoli docierać, że przewody w moim mózgu poplątały się i trzeba je rozplątać, i jeszcze raz prawidłowo podłączyć. Błędne połączenia pojawiły się na skutek tego, jak traktował mnie ojciec, i tego, co mi od najmłodszych lat wmawiał: że jestem bezwartościową, bezużyteczną zdzirą i że kobiety — oraz małe dziewczynki — istnieją wyłącznie po to, by zaspokajać potrzeby seksualne mężczyzn — bez względu na ich rodzaj. Racjonalna, logiczna część mojego mózgu wiedziała, że ojciec nie miał racji, a gdy zaczęła to akceptować także emocjonalna część mnie, znalazłam się na prostej.

Pół roku po przymusowej rezygnacji z pracy wynajęłam mieszkanie, wróciłam do pracy i znów zaczęłam sobie radzić — w którymś momencie na tyle dobrze, że mogłam odstawić lekarstwa, które brałam od blisko osiemnastu lat. Przede wszystkim jednak przestałam myśleć o ojcu i przed oczami przestały mi się wyświetlać sceny z przeszłości.

Jako dziecko byłam traktowana przedmiotowo, a jako nastolatka robiłam różne głupie rzeczy — piłam, paliłam, a nawet przez jakiś czas kradłam — i bez trudu mogłam wejść

na złą drogę, z której nie mogłabym już zawrócić. Miałam chyba szczęście, że narkotyki nie były w czasach mojej młodości równie łatwo dostępne jak teraz. Gdyby były, być może wybrałabym autodestrukcję, bo będąc nastolatką, nienawidziłam swojego życia, choć nie rozumiałam dlaczego.

Wydaje mi się, że przez lata wracałam myślami do dzieciństwa, żeby dowiedzieć się, czym zasłużyłam sobie na potworności, które mnie spotkały. W końcu jednak zrozumiałam, że wcale na nie nie zasłużyłam i że nie jestem w stanie zmienić przeszłości. Nie ma sensu nieustannie do niej wracać i próbować doszukiwać się w niej sensu, bo ona zwyczajnie go nie ma. To, co mnie spotkało, było tak naprawdę efektem problemów mojego ojca — cokolwiek się za nimi kryło. Ja byłam tylko zupełnie niewinną ofiarą, statystką w życiu chorego, perwersyjnego, nieograniczającego się w niczym człowieka.

Trochę ponad rok temu dostałam naprawdę dobrą ofertę pracy z trudnymi nastolatkami, z których wiele było ofiarami przemocy. Praca oznaczała wyprowadzkę z rodzinnego miasta i wyjazd do miejscowości oddalonej o trzy godziny jazdy od Sama, Jenny i przyjaciół, na których zawsze mogłam liczyć. Bałam się, ale mimo to przyjąłem ofertę. I naprawdę się z tego cieszę. Jestem dumna, że wkroczyłam ostatecznie w przyszłość.

Odkąd zaczęły wracać wspomnienia, w głowie ciągle

widziałam dziecko, którym kiedyś byłam; miałam wrażenie, że to nie ja, tylko ktoś inny, kto potrzebuje pomocy, której nie potrafię udzielić. Teraz jednak wiem, że potrafię pomóc wykorzystywanym seksualnie dzieciom, przepełnionym wściekłością i dezorientacją, które chcą tylko atakować i sprawić innym taki sam ból, jaki usiłują w sobie głęboko zagrzebać.

Jako nastolatka odcięłam się od wspomnień z dzieciństwa, więc nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Tęskniłam za tym, żeby z kimś porozmawiać, żeby ktoś pomógł mi zrobić porządek w głowie i żeby mnie zapewnił, że nie jestem ani wariatką, ani złym człowiekiem. Niestety, nie miałam się komu zwierzyć, ale jeśli mogłabym dać taką możliwość młodzieży, z którą pracuję, miałabym poczucie, że zło, którego dopuścił się mój ojciec, przyniosło przynajmniej coś dobrego.

Potrzebowałam aż czterdziestu lat, żeby zerwać kajdany, którymi spętał mnie ojciec. Ale w końcu mi się udało i wiem, że odebrałam mu w ten sposób kontrolę, którą sprawował nade mną, odkąd skończyłam dwa lata.

Wiem, że „zawsze nosimy w sobie przeszłość”, co nie oznacza, że musi nas ona prześladować lub spowijać swoim mrokiem. Możemy iść naprzód i wykorzystywać swoje doświadczenia z przeszłości, zamiast oddawać im nad sobą władzę. Mimo to z niepokojem myślałam o tym, jak

zareaguję, gdy coś nieoczekiwanie przypomni mi o dzieciństwie. Mogłam się o tym ostatnio przekonać, bo spotkało mnie coś, co jeszcze nie tak dawno temu doprowadziłoby do gwałtownego i nieodwracalnego pogorszenia mojego stanu.

Poszłam do sądu, aby służyć wsparciem nastoletniej dziewczynce, która miała zeznawać przeciwko mężczyźnie, wykorzystującemu seksualnie ją i dwójkę innych dziewcząt. Siedziałam przy niej i widziałam, że nieustannie splata i rozplata dłonie; jej stres i cierpienie były niemal czymś namacalnym, czego można dotknąć. Miała bladą twarz i cała się trzęsła. Była drobnej budowy i choć była już nastolatką, miała wciąż szczupłe, delikatne ciało dziecka. Potrafiłam wyobrazić sobie jej przerażenie i bardzo ją podziwiałam za to, że zebrała się na odwagę i zgodziła zeznawać przeciwko swojemu oprawcy.

W sali zapanowało nagle poruszenie i wszyscy podnieśli się z miejsc. W bocznych drzwiach pojawił się sędzia, ubrany ze staromodną elegancją w perukę i togę. Wciągnęłam gwałtownie powietrze i poczułam, że stojąca obok dziewczyna zadrżała mocniej ze strachu. Zerknęła na mnie, a ja nie odwracając się w jej stronę, pokiwałam z uśmiechem głową, chcąc w ten sposób pokazać, że nie ma się czym martwić. Potem złapałam się drewnianej ławy, bo zalała mnie nagła fala mdłości: sędzia, który wkroczył z taką

powagą i pewnością siebie do sali, należał do grona znajomych ojca i molestował mnie w moim domu, gdy byłam dzieckiem.

Zasiadł na krześle o wysokim oparciu, stojącym na środku podwyższenia na przedzie sali, i pozostali zebrani też usiedli. Rozejrzał się wokół, wziął do ręki kartkę leżącą na blacie długiego, drewnianego stołu, przebiegł ją wzrokiem i podniósł głowę. Na ułamek sekundy spojrzął mi w oczy. Rozpoznał moje nazwisko i wiedział, kim jestem.

Serce waliło mi jak oszalałe, a dłonie lepiły się od potu, ale wysiłkiem woli skupiłam się na siedzącej obok dziewczynie. To ona była teraz najważniejsza, a nie ja czy dziecko, którym kiedyś byłam, czy też wydarzenia sprzed wielu lat.

Sędzia nie spojrzął na mnie więcej ani razu. W trakcie rozprawy zachowywał stosowną powagę, a gdy dziewczyna szepem odpowiadała na zadawane pytania, jego twarz wyrażała należyte współczucie. Na koniec skazał pedofila na pięć lat więzienia, choć wszyscy zgodzili się później, że to dość łagodny wyrok dla kogoś, kto wykorzystywał seksualnie trzy małe dziewczynki.

Nie po raz pierwszy czułam się jak Alicja w Krainie Czarów — jakbym znalazła się w surrealistycznym, onirycznym świecie i siedziała w dziwacznej sali sądowej, gdzie nic nie jest takie, jak się wydaje, i gdzie Królowa Kier

w trybie doraźnym wymierza niesprawiedliwość. Najważniejsze jednak było to, że dałam radę. Skupiłam się na tym, co ważne, i zapewniłam nastolatce potrzebne jej wsparcie, a lina, po której stapałam, ledwie się zakołysała.

Choć wciąż miewam złe dni i podniesienie się z łóżka wymaga wtedy ode mnie ogromnego wysiłku, to nie zdarzają się one często. I wiem, że mogę całkowicie je wyeliminować, jeśli zapewnię sobie odpowiednią ilość snu i nie będę się przemęczać. Przestałam się okaleczać i nie boję się już ojca. Całe życie budził we mnie lęk, odkąd byłam mała, aż tu pewnego dnia strach jakby wyparował — pstryk, i zniknął.

Ale choć ojciec mnie już nie przeraża, na pewno spora grupa osób nadal się go boi, zwłaszcza że jest w posiadaniu obciążających dowodów, których ujawnienie mogłoby zrujnować pozycję zawodową i reputację bardzo wpływowych ludzi, przedstawicieli niezwykle poważanych zawodów. Chodzi głównie o dowody na ich upodobania seksualne. Poza tym wszyscy na pewno doskonale zdają sobie sprawę z tego, co mi kiedyś powiedział: „Jeśli pójdę na dno, pociągnę za sobą mnóstwo ludzi”.

Ręka sprawiedliwości kilka razy o mały włos nie dosięgła mojego ojca. Ale nawet przeznaczenie nie było najwyraźniej w stanie przebić się przez barierę ochronną, którą przez tyle lat tak pieczołowicie wokół siebie budował. Prawie wszyscy mężczyźni, którzy przychodzili na jego imprezy i uprawiali

seks ze mną lub innymi nieletnimi, dużo bardziej martwili się o zachowanie własnej reputacji niż o dzieci, którym wyrządzili nieodwracalne krzywdy lub którym całkiem zrujnowali życie. Ojciec może się zatem czuć bezpieczny.

Chciałabym wiedzieć, że ogarnia go czasem niepokój i zastanawia się, czy zdecyduje się kiedyś iść znów na policję i złożyć zeznania, dzięki którym będą mogli dobrać się mu do skóry, ale wątpię, czy spędza mu to sen z oczu. I słusznie, bo choć wkurza mnie myśl, że nie miałby nigdy zostać pociągnięty do odpowiedzialności za swoje czyny, to wiem, że moje życie musi toczyć się dalej, a w tym celu muszę całkowicie wymazać ojca z pamięci i patrzeć przed siebie.

Mam wrażenie, że jedyną osobą, przed którą ojciec kiedykolwiek czuł respekt, była jego matka. Jak na ironię, była też chyba jedyną osobą, którą tak naprawdę kochał. Spytałam go kiedyś, dlaczego stał się takim, a nie innym człowiekiem, a on powiedział — w rzadkiej chwili szczerości — że gdy był mały, mama ubierała go w sukienki i wszyscy się z niego śmiali. Wydaje mi się, że urodził się zaraz po śmierci małej siostrzyczki, która na coś chorowała, więc chyba musiało to mieć jakiś związek. Tak czy inaczej, ojciec poprzysiągł wtedy, że gdy dorośnie, zemści się za to, że się z niego wyśmiewano, i już nigdy nie pozwoli nikomu się z siebie śmiać. Postanowił udowodnić, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. I chyba mu się udało.

Jeśli mnie nie okłamał, jego matka nieumyślnie spowodowała u niego uraz psychiczny, on natomiast regularnie i w pełni świadomie krzywdził ludzi, w tym mnie i moją mamę, a to już bezwzględność, by udowodnić prawdziwość twierdzenia, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Babcia opowiadała mi, że kiedyś latem zatrzymała się z dziadkiem w domu nad morzem. W środku nocy rozległo się pukanie do drzwi, a gdy otworzyła, zobaczyła mojego ojca. Był pijany, miał na sobie buty na wysokich obcasach, piórkowe boa i makijaż, a towarzyszyła mu dziewczyna w kusej spódniczce. Babcia wściekła się i krzyknęła:

— Co ty do cholery wyczyniasz? Wyglądasz komicznie! Wynoś się stąd! — Być może właśnie wtedy ojciec odwrócił się od niej i potem odmówił jej pomocy, gdy nie stać jej było na ogrzanie nędznego, zawilgoconego mieszkanka, w którym mieszkała całkiem sama.

Wiem, że ojciec chciał za wszelką cenę wymazać wspomnienia chłopca z osiedla biednych domów komunalnych, którym kiedyś był, i stać się zamożnym, odnoszącym sukcesy i powszechnie szanowanym biznesmenem. Udało mu się zrealizować swoje ambicje. Ale mimo zewnętrznej otoczki gdzieś w środku pozostała w nim jakaś zgnilizna, piętno, którego nie był w stanie do końca się pozbyć — choć właściwie nie wiem, czy w ogóle próbował.

Nie pozwoliło mu to wyrosnąć na przyzwoitego człowieka i przyciągało do niego ludzi o najróżniejszych zaburzeniach psychicznych.

Mój ojciec nie bez powodu zachowywał się tak, a nie inaczej, gardził kobietami i nie potrafił kochać nawet tych, którzy kochali jego. Często się zastanawiałam, co było przyczyną, ale w końcu przestało mnie to obchodzić. To było jego życie i to on dokonywał w nim wyborów, a ja mogłam w końcu zacząć dokonywać własnych, skoro udało mi się wyjść z cienia, który rzucił na moje życie.

Gdy byłam mała, w tygodniu ojciec zawsze wstawał wcześniej, ubierał się i wychodził z domu, zanim zdążyłam się obudzić, a wracał najczęściej, kiedy już spałam. W weekendy grał rano w tenisa, a potem szedł ze znajomymi na obiad do pubu, po czym wracał i brał ze mną kąpiel lub ucinał sobie drzemkę. A potem znów wychodził, najczęściej z mamą. Tak więc w domu bywał albo pijany, albo kładł się do łóżka. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek był zupełnie trzeźwy.

Pamiętam jednak, że czasem bywał zabawny, a w pierwszych stadiach upojenia alkoholowego nawet autentycznie serdeczny. Nigdy nie zapomnę jednego przyjęcia, na którym tańczył ze mną i przytulał mnie jak normalny tata. Ale potem alkohol zrobił swoje i gdy goście sobie poszli, miejsce dobrego humoru zajęły złośliwość i agresja, a ojciec przekształcił się w ponurego, brutalnego i

przeróżającego potwora.

Słyszałam niedawno, że przemawiał gdzieś podczas zbiórki pieniędzy na cele charytatywne i aż się roześmiałam. Bo chyba wspominałam już, że nienawidzi ludzi, którzy muszą korzystać z pomocy — a także czarnoskórych, Arabów (a właściwie wszystkich „obcych”), lokatorów domów komunalnych, wierzących, zwłaszcza katolików...

Na pewno po jego śmierci odbędzie się uroczyste nabożeństwo żałobne i wszyscy będą powtarzać, jak wyjątkowym, charyzmatycznym i troskliwym człowiekiem był mój ojciec. Ale znajdą się też dziesiątki, o ile nie setki, osób świadomych, że prawda wyglądała inaczej, i wiele z nich odetchnie po jego śmierci z ulgą.

Nie wiem, co wtedy poczuję. Może jakaś część mnie będzie smutna, może pograżę się w żałobie po stracie ojca — choć wydaje mi się, że zrobiłam to już wiele lat temu. Prawda jest taka, że zrujnował mi życie. Nigdy mu tego nie wybaczę, a już na pewno o tym nie zapomnę. Ojciec miał władzę nad moją przeszłością, ale nie pozwolę mu kontrolować przyszłości.

Gdy zaczęły wracać wspomnienia, nie chciałam odzyskać pamięci. Ale wiem, że gdybym jej nie odzyskała, już zawsze miałabym poczucie winy, choć nie rozumiałabym dlaczego. Musiałam przepracować problemy, które pojawiły się w moim życiu z powodu ojca, choć sprawiło mi to

niewyobrażalny ból i omal mnie nie zabiło. Droga do zdrowia była długa i posuwałam się naprzód powoli i z ogromnym wysiłkiem. Ale udało mi się i w końcu mogę wziąć sprawy w swoje ręce i wykorzystać własne doświadczenia w pomaganiu nastolatkom, które spotkała w życiu podobna trauma.

W dzieciństwie co noc leżałam w łóżku i czekałam. Zastanawiałam się, czy ojciec przyjdzie do mojego pokoju i będzie robić mi „te” rzeczy? A może przyjdzie, weźmie mnie na ręce i zanieś na górę? A jeśli tak, to kto będzie robić mi „te” rzeczy? Bywało, że w ogóle nie przychodził i zasypiałam, ciągle czekając. Przez całe dzieciństwo czekałam i miałam niekiedy wrażenie, że nie było nic gorszego. Pod pewnymi względami wołałam niemal, aby ojciec mnie zlał, bo wiedziałam przynajmniej, że zaraz będzie po wszystkim i chociaż przez chwilę nie będę musiała czekać na to, co się stanie.

Czułam się tak, jakby cały czas ktoś stał za moimi plecami i ścisnął palcami balon, wydobywając z niego okropny, piskliwy dźwięk, ja natomiast czekałam ze strachem, aż balon pęknie. Aż w końcu po latach odwróciłam się, wyrwałam balon i sama go przekłułam — koniec z czekaniem.

Ludzie, którzy wiedzą, co zrobił mi ojciec, mówią czasem: „Nie martw się. Dostanie za swoje”. Ale mnie się wydaje, że

niekoniecznie. Ojciec zawsze chciał być kimś — choć jestem pewna, że nikt nie chciałby zamienić się w człowieka, którym się stał — a skoro mu się to udało, to może wszystko ujdzie mu na sucho. Mam jednak nadzieję, że w nocy dręczą go koszmary wywołane potwornościami, których się dopuścił.

Zastanawiałam się kiedyś, dlaczego mi to wszystko zrobił, i przez długi czas — ponieważ żyłam w przekonaniu, że tylko złym ludziom przytrafiają się złe rzeczy — wierzyłam, że sama jestem sobie winna, bo ojciec zawsze tak mi powtarzał. Teraz jednak wiem, że mojemu ojcu musiało się przydarzyć coś naprawdę strasznego, skoro stał się takim człowiekiem, i jakaś część mnie chciałaby powiedzieć, że mi go żal. Ale to nieprawda. Nie jest mi go żal, bo bez względu na to, co się mu przytrafiło, miał wybór — jak każdy z nas — i sam postanowił być złym człowiekiem; sam jest temu winny.

Kto wie, o czym myśli mój ojciec, gdy wpatruje się w samotności w swoje odbicie w lustrze — choć nie ma to właściwie znaczenia, bo to nie jest jego historia, tylko moja. Nie zawsze było mi łatwo ją opowiadać, ale jeśli dzięki niej choć jedna osoba, która w dzieciństwie padła ofiarą przemocy lub z innego powodu chce zapomnieć o przeszłości, odzyska nadzieję, to znaczy, że było warto.

Może aby zacząć wychodzić na prostą, musiałam sięgnąć dna. Wiem, że mi się poszczęściło, bo mam bliskich przyjaciół, którym naprawdę na mnie zależy — i syna. Nie ma

dnia, żebym o nim nie myślała i nie błogosławiła dnia jego narodzin. Ciągłe dręczą mnie wyrzuty sumienia z powodu tego, przez co musiał przeze mnie przechodzić. Ale myślę, że w jakiś przedziwny sposób Sam zawsze rozumiał, że jestem chora i że gdybym mogła, nigdy bym go nie opuściła. Wie, że mój ojciec wykorzystywał mnie seksualnie w dzieciństwie i nigdy o niego nie pyta ani o nim nie wspomina.

Jedno mi się chyba udało: wybrałam Samowi dobrego ojca. Mój syn ma wielkie szczęście, że trafił do rodziny Toma, która zawsze się o niego troszczyła i bardzo go kochała. Myślę, że zawsze wiedział, że ja też go bardzo Kocham i że jest dla mnie najważniejszy. Sam ma teraz dwadzieścia lat, jest wspaniałym chłopakiem i ma dobrą pracę, którą lubi i w której dobrze mu idzie, co jest sporym osiągnięciem, zważywszy na to, że jego matka przez lata była świruską.

Fakt, że wciąż chodzę po tym świecie, zawdzięczam nie tylko Samowi, ale i Jenny. Znamy się od dwunastego roku życia, a Jenny jest moją opoką i najbliższą przyjaciółką. Bywały chwile, gdy nie poradziłabym sobie bez niej w najbardziej dosłownym sensie. Od czasu wyprowadzki bardzo mi jej brakuje i niemal codziennie z nią esemesuję i żałuję, że nie ma jej przy mnie.

Ale z drugiej strony fakt, że tęsknię za bliskimi, przypomina mi nieustannie, iż powinnam być dumna z tego, jak sobie radzę i jak daleko zaszłam. Jestem też dumna z

tę, że spełniłam swoje marzenie i pracuję z młodzieżą, i choć często wiele mnie to kosztuje, daje mi też ogromną satysfakcję i poczucie spełnienia.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę w stanie to powiedzieć, ale jestem zadowolona z życia. Przestałam oglądać się ciągle za siebie i zaczęłam patrzeć w przyszłość, którą potrafię już dla siebie zbudować. Odkryłam, że jestem silniejsza, niż sądziłam, i postanowiłam, że moja trauma z dzieciństwa nie będzie determinować tego, kim jestem i jak żyję. Mam wielkie szczęście, że są przy mnie ludzie, którzy mnie kochają i na których mogę polegać, i w końcu nauczyłam się dziękować za ich miłość bez poczucia winy i przekonania, że na nią nie zasługuję.

Uwielbiam też swoją pracę, bo daje mi poczucie, że robię dla innych coś dobrego, choćby w niewielkim stopniu. Większość młodzieży, z którą pracuję, to ofiary przemocy — fizycznej, seksualnej, psychicznej i emocjonalnej — doświadczanej najczęściej z rąk jednego lub obojga rodziców albo innego członka najbliższej rodziny, a gdy człowiek pojmie, ile bólu, wściekłości i niezrozumienia jest w tych dzieciach, przestaje się dziwić ich niejednokrotnie prowokacyjnemu zachowaniu. Wiem, że żadne z nich nie jest złe, choć mogą tak o sobie myśleć, a już na pewno nie są bezwartościowe i bezużyteczne. Pomagając im to sobie uświadomić i wysłuchując ich, gdy potrzebują z kimś

porozmawiać, bo usiłują jakoś zrozumieć swoje pogmatwane emocje, wierzę, że z zupełnej beznadziei wyrosło coś dobrego.

Mam za sobą daleką drogę i jestem dumna z kierunku, w jakim potoczyło się moje życie — wbrew wszystkiemu. Jeśli w przyszłości coś pójdzie nie tak, to nie ze względu na moją przeszłość ani na to, że jestem złym człowiekiem, ale dlatego, że czasem tak po prostu bywa — w życiu spotykają nas i dobre, i złe rzeczy. I potrafię to przyjąć.

W ostatecznym rozrachunku odzyskane wspomnienia sprawiły, że stałam się silniejsza, a co najważniejsze, uświadomiły mi, że nie muszę się już bać.

Podziękowania

Samie — jedyne, co dobrego zrobiłam w życiu, to urodzenie Ciebie. Jesteś sensem mojego istnienia i bardzo Cię kocham. Wyrosłeś na cudownego mężczyznę i jestem z Ciebie bardzo dumna. Chociaż nie zawsze czułam się na tyle dobrze, żeby się Tobą zajmować, nigdy nie przestałam o Tobie myśleć i jestem najszczęśliwszą mamą świata, że akurat Ty jesteś moim synem.

Jenny — nie muszę mówić wiele, bo Ty wiesz. Dziękuję Ci za ostatnie trzydzieści dwa lata i za te, które jeszcze będą. Kocham Cię.

Megan — mam nadzieję, że wkrótce napijemy się razem wina. Tęsknię za Tobą.

Jacku — pokazałeś mi, jak kochać i jak być kochaną. Dziękuję za Twoją wiarę we mnie i cudowne poczucie humoru, które pomogło mi przetrwać wiele mrocznych chwil. Choćby tylko za to jestem Ci dozgonnie wdzięczna.

Wszystkich, którzy byli lub są molestowani — PROSZĘ, powiedzcie komuś o tym. TO NIE WASZA WINA. Mam

nadzieję, że lektura tej książki w jakiś sposób Wam pomoże. Życzę Wam szczęścia i spokoju. Nie bójcie się realizować marzeń — uda się Wam! Zastługujecie na to, co najlepsze, i jesteście tego warci.

I wreszcie słowo do mojego ojca — dla mnie to koniec. Nie mogę Ci wybaczyć, ale nie jesteś już motywem przewodnim mojego życia. Nie przerażasz mnie już ani nie masz nade mną władzy. Niewysłowiony ból, jaki mi zadałeś, sprawił, że jestem silniejsza i z pełnym przekonaniem mogę teraz powiedzieć: koniec. Mam dosyć.